

## **Ekspiacja**

Niniejsza opowieść jest całkowitym wytworem wyobraźni autora, który nie posiada żadnych przesłanek, a tym bardziej dowodów, że tego rodzaju historia mogłaby się kiedykolwiek zdarzyć. W związku z tym ewentualne podobieństwo miejsc, osób i faktów do rzeczywistości jest w istocie zupełnie przypadkowe.

# Początek

## I

Był to jeden z tych coraz rzadszych w naszych stronach kościołów, w których czuje się jeszcze obecność Boga. Gdzie potęga sacrum nie rozprasza się pod betonowym sklepieniem, nie gubi wśród dziwacznych kształtów skamieniałego namiotu, rozpiętego przez domorosłego Corbusiera na zlecenie operatywnego, acz kompletnie pozbawionego gustu proboszcza. Nieduża, drewniana świątynia, z przechyloną fikuśnie sygnaturką była niemal niewidoczna zza szpaleru jałowców i rzadkich sosen.

Przybysz zatrzymał się niepewnie na progu. Zdawało się, że w ostatniej chwili chciał nawet się cofnąć. Jednak lawina słonecznego światła wręcz popchnęła go w głąb ciemnego wnętrza, pachnącego żywicznymi deskami niedawno wstawionych ławek, wonią świeżo wypastowanej podłogi i ledwie wyczuwalnym zapachem kadzidła.

Światło wylewające się spoza potężnych ongiś pleców mężczyzny, dziś przypominających bardziej wieszak na letni przybrudzony płaszcz, sprawiło, iż naraz załśniły kryształowy żyrandol, mężczyzna zaś mógłby przysiąc, że biedny, ukrzyżowany Chrystus, wiszący w głównym ołtarzu, uniósł umęczoną głowę, a jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem wchodzącego. Tylko co on mógł zobaczyć?

Starego człowieka o zniszczonej twarzy emerytowanego aktora, który przez całe życie nadużywał mimiki, szminki i alkoholu.

Drzwi same zatrzasnęły się za nim. Dźwięk ten, choć stłumiony, przypominał wystrzał. Przybysz zadrżał. Zapewne gdyby Jezus w prezbiterium został przedstawiony jako dumny Pantokrator, zawróciłby. Miał jednak przed sobą wyłącznie bezbronno skazańca, niewinną ofiarę systemu, panującego przed dwoma tysiącami lat w imperium rzymskim.

Mężczyzna zrobił kilka niepewnych kroków. Ciężko oddychając, oparł się o najbliższą ławkę. Sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego. Spod płaszcza wystawały spodnie postrzępionej pidżamy i pospolite kapcie wsunięte na gołe nogi. Kątem oka dostrzegł stulę przełożoną przez drzwiczki przymkniętego konfesjonału. Ruszył w tamtym kierunku.

Paweł zorientował się, że ktoś jest w kościele. Mimo wakacji z obowiązku dyżurował na swoim posterunku. Penitentów miewał ostatnio niewielu. Ot, z paru dziennie, przeważnie studentów, szykujących się do egzaminów poprawkowych, lub co bojaźliwszych turystów, wybierających się pod koniec wakacji (bo taniej) w daleką podróż, zdecydowanych skorzystać z usług linii lotniczych dopiero po rozliczeniu się z Panem Bogiem...

Czasami miał wrażenie, że urodził się zbyt późno. Seminarium ukończył w momencie, gdy heroiczna epoka oporu, walki, a bywało — i męczeństwa odeszła w cień podręczników i nagrobków. Gdyby jeszcze swego czasu zdecydował się na wstąpienie do odpowiedniego zakonu, mógłby zostać

misjonarzem, nieść Słowo Boże łowcom głów czy szukającym absolutu Polakom z Syberii, a tak utknął tu, na cichych peryferiach stolicy, pełnych domków, chałupek i willi, zamieszkałych głównie przez ludzi starych i bezdzietnych...

Nie mógł nawet poświęcić się powtórnej ewangelizacji wykorzenionych mieszkańców blokowisk... A kariera żołnierza? Był pewien, że nie zrezygnował z niej pochopnie.

— Wysłucha mnie ksiądz? — Mężczyzna, który przyklęknął po drugiej stronie kratki, z pewnością nie należał do studentów ani globtroterów. Świszczący oddech wskazywał raczej na pensjonariusza któregoś z prywatnych domów starców, ulokowanych w okolicy, albo przybysza z nieodległego sanatorium przeciwgruźliczego lub też pacjenta centrum kardiologii.

— Naturalnie... — Paweł chciał powiedzieć „synu”, ale zorientował się, że wobec kogoś starszego o całą epokę zwrot taki mógłby zabrzmieć śmiesznie. — Słucham. W imię Ojca i Syna...

— Ostatni raz byłem u spowiedzi czterdzieści lat temu... — mruknął penitent. — Zresztą co to była za spowiedź? Rozpracowywałem tego klechę... Przepraszam, kapłana.

— Nigdy nie jest za późno na żal i skruchę...

— Czy może mi ksiądz nie przerywać?! Mam sporo do powiedzenia. Ale nie nazywajmy tego spowiedzią. Dobrze? U Pana Boga, jeśli taki gość istnieje, dawno mam przechlapane. Ale... nie mogę tego tak zostawić. Po prostu nie mogę. Mniej we mnie życia niż żaru w zduszonym pecie, i gdyby nie pamięć... Miał ksiądz kiedyś matkę? Głupie pytanie, każdy ma matkę. Moja była... święta. I bardzo nieszczęśliwa. Dla niej postanowiłem nie utopić tego wszystkiego w niepamięci. Śni mi się ostatnio często po nocach, płacze... A płacz matki to gorzej niż płacz dzieci. Zresztą nie dorobiłem się bachorów. Jestem sam. Matka nie żyje. Nic już nie żyje. To, w co kiedyś wierzyłem, zdechło, a i moja własna śmierć jest cholernie blisko... Każdego dnia przed świtem słyszę bardzo wyraźnie, jak spaceruje po korytarzu. Zastanawia się — które drzwi wybrać? Staje przed moimi, maca klamkę, potem idzie dalej. W szpilkach chodzi, suka.

Paweł westchnął. Opowieść zapowiadała się na długą. I nudną.

— Tak, tak, wracam do rzeczy — zmitygował się staruch. — Zacznę od tego, że mnie nie ma. Serio! Nie figuruję w ewidencji ludności, nie mam dowodu osobistego, PESEL-u, NIP-u, nie mogę głosować. Powiem więcej — nigdy mnie nie było, ani mnie, ani mojej funkcji... Dwanaście lat miałem, jak znaleziono mnie w ruinach Warszawy. Matkę wywieźli na roboty do Niemiec, ojca komunistę rozstrzelali, jak się dowiedziałem, „polscy faszyci z AK”...

Zamilkł, ciężko łapał oddech. Powiedział kilka słów, których Paweł nie dosłyszał. Potem jednak mowa starca znów stała się bardziej zrozumiała.

— Dużo wiem, można powiedzieć wszystko. Słyszał ksiądz o „łączniku pamięci”? Nie słyszał... bo i skąd. Tajne łamane przez poufne. Ale jak sobie ksiądz przesłucha, to zobaczy...

— Przesłucha? Zobaczy?

— Wszystkiego nie da się powiedzieć własnymi słowami, bo czymże jest słowo? Gołębim, którego można zestrzelić w locie, gliną, z której da się ulepić dowolny kształt, zwłaszcza jeśli dobrze podlać ją krwią. Słowa pachnące krwią, oj, jak one śnią mi się po nocach, jak śnią. Całe kałuże, podziemne oceany...

„Wariat, biedny wariat” — pomyślał ksiądz. Nie była to dla niego pierwszozna. Spowiadał kiedyś w szpitalu osobnika podającego się za Władysława Gomułkę. Na skraju śmierci zupełnie szczerze przeproszał za pacyfikację Wybrzeża. Był to oczywisty psychol. Prawdziwy Wiesław nie przeprosiłby za nic. Inna sprawa, że dzisiejszy penitent wypowiadał się o wiele precyzyjniej, przytomniej niż tamten...

Szczególnie gdy wspominał matkę, brzmiało to wyjątkowo wiarygodnie.

— ...Jedyna niesubordynacja, proszę księdza. Jedyne odstępstwo od zasad w ciągu pięćdziesięciu lat służby. Bezgranicznej, pieprzonej lojalności. Dość wcześnie odkryłem, kim jest moja matka i gdzie mieszka po powrocie z Rzeszy. Nie zameldowałem o tym, choć miałem obowiązek. Zresztą początkowo nic z tego nie wynikało. Obserwowałem ją, w miarę możliwości pomagałem za pomocą anonimowych przekazów, przychodzących okreśną drogą z zagranicy, oczywiście bez osobistego kontaktu... Trzy lata temu, miała wtedy już grubo po osiemdziesiątkę, dopadł ją wylew. Straciła mowę. Uznałem, że mogę wyjść z cienia. Byłem już na emeryturze. Nikomu nie mogło to zaszkodzić. Ani sprawie, ani jej. Pojechałem do szpitala. Nocą. Nikt mnie tam nie widział. Byłem jeszcze w niezłej formie, toteż ściany i drzwi nie stanowiły dla mnie przeszkody. Po jej wzroku, uścisku ręki rozumiałem, że mnie poznała, w kącikach oczu pojawiły się łzy. Ja też, stary łajdak bez serca, poryczałem się. Cicho, ma się rozumieć. Zachowując pełne incognito załatwiłem jej pielęgniarkę, do której dzwoniłem co jakiś czas, dowiadując się o moją staruszkę. O dziwo, wbrew pierwotnej diagnozie, stan zdrowia mamy poprawiał się z dnia na dzień. Po paru tygodniach wróciła jej mowa, pozostał tylko niedowład prawej połowy ciała. Którejś nocy odwiedziłem ją znowu. Zaczęliśmy rozmawiać, po raz pierwszy od blisko pół wieku, i wtedy dowiedziałem się najgorszego... „To nie akowcy zastrzelili twego ojca, Franiu, to nasi...”

Stary mężczyzna na moment zamilkł. Stracił oddech czy raczej szukał właściwych słów? Paweł czekał spokojnie.

— Proszę księdza! Co się wtedy porobiło w mojej głowie. Nie potrafię opisać. Zresztą nie ma to wiele do rzeczy. Istotne było co innego. Zrozumiałem, że to, co wiem, nie powinno przepaść. Nie powinno rozsypać się wraz ze mną. A zapewne ksiądz domyśla się, jak wiele wiem?

— Ile?

— Wszystko. A nawet więcej.

— Chce pan mi o tym opowiedzieć? — w głosie młodego księdza dał się wyczuć lekki niepokój. Nie miał już wątpliwości, rozmawiał z szaleńcem i mitomanem. Bał się nawet myśleć, jak owa dziwaczna rozmowa może się zakończyć.

— Nie teraz. Brak mi sił. Zresztą i tak ksiądz by nie spamiętał. A poza tym słowo to żaden dowód.

Dlatego zapisałem wszystko na CD: relacje, stenogramy, komentarze do ogólnodostępnych zdjęć i dokumentów.

— Ale na jaki temat?

— Nie teraz. Przekona się ksiądz sam... Wysłałem ją... Proszę się pochylić... — Przez chwilę szeptał mu do ucha dokładny adres na Saskiej Kępie. — Mieszkają tam przypadkowi, niezwiązani ze mną ludzie. Wiem, że mieszkanie jest chwilowo puste, gospodarze wyjechali na placówkę. Wystarczy w poniedziałek zajrzeć do ich skrzynki....

— I co mam począć dalej...?

— Co tylko ksiądz uzna za stosowne. Zrobiłem w życiu mnóstwo złych rzeczy, niech chociaż jedna będzie dobra... I jeszcze proszę zapamiętać, bo to ważne, najważniejsze! — powtórzył z naciskiem. — Pod żadnym pozorem nie wolno zwracać się z tym do naszych władz.

— Czy pan nie przesadza? Przecież dziś państwem rządzi dawna antykomunistyczna opozycja.

W odpowiedzi rozległ się gorzki śmiech, przypominający krakanie starego gawrona.

— Cóż z tego, że paru ludzi z nowego rozdania zajęło stanowiska? Tamci są wszędzie. O tym też ksiądz sobie poczyta. Decyzję, co z tym dalej zrobić, pozostawiam księdzu. Może zachować to ksiądz dla przyszłych pokoleń albo przekazać swoim kościelnym zwierzchnikom... Chciałbym jedynie, żeby to nie przepadło. I zaklinam, proszę bardzo uważać na siebie. Nie ufać nikomu, zwłaszcza przedstawicielom tak zwanego aparatu. Pilnować się cały czas. Ja już muszę iść. Byłoby źle, gdyby mnie tu znaleźli!

Wstał chwiejnie, czepiając się ściany konfesjonału.

— Niech pan poczeka! — zawołał Sulewski, przypominając sobie o swojej roli spowiednika. — Proszę mi powiedzieć, czy żałuje pan za swoje grzechy?

— Jak cholera!

— Pomódlmy się zatem.

— Niech ksiądz robi to w moim imieniu. Ja nie potrafię, nie chcę... A zresztą, jeśli Ten, w którego ksiądz wierzy, jest w istocie samą dobrocią i miłością, to nawet bez klepania tych waszych formułek wybaczy i takiemu sukinkotowi jak ja.

I odszedł. Ksiądz Sulewski siedział jak ogłuszony. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że nie może odnaleźć w pamięci stosownej modlitwy.

Kiedy wreszcie otworzył drzwiczki i wyszedł na miękkich nogach z konfesjonału, kościół porażał pustką. Tylko przy ołtarzu stary proboszcz przestawiał kwiaty.

— Widział go ojciec? — wybełkotał Paweł.

— Kogo? — wiekowy kapłan uniósł czerwone, wiecznie załzawione oczy alergika.

— Starego, schorowanego mężczyznę... Chyba szaleńca. Dość długo rozmawiał ze mną, ale nie chciał się spowiadać...

Proboszcz wytrzeszczył oczy.

— Nie widziałem nikogo, ale może dlatego, że byłem dłuższy czas w zakrystii... Wyglądasz na zdenerwowanego, bracie.

— Nie, nie... chyba jestem zmęczony.

— Chętnie zastąpię cię w konfesjonale.

Paweł Sulewski przyklęknął przed ołtarzem, po czym wszedł do zakrystii. W głowie kłębiły mu się sprzeczne myśli. Rozum radził powątpiewać w to, co usłyszał, z drugiej zaś strony, jeśli jednak było w tym chociaż ziarenko prawdy? Jak on pięknie mówił o swojej matce... Rozumiał doskonale uczucia starego, nie minął przecież rok, jak jego matka, Antonina Sulewska, także odeszła z tego świata.

Osunął się na kolana przed małym ołtarzykiem i zaczął się modlić. Czuł się tak, jak gdyby cały ciężar win, dławiący nieznanego, przeszedł na niego. Po chwili przytłoczony myślami, z rozkrzyżowanymi rękoma legł na zimnej posadzce. Myślał o swoich wątpleniach, żądach i grzechach, które znał tylko on sam i Bóg.

\*

Pielęgniarki, jak białe widma, wyłonili się zza wysokich jałowców. Młodzi, krzepcy, nie stroniący widać od ćwiczeń na siłowni. Pacjent nawet nie próbował uciekać. Ujęli go pod ręce i poprowadzili do bocznej furty. Na piaszczystej uliczce stała zwyczajna szpitalna karetka. Wysoki, szpakowaty mężczyzna z kołyszającym się na piersi stetoskopem, który pożerał z zapalem apetyczne jabłko, zerwane z pobliskiej jabłonki, uśmiechnął się na widok starca.

— Znowu się spotykamy, stary przyjacielu — szerokim łukiem odrzucił daleko ogryzek.

— Był w kościele — powiedział bardziej barczysty z sanitariuszy. — Spowiadał się!

— Komunista u spowiedzi? Cóż, spodziewaliśmy się po tobie więcej, Omega — rzekł oczekujący. — Ale rozumiem, że resztę zeznań złożysz u nas.

Pojmany również się uśmiechnął. Miał dla „doktora” przykrą niespodziankę. Do całej operacji przygotowywał się od długich miesięcy. Teraz był gotów. W ustach cicho trzasnęła fiolka.

— Kurwa — ryknął „doktor”. — Zrobił to, jebany! Do wozu z nim!

Wiedział, że teraz już nic nie da się poradzić. Jeśli Omega połknął ukryty w fiolce cyjanek, przesłuchać może jedynie trupa.

— Zabierzcie go — warknął do kierowcy i pielęgniarzy.

— Reanimujcie, jeśli się da. Ja przyjadę później.

Wrzucił kitel do środka ambulansu i sięgnął po podłużną lekarską walizeczkę. Rozejrzał się czujnie dookoła. Żywej duszy! Sprężystym krokiem pospieszył w stronę kościoła. Ciepły sierpniowy wiatr owiewał jego krótkie siwe włosy, kontrastujące z młodą jeszcze, ogorzałą twarzą byłego sportowca.

W środku świątyni było pusto. To ułatwiało zadanie.

Nie cierpiał komplikacji.

Podszedł do konfesjonału. Jedną ręką w cienkiej rękawiczce sięgnął do torby, drugą szybkim ruchem otworzył drzwiczki.

Siedzący wewnątrz stary ksiądz wyglądał jak wykopany z nory borsuk. Zdumienie odebrało mu mowę.

„Doktor” strzelił mu prosto między oczy.

— *Requiescat in pace!* — mruknął.

Jeszcze raz się rozejrzał, potem zamknął torbę. Dla pewności obszedł świątynię. Wsunął głowę do niewielkiej zakrystii. Gdyby był nieco wyższy, być może stół nie zasłoniłby mu Pawła, rozciągniętego przed ołtarzem. Nie zobaczył go jednak, nie wyczuł, nie usłyszał. Stary zegar akurat zachrypiał i zaczął, nie wiedzieć czemu, wybijać trzecią na trzy minuty przed terminem. Obok twarzy zabójcy przemknęła jakaś pszczoła, zwabiona wszechobecnym zapachem kwiatów. Siwy odwrócił się i wyszedł. Poniżej statui św. Antoniego zauważył bukiet świeżych goździków. Urwał jeden i włożył do butonierki. Lubił kwiaty.

# Sobota

Wikary usłyszał ciche kasznięcie, dochodzące z bocznej nawy, ale nie zwrócił na nie uwagi. Podobnie jak na skrzypnięcie nienaoliwionych drzwi zakrystii. Modlitwa uspokoiła go. Postanowił porozmawiać z proboszczem. Starzec zgromadził bogate doświadczenie podczas czterdziestu lat posługiwania w czasach komuny i mógł pomóc w zrozumieniu tego, co usłyszał młody ksiądz, tym bardziej że rozmowa z nieznanym nie była formalną spowiedzią, a zatem nie wiązała go tajemnica.

W kościele powitała go dziwna cisza. Za głęboka nawet jak na pustą świątynię.

— Księżu Wacławie — odezwał się półgłosem. Nikt mu nie odpowiedział. — Księżu Wacławie!!!

Podbiegł do konfesjonału. Drzwiczki były otwarte. Gdyby nie wybałuszone oczy i mała dziurka pośrodku czoła, mogłoby się wydawać, że proboszcz usnął.

\*

Ksiądz Sulewski zareagował tak, jak każdy na jego miejscu. Drżącymi rękami wysupłał spod sutanny komórkę i zaczął wybierać numer policji. Wystukał 112 i zrezygnował. Martwy duchowny był najlepszym dowodem prawdziwości zwierzeń starego mężczyzny. A ten przecież przestrzegał przed kontaktami z policją. Paweł odłożył telefon i wrócił do kościoła. Kiedy przekonał się, że tabernakulum jest nienaruszone, nie miał już wątpliwości, iż w świątyni nie pojawił się złodziej. Kula przeznaczona była dla spowiednika. Morderca nie przewidział tylko zamiany księży w konfesjonale. Ale jeśli ma starca, szybko domyśli się, że popełnił błąd... A wtedy wróci poprawić spapraną robotę.

W pierwszym impulsie skoczył zaryglować drzwi, jakby przerdzewiały skobel mógł stanowić jakąkolwiek zaporę. Potem próbował opanować narastającą panikę. „Nie histeryzuj, myśl!”

W młodości, zanim przyszło powołanie, marzył o zawodzie prywatnego detektywa. W fantazjach bywał również muszkietierem, kapitanem Klossem, Jamesem Bondem. Był nawet czas, gdy zdawało mu się, że może je urzeczywistnić. Po maturze z własnego wyboru znalazł się w wojsku, marzyły mu się siły specjalne... „Nowa, wolna Polska potrzebuje takich, jak ty” — powtarzał mu jego ówczesny mentor. Podobno miał wrodzone predyspozycje do sportów walki. Jeszcze w podstawówce przez jakiś czas uprawiał boks, w liceum pociągały go walki wschodnie. Dbania o tężyznę fizyczną nie zaniechał nawet po wstąpieniu do seminarium. Pomagało mu to w pozbywaniu się nadmiaru energii, zmniejszało pokusy... Nawet obecnie prowadził ośrodek sportowy przy parafii.

„Teraz mam okazję się sprawdzić!” — pomyślał, zagryzając wargi. Zastanawiał się, co by było, gdyby musiał stanąć twarzą w twarz z zawodowym mordercą. Rozsądek podpowiadał mu, że nie



miałby najmniejszych szans z pozbawionymi skrupułów profesjonalistami.

Pozostawała ucieczka. Wiedział, że powinien jak najszybciej opuścić kościół i poinformować o zdarzeniu swego duchownego zwierzchnika. W tym celu musiał się przebrać. Nie mógł uciekać w sutannie. W schowku obok zakrystii znalazł stare ubranie, którego używał podczas prac remontowych w kościele. Wiedząc, że świątynia może być obserwowana, zrezygnował z ewakuacji wejściem od zakrystii, a także drzwiami frontowymi, które otworzył (zamknięte nie ochronią przed nikim, a wzmogą tylko podejrzenia).

Ponad dwadzieścia lat temu zabity dziś proboszcz, wyposażając kościół i plebanię w centralne ogrzewanie, ograniczył się do jednego pieca. Dlatego oba obiekty łączyły rury biegnące podziemnym korytarzykiem. W stanie wojennym korzystali z niego konspiratorzy, drukujący bibułę. Paweł był szczupły, toteż bardzo szybko pokonał przejście.

Już po dziesięciu minutach był w swoim pokoju na plebanii. Wziął pieniądze, portfel, prawo jazdy, kurtkę przeciwdeszczową, garnitur. Równocześnie ułożył sobie plan działania: uda się do swojego biskupa, którego znał dobrze jeszcze z czasów seminarium. Jego zwierzchnik był rozsądnym, otwartym człowiekiem. Wspólnie wymyślą strategię dalszego postępowania.

Samochód wypchnął z blaszanego garażu bez zapalania silnika. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy jego odjazdu. Gospodyni nie wróciła jeszcze z zakupów, kościelny pojechał do lekarza... Sulewski otworzył starą, rzadko używaną bramę od strony lasu i wyjechał na przesiekę. Wolał ominąć główną drogę. Przecinając alejkę, biegnącą wzdłuż ogrodzenia, kątem oka zarejestrował czarnego passata, stojącego tuż obok bocznej furty, i siwego, postawnego mężczyznę, który wszedł na teren kościoła. Instynktownie dodał gazu.

\*

Siwy zauważył, oczywiście, samochód, pędzący szaleńczo wyboistą drogą.

Instykt łowcy nakazywał mu gonić go, strzelać... Pohamował się. Popułnił już dwa błędy za dużo. Nie dopadł Omegi na czas i w dodatku przeoczył świadka. Spokojnym krokiem wszedł do kościoła. Trup tkwił tam, gdzie go zostawił — w zakrystii, natomiast w ciągu ostatnich minut zaszły wyraźne zmiany: przewrócone krzesło, porzucona stula, na ziemi sutanna, zdjęta ani chybi w najwyższym pośpiechu, czego dowodziły dwa urwane guziki...

— Przebrał się w cywilne łachy! — mruknął do siebie, zaglądając do uchylonej szafy. „A więc świadkiem zbrodni nie był kościelny czy jakiś przypadkowy gość, ale duchowny. Prawdopodobnie wikary... Może to nawet on spowiadał starego?!”

Na ścianie, do której się zbliżył, wisiało parę fotografii starego proboszcza w gronie młodzieży oraz wspólne zdjęcie z biskupem i z drugim księdzem — młodym, wysokim, o zgoła świeckim

wejrzeniu jasnych oczu.

„Przystojniaczek!” — pomyślał. „Taki, co to się podoba kobietom i mężczyznom. Mężczyznom nawet bardziej!” W tle, za plecami trójki duchownych, majaczył kościół i lasek. Datownik wskazywał dzień sprzed pół roku. Nie ulegało wątpliwości, że zdjęcie przedstawia księdza i jego młodego wikarego. Siwy pociągnął nosem. Złapał wyraźny zapach swojej zwierzyny, zapach człowieka w najwyższym stopniu zdenerwowanego, używającego taniej wody kolońskiej. Przyklęknął, dobrą chwilę wodził dłonią po kamiennej posadzce. Pod ołtarzem wyczuł, że jest odrobinę cieplejsza.

— Drań leżał tu i się modlił, kiedy zajrzałem. Pech!

Na moment jego uwagę przykuła złocista pszczoła, która jakimś sposobem wpadła do zakrystii i teraz tłukła o szybę, próbując wyrwać się na wolność. Strącił ją na ziemię i z nieukrywaną przyjemnością rozgniół obcasem. Nienawidził pszczół.

Przy telefonie znalazł notes z numerami i adresami; bez wahania schował go do kieszeni. Podobnie postąpił ze zdjęciem. Jego czujny wzrok wypatrzył obok przewróconego krzesła bilet miesięczny. Odczytał nazwisko: „Paweł Sulewski”. Uśmiechnął się. Popenił błąd, ale odwracalny.

\*

Paweł znał doskonale wszystkie leśne drożyny, toteż zdecydował się na trasę okrężną. Trzymał się z dala od szosy, sprawdzając co chwila, czy nikt za nim nie jedzie. Nikt go jednak nie gonił. Na razie! Próbował się skupić. Najpierw zadzwoni do biskupa. Wyciągnął komórkę i wybrał numer kurii. Niestety, biskupa nie zastał. Wizytował teren. Jego sekretarz dopytywał się z naciskiem, kto dzwoni. Paweł przedstawił się machinalnie. Ksiądz Maciej znał go, więc bez wahania poinformował wikarego, że biskup wieczorem wybiera się do rodziny i tam zamierza nocować. Sulewski podziękował i rozłączył się. To była cenna wiadomość. Jako miejsce rodzinnej kolacji nie wchodził raczej w grę Dolny Śląsk, skąd pochodzi hierarcha. A bliżej... Dość szybko przypomniał sobie, że biskup często odwiedzał bratanicę, prowadzącą wspólnie ze świeckimi siostrami prywatne przedszkole. Sam kiedyś go tam zawiózł, zastępując chorego kierowcę. Dom znajdował się stosunkowo niedaleko. Niestety, nie pamiętał numeru telefonu przedszkola, nie miał go na komórce, a jego notes...? „No właśnie, gdzie jest notes... Niedobrze, musiałem go zostawić w domu, albo, co gorsza, w zakrystii.”

Nie uśmiechało mu się czekanie do wieczora. Nie miał też ochoty na kontakt z policją. Przestrogi starego mężczyzny odniosły skutek. Teraz potrzebował pomocy i rady. Przede wszystkim rady. Rozważał, z kim mógłby podzielić się tą niebezpieczną wiedzą, jaką go obarczono. I zaraz przyszedł mu na myśl Artur. Artur Liwski — legenda podziemia. Starszy brat Marii. Gdyby życie potoczyło się inaczej, pewnie byłby szwagrem Pawła. Gdyby...

Ostatnio nie widywali się zbyt często. Artur nie był praktykującym katolikiem. Przeciwnie, obnosił się ze swym wolnomyślicielskim liberalizmem. Toteż spotykali się przeważnie na Wszystkich Świętych. Na jej grobie...

Mimo różnic światopoglądowych składali sobie telefonicznie życzenia na Boże Narodzenie, Wielkanoc, z okazji imienin... Dwa, może trzy razy Liwski poprosił go o udział w pogrzebie któregoś z przyjaciół. „Niewierzący, ale przyzwoity człowiek — tłumaczył — trzeba to zrobić dla jego rodziny”. Sulewski nigdy nie odmówił. Czuwał też w szpitalu przy agonii starego generała Liwskiego, któremu czas terażniejszy mylił się już z nocą nad rzeczką Miereją pod Lenino... Początkowo zamierzał zadzwonić do Artura, ale uznał, że prościej będzie po prostu pojechać. Choć nadłożył drogi, nie zabrało mu to więcej niż kwadrans.

Położony wśród strzelistych sosen parterowy pawilon różnił się od sąsiednich willi nie tylko wysokością — na ganek zamiast schodków prowadziła łagodna pochylnia — ale i brakiem garażu. Dwa samochody stały przed prawym skrzydłem budynku, tuż obok pary automatycznie podnoszonych wrót. Z wiszących pod okapem doniczek wylewały się barwne, w niepojęty sposób zaaklimatyzowane, ciepłolubne bugenwille. Artur ucieszył się, słysząc głos Pawła w domofonie.

— Wjedziesz? — zapytał. — Diana zaraz przestawi swój wóz, żeby zrobić ci miejsce na podjeździe.

— Nie trzeba, nie będę wjeżdżał, wpadłem tylko na chwilę. Poza tym takich rzęchów jak mój nie kradną! — odparł i słysząc melodyjny brzęczyk, pchnął kutą furtkę.

Diana Liwska, jak zawsze piękna, elegancka i wysportowana, oczekiwała go między kolumnami. Letni kostium podkreślał jej młodzieńczą sylwetkę, chociaż w ciemnych, metalicznych włosach pojawiły się pierwsze pasemka siwizny.

— Artur właśnie kończy wysyłać e-maila do redakcji — powiedziała, wprowadzając księdza do obszernego salonu, zajmującego centralną część domu. — Zrobić ci drinka?

— Słabego — uśmiechnął się.

Lubił salon Liwskich. Przez świetlik, zajmujący znaczną część dachu, widać było niebo i gałęzie sosen. Przywodziło mu to na myśl obrazy Salvadora Dali. Obszerne pomieszczenie wypełniała nieprawdopodobna ilość książek, masek z egzotycznych podróży, dawnych map i rycin oraz zdjęć: tu Artur z Lechem w 1980, a tu z Papieżem. Zauważył, że od poprzedniej wizyty przybyło zdjęcie z aktualnym prezydentem. Uśmiechnął się do siebie: „Cóż, próżność jest cechą ludzką”.

Rozległ się cichy pisk nadjeżdżającego wózka i z korytarza wyłonił się gospodarz, rozpromieniony na widok Pawła.

— Witaj, przyjacielu — zawołał. — Nareszcie przypomniałeś sobie o nas. Już myślałem, że wysłano cię gdzieś w świat. Rzym albo Krym...

Uścisnęli sobie ręce. Diana przyniosła drinka. Zauważył, że jest lekko podenerwowana.

— Wychodzę, kotku — powiedziała bardziej niż oznajmująco do męża. — Zostawiłam ci obiad w lodówce. Poczęstuj Pawła.

— Fryzjer? — ledwie dostrzegalny grymas prześliznął się przez szlachetną twarz Artura.

— Nie! Umówiłam się z Agatą na tenisa.

Cmoknęła go w miejsce, gdzie czoło przechodzi w łysinę, uśmiechnęła się do księdza i wyszła, pozostawiając za sobą smugkę intensywnych perfum o niepokojącej woni.

— Tenis? Oczywiście, że się kurwi! — stwierdził Liwski, kiedy tylko wóz żony wytoczył się za bramę. — Ale, żeby było jasne, Pawełku, wcale jej nie potępiam. Życie ma swoje prawa, a syndrom lady Chatterley nie jest niczym nadzwyczajnym. I tak poświęca się, trwając tyle lat u boku kaleki. Sulewski nie dał się wpuścić w dyskusje o moralności. Przyjaźń ze znakomitym publicystą polegała też na tym, żeby pewnych tematów nie poruszać. Zastanawiał się tylko czasami, kim byłby dziś Artur Liwski, gdyby tragiczny wypadek samochodowy nie wyeliminował go u zarania Trzeciej Najjaśniejszej z aktywnej polityki. Ministrem? Ambasadorem? I tak miał na tej drodze pod Wyszkowem więcej szczęścia niż Maria. Dobry Boże! Miałaby dziś dopiero dwadzieścia osiem lat...

— Chciałem prosić cię o pomoc, Arturze — rzekł, siadając w skórzanym fotelu, który pociągnął go w głąb jak przepaścista paszcza hipopotama.

— Proś, a będzie ci dane. Tylko nie werbuj mnie do klasztoru. Chyba że żeńskiego...

Niefrasobliwe zachowanie publicysty zmieniło się, gdy Paweł zaczął mu opowiadać o starym mężczyźnie, który powierzył mu swoją tajemnicę. Naturalnie nie zdradził szczegółów jego wynurzeń...

— Niesamowite, niesamowite! — wykrzykiwał co chwila Artur.

Spoważniał jednak, kiedy Paweł opowiedział mu o zabójstwie proboszcza. Z wrażenia zapalił papierosa („Jedyna korzyść z nieobecności Diany” — skwitował). Zaciągając się dymem, z napięciem wysłuchał relacji do końca.

— Rewelacyjny materiał! — skomentował, wyraźnie poruszony. — Coś na pierwszą stronę.

— Stary nie ukrywał, że może mi grozić niebezpieczeństwo, dlatego nie mogłem pozostać na plebanii. No i nie zawiadomiłem policji.

— I słusznie zrobiłeś. Najpierw skontaktuję cię z dobrym adwokatem. Zdeponujemy gdzieś twoje zeznania. Pamiętaj: mój dom jest twoim domem. Miałbym tylko jeden warunek.

— Jaki?

— Będziemy mieli pierwszeństwo w opublikowaniu materiału.

To powiedziawszy, podeksycytowany podjechał do barku i nalał sobie szklaneczkę whisky. Wychylił duszkiem.

— Domyślasz się, kim mógł być ten facet? — zapytał księdza. — Przedstawił ci się jakoś?

— Mówił coś o kompletnym braku tożsamości. Ale to akurat traktuję raczej jako alegorię. Nie ulega wątpliwości, że staruszek pracował w służbach. I że postanowił ujawnić wiele tajemnic resortu.

— Taak. Z tego, co mówisz, wynika, że musiał to być jakiś wyjątkowo dobrze poinformowany komuch — zgodził się Liwski. — Coś fantastycznego! Złota żyła! Czegoś takiego jeszcze nie było w naszej prasie. Od dziesięciu lat nikt z całej sitwy nie puścił pary. A ten stary podobno przekazał ci dokumenty. Dobrze mówię?

— Mam je odebrać dopiero w poniedziałek. Tylko boję się...

— Niczego się nie bój. Prasa to potęga. Nawet w Trzeciej Najjaśniejszej. Dostaniesz od nas obstawę. A jak będziemy mieli dowody w rękę, dotrzemy bezpośrednio do premiera. To uczciwy facet, choć ma oszołomskie zaplecze. A coś takiego przed nadchodzącymi wyborami będzie dla niego prawdziwym darem losu. A propos, gdzie masz odebrać tę dyskietkę...?

Ostry dźwięk telefonicznego dzwonka uniemożliwił Pawłowi odpowiedź. Sprawnie manewrując wózkiem, Artur wyminął stolik, uginający się pod ciężarem najświeższej prasy, i chwycił słuchawkę.

— Halo. Halo. Słucham. O co panu chodzi? Nie, to nie ośrodek. Przecież mówię wyraźnie.

Odłożył telefon i znów slalomem podjechał pod barek.

— Piąta pomyłka w tym tygodniu! — mruzczał na wpół do siebie, kręcąc głową. — Coś musiało się pochrzanić w centrali. Wszyscy pytają o jakiś ośrodek zdrowia. A tu... — klepnął swój wózek — ... na upartego, można powiedzieć, dom opieki. Ale wracając do ciebie, ciekawych czasów dożyliśmy, nie ma co.

Sulewski nie miał jakoś ochoty dyskutować o stanie Rzeczypospolitej. Czuł się bardzo utrudzony. Z chwilą, gdy podzielił się częścią tajemnicy, ustąpiło dotychczasowe napięcie, za to poczuł gwałtowne zmęczenie. Ból głowy, ssanie w żołądku. W końcu nie jadł od rana. Wreszcie do Artura dotarło, co dzieje się z przyjacielem.

— Może chcesz odpocząć, przespać się? — zaproponował, a gdy ksiądz zaprzeczył, dodał: — Najlepiej będzie, jeśli weźmiesz gorący prysznic. Ja przez ten czas odgrzeję nam coś do zjedzenia. Lubisz boeuf Strogonoff?

Kąpiel — to był dobry pomysł. Ksiądz ruszył do łazienki, a właściwie obszernego pokoju, wyłożonego marmurem o romantycznej nazwie „Biała Marianna”. Była tam kabina prysznicowa, ale i niska wanna, z telewizorem na wprost oczu, a na ścianie obok lustra wisiał telefon. Pełny luksus.

Stojąc pod prysznicem, Paweł czuł, jak gorąca woda zmywa z niego pot, strach, zmęczenie... Co

za błogość. Nareszcie z dala od wszystkich problemów, tajemnic, zbrodni. Odświeżony wyszedł z kabiny i stanął przed zaparowanym lustrem.

Przetarł je ręcznikiem, a właściwie tylko spróbował, bo na moment osłupiał. Tuż za sobą ujrzał bladą, okoloną ciemnymi włosami twarz dziewczyny. „Maria?!!!”

Odwrócił się tak gwałtownie, że stracił słuchawkę. Instynktownie złapał ją w locie. Nikogo w łazience nie było.

Twarz, którą zobaczył, okazała się fotografią dziewczyny ze ściennego kalendarza, zupełnie do Marii niepodobną.

Chwilę dochodził do siebie. Potem, widząc, że ściska w rękę słuchawkę, machinalnie podniósł ją do ucha.

— Tak, postaram się go zatrzymać — mówił szeptem Liwski. — Nie chcę nic wiedzieć, pułkowniku.

— Oczywiście, tym bardziej że nic nie wiesz, Diament — odparł rozmówca głosem, który na moment ściał krew w żyłach Sulewskiego. — Będziemy za kwadrans.

Ubieranie zajęło Pawłowi kilkanaście sekund. Wyskoczył z łazienki i w holu nieomal wpadł na Liwskiego, powoli toczącego się w stronę kuchni.

— Szybki jesteś — powiedział Artur i urwał, widząc zmienioną twarz księdza.

— Wychodzę! — powiedział zdecydowanie Sulewski, próbując wyminąć wózek. Publicysta jednak zablokował hamulec.

— Poczekaj. Co się stało? — zapytał.

— Puść mnie!

— Powiedz tylko, co się stało?

— Zapytaj o to swego pułkownika.

Artur zbladł, ale nie ruszył się z miejsca, Paweł zaś ciągnął dalej:

— Dostaniesz premię, kiedy mnie już zabiją? A może tylko kolejną nagrodę literacką?

Z rzymskiego oblicza Liwskiego spadła maska spokoju. Oczy stały się rozlatane, nos zagiął jeszcze bardziej, policzki obwisły.

— Zrozum, jesteś mi jak brat, ale musiałem — wykrzeczał. — Musiałem. Oni i tak wiedzieli... Nie miałem wyjścia.

— Zawsze jest jakieś wyjście. — Pawłowi udało się wreszcie odepchnąć gospodarza wraz z jego wózkiem. Podbiegł do drzwi. Na szczęście były otwarte. Zastanawiał się, czy Artur spróbuje go zatrzymać. Nie próbował, choć nadal nie zaprzestał perswazji.

— I tak przed nimi nie uciekniesz. Przed nimi nie ma ucieczki. Ja też miałem złudzenia, że ich czas minął. W osiemdziesiątym dziewiątym i krótko potem. Łudziłem się, że to my dyktujemy warunki kompromisu. I co?

— Ale czemu nie przeprowadziliście dekomunizacji ani lustracji? Nie dobiliście gada!

— Myślisz, że to było możliwe?

Znaleźli się już przed domem. Paweł przyśpieszył kroku, rozważając, jak szybko mogą pojawić się jego prześladowcy. Wózek Artura turkotał na podjeździe.

— Popelniliśmy błąd... Ale pozwól mi wytłumaczyć...

— Nie zatrzymuj mnie!

— Nawet nie próbuję. I tak już po mnie. Za dużo wiem, i ciebie nie zatrzymałem...

Zmalał, wydawał się bezradny i śmiertelnie przerażony. Na jego jasnych spodniach wykwitła szeroka plama moczu. Wściekłość Sulewskiego raptownie zmieniła się we współczucie. Zatrzymał się w furcie.

— Powiedz tylko, od kiedy dla nich pracujesz? Od początku? — zapytał.

— To nie tak. Ja grałem. Tylko pozorowałem działania. Chodziło przecież o sprawę. Dopiero potem... Mieli mnie. I nie było odwrotu... — Usiłował chwycić Sulewskiego za rękę. — Powiem więcej, próbowałem im się urwać, pewny swego stanowiska i wpływów stawiałem się, nawet groziłem. Ostatni raz na krótko przed wypadkiem z Marią... Myślę, że to oni majstrowali przy hamulcach. Słowo honoru!

Paweł odepchnął dłoń Artura, w biegu dopadł swego samochodu i przekręcił kluczyk.

— Pamiętaj, nie zapytałem cię o ten adres, pamiętaj... — zgrzyt wózka Liwskiego gonił go aż do zakrętu, gdzie zaciszna uliczka zmieniała się w ruchliwą aleję.

\*

Sulewski ponownie skrył się w lesie. Ze ściśniętym sercem dłuższy czas krążył bez celu, aż w końcu droga skończyła się jakimś parkanem, zza którego prześwitywały niskie, zdewastowane baraki. Jego przerażenie potęgowała myśl, że Liwski mógł mieć rację. Ucieczka jest bezcelowa — wróg

znajdzie go wszędzie. „Już jestem martwy.” Zatrzymał wóz. Wysiadł. Las był cichy, pełen żywicznego aromatu i nadzwyczajnego spokoju. Nie docierał tu zgiełk miasta, z zarośli dobiegał śpiew ptaków. Na polanach kwitły wrzosey, przypominające barwą biskupie amaranty...

— Skup się, myśl! — powtórzył głośno. Potem zaczął się modlić. — O Panie, daj mi siłę...

I tym razem modlitwa pomogła. Umysł Pawła odzyskał jasność.

— Nie przesadzajmy z tą wszechmocą morderców — mruknął sam do siebie. — Albo Liwski do nich zadzwonił, albo mają mój notes z telefonami. Jeśli to drugie, to nawet kretyń domyśliłby się, że w pierwszej kolejności poszukam wsparcia u Liwskiego. Może jednak spotkanie z biskupem u jego bratanicy ma szansę powodzenia? Nie tak łatwo ją namierzą...

Zacisnął powieki, usiłując sobie przypomnieć, jak zapisał telefon w swoim notesiku: „Siostra Basia”? Nie! „Przedszkole Basi”? Raczej „Przedszkole Katolickie”. Chyba tak! Wśród innych telefonów kilkunastu szkół i paru przedszkoli. Miał nadzieję, że nie zdołają od razu obstawić wszystkich adresów bez wtajemniczenia w sprawę zwykłej policji.

Do miasta wjechał jedną z niebrukowanych, pozornie ślepych uliczek. Swe piaskowe cinquecento pozostawił na skraju osiedlowego bazaru. Znalazł na nie miejsce w wąskim prześwicie za śmietnikiem, między blaszanymi „szczękami” handlarzy, tak że było prawie niewidoczne. Dla pewności zachlapał błotem tablice rejestracyjne. Ostatnie pół kilometra, dzielące bazarek od prywatnego przedszkola, położonego w cienistym ogrodzie, przeszedł pieszo. Z wierzchołka piaszczystej moreny uważnie obejrzał teren. Ani śladu policji, żadnych podejrzanie wyglądających samochodów. Pani Basia poznała go natychmiast.

— Ksiądz Paweł, jak mi miło! — przywitała go, zapraszając do wnętrza. — Ile to już lat minęło od ostatnich wspólnych rekolekcji?

Dowiedział się też, że biskup odwiedzi ją dopiero wieczorem.

— Ale jeśli ksiądz ma czas, to proszę zaczekać. To jakaś ważna sprawa?

— Osobista — odrzekł zdawkowo. Pani Basi musiało to wystarczyć.

Wprowadziła go do małego saloniku o ścianach pokrytych kilimami, z licznymi obrazkami świętych i błogosławionych oraz wielkim, staroświeckim kredensem, pełnym świątobliwych figurek. Jedynym w miarę nowoczesnym sprzętem był niewielki przenośny telewizor. Gospodyni zaproponowała herbatkę, podsunęła wielką srebrną tacę pełną ciasteczek własnego wypieku, po czym pozostawiła młodego kapłana sam na sam z niewesołymi myślami. Pożerając garściami kruche ciasteczka, zastanawiał się nad sytuacją. Trudną, ale przecież nie beznadziejną. Udało mu się dotrzeć aż tutaj. Kościół na pewno da mu schronienie, przynajmniej do poniedziałku. A wówczas, z dyskiem tajemniczego mężczyzny, dla pewności skopiowanym w paru egzemplarzach, zyskiwał silne argumenty nawet wobec szajki zawodowych morderców, ich mocodawców i sługusów.

Oczywiście ucieczka z miejsca przestępstwa nie stawiała go w dobrym świetle. Ale nikt o



zdrowych zmysłach nie mógłby oskarżyć człowieka, który dość dawno odbył parę strzelań, o fachowo dokonaną egzekucję. Im dłużej zastanawiał się nad opowieścią starego mężczyzny i reakcjami Liwskiego, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że to, co brzmiało jak mroczna baśń, mogło okazać się prawdą o naszych najnowszych dziejach, prawdą, której nie miał szans jak dotąd wyjaśnić ani Trybunał Lustracyjny, ani raczkujący dopiero Instytut Pamięci Narodowej... Napięcie powoli opadło i przeszło w ogromne znużenie.

Kiedy pani Basia weszła z zaparzoną herbatą, młody gość spał na siedząco. Postawiła szklankę na stoliczku i wycofała się na palcach.

Obudził go dopiero zegar wybijający siódmą. Ze zdumieniem zauważył, że mimo niewygodnej pozycji przespał parę godzin. Spojrzał w stronę telewizora. Nagły impuls kazał mu wziąć do ręki pilota...

„Odrażająca zbrodnia w podwarszawskim kościółku” była pierwszą informacją TVN-owskich „Faktów”. Reporterka, stojąc przed główną bramą świątyni, teraz przegrodzoną policyjną taśmą, relacjonowała sprawę morderstwa starego proboszcza, którego zwłoki odkryła grupka ministrantów. W tle kręcili się policjanci, wśród których uwagę zwracała postawna blondynka o szwedzkim typie urody, szczególnie chętnie nagabywana przez dziennikarzy. Sulewskiemu wydało się, że śni, kiedy ujrzał własną fotografię z prymicji. To jego podejrzewano o morderstwo przełożonego, kradzież pieniędzy i samochodu. Cóż za bzdura! Wśród wielu informacji pojawiła się też jedna, sugerująca, że mord może mieć tło seksualne. W sypialni wikarego znaleziono bowiem sporo homoseksualnej pornografii.

Cały się zagotował. „Co za podłe kłamstwo! Czy nikt nie widzi, że to nie trzyma się kupy? Przecież już oględziny ciała i otworu postrzałowego powinny świadczyć, że nie mógł tego zrobić. Skąd wziąłby broń z tłumikiem?...” Tymczasem w relacji raz po raz powtarzało się stwierdzenie „o straszliwie okaleczonych zwłokach”. Co to mogło znaczyć? Dociekliwej reporterce i to udało się ustalić. Ciało księdza, znalezione przez dzieci, pozbawione było głowy.

— Boże Świąty! — wyszeptał. Dobre kilka minut nie mógł dojść do siebie.

Pod koniec „Faktów” znów wrócono do sprawy „mordu w kościele”. Reporterka o miłej, nieco lalkowatej buzi rozmawiała ze znanym, niezwykle popularnym księdzem, częstym uczestnikiem telewizyjnych programów. W seminarium duchownym należał do ulubionych wykładowców Sulewskiego.

— Trudno uwierzyć, że Paweł S. mógł uczynić coś tak odrażającego — powtarzał profesor. — Nie mieści mi się to w głowie!

— Z naszych informacji wynika, że przed wstąpieniem do seminarium odbywał służbę wojskową i zamierzał zostać komandosem. Pojawiają się też opinie, że był niezrównoważony emocjonalnie — naciskała dziennikarka.

— Nigdy o tym nie słyszałem. Będziemy się za niego modlić... — w głosie starszego kapłana zabrzmiało to jak rezygnacja.

Ciężar czyjegoś wzroku sprawił, że Paweł odwrócił głowę. W uchylonych drzwiach stała bielsza niż obrus pani Basia. Jej wzrok wyrażał przerażenie, gniew i nienawiść.

— Mordercaaaa! — wrzasnęła rozdzierająco.

Od strony uliczki doleciał głośny pisk opon hamującego samochodu. Sulewski nie zamierzał czekać, by dowiedzieć się, kto przyjechał. Poczul, że ostatnia deska ratunku usuwa mu się spod nóg. Teraz nawet biskup nie zechce pomóc oskarżonemu o tak potworne zabójstwo księdzu, nie ochroni go przed zatrzymaniem, a gdy już zostanie aresztowany... Mógł sam się przekonać, że jego prześladowcy mają wystarczająco długie ręce, by uniemożliwić mu rzetelne zeznania. Kobieta ciągle krzyczała. Otworzył szerzej okno wychodzące na ogród. Dzień ciągle był jasny, chociaż od wschodu zaczynało się chmurzyć. Wskoczył na wysypaną jasnym piaskiem ścieżkę. Minął opustoszały plac zabaw z huśtawkami i zjeżdżalnią. Sforsował jedno ogrodzenie, na drugim pozostawił strzępek kurtki. Nie zważając na pisk opon i ryki klaksonów, przedarł się przez zakorkowaną autami ulicę i skrył w cieniu zagajnika. Błogosławił niechęć rodaków do spacerów. Znał ten las jak własną kieszeń, wciąż znajdowały się tam rowy po starych okopach. Przycupnął w jednym z nich... Serce łomotało mu jak oszalałe.

Jego przewaga nad pościgiem malała w zastraszającym tempie. Wiedział, że jest napiętnowany. Dzięki telewizji jego twarz była już znana milionom. Ludzie nie dadzą mu szansy cokolwiek wyjaśnić — szaleniec, morderca, pedał, złodziej — dość powodów do samosądu, a na pewno do oddania go w ręce policji. Gdzie mógłby się schronić? Jak doczekać poniedziałku? Korciło go puste mieszkanie na Saskiej Kępie przy Walecznych... Lecz jeśli podczas przesłuchania wydarli ze starca adres, wpakowałby się prosto w ich ręce.

Zagrzmiało. Nadciągnęła burza, a on nie miał nawet płaszcza. Jednak deszcz mógł być chwilowym sprzymierzeńcem — kiepska widoczność, mało ludzi. Kto wie, może nawet utrudni pracę psów, jeśli je sprowadzili.

Kolejnym sojusznikiem okazał się pijaczek, który przykryty „Gazetą Wyborczą” drzemał w rowie. Nie wyglądał na takiego, który ogląda telewizję. Paweł obudził go i za obiecane pół litra menel przyniósł mu z samochodu kurtkę i zapasowe ubranie. Przy okazji kupił chleb i kiełbasę...

Śledząc go z bezpiecznej odległości, doszedł do wniosku, że nikt nie obserwował samochodu. Nikt też nie szedł za alkoholikiem. Sulewskiemu zaświtała słaba nadzieja. Tym bardziej, że wpadł na pomysł, jak w miarę bezpiecznie dotrzeć do poniedziałku. Wymagało to jednak paru ryzykownych posunięć. Najpierw rozpił z pijaczkiem butelkę wódki. Trochę alkoholu wylał na znoszoną, ze śladami farby, kurtkę, przybrudził sobie twarz i naciągnął na głowę cuchnącą całym brudem świata czapkę pijaka. Potem razem wgramolili się do ruszającego z przystanku autobusu. Pasażerowie na ich widok zatykali nosy i odwracali głowy...

— Dokąd jedziemy? — czknął pijaczek.

— Po drugą „połówkę” — wyjaśnił ksiądz.

W dach autobusu zabębniły pierwsze krople deszczu.





# Z soboty na niedzielę

Kolejny wieczór krążyli po mieście wozem, który Demolka pożyczał sobie od starego Yogiego, gdy ten chłał. Gremlin, bojaźliwy, jak to kurdupel, miał nadzieję, że i tym razem ich łowy spełzną na niczym. Że w końcu sobie odpuszczą, pójdą na kręgielnię, strzelą piwko... „A może — pocieszał się — Sebastian tylko zgrywa chojraka? Testuje kumpli, czy nie stchórzą?” Chyba jednak tym razem się nie zgrywał. Yogi, ślepo wpatrzony w szefa, nie zauważał zmian, jakie zaszły ostatnio w Demolce. Od prochów całkiem pojebało mu się we łbie, a rzeczywistość doszczętnie przemieszała z wizjami rodem z *Biblia Szatana*.

— Książę Ciemności domaga się krwi! — powtarzał z uporem obu kumplom. — Prawdziwej, ludzkiej. Dość ma tego zastępczego szajsu, który mu ofiarujemy, tych psów, kotów, chomików. To dobre dla dzieci. Wymaga czegoś odłotowego. Inaczej w życiu się nam nie objawi i nie przekaże Mocy. A chyba chcecie Mocy, chłopaki?

Potwierdzali, bo co mieli zrobić? Podpaść mu? Demolka miał dopiero szesnaście lat, ale był wyrośnięty, już się golił i silny był jak byk. Swego czasu chodził na pakownię i póki na dobre nie odbiło mu z satanizmem, Gremlin uważał go za najfajniejszego szefa pod słońcem. Zwłaszcza gdy pogonił wyrostków z równoległej klasy, uwielbiających znęcać się nad niedużym okularnikiem.

Oczywiście Demolka nie robił tego dla pięknych, choć krótkowidzących oczu konusa. Nie chronił go też dla kasy, bo sam biedny z domu nie był. Skądś odkapował, że stary Jacka dużo może. I choć sam był ewidentnie pomyłony, wołał się na wszelki wypadek asekurować. Rok wcześniej sprawiało mu przyjemność znęcanie się nad nauczycielami, zwłaszcza słabym psychicznie geografem, ale kiedy sprawa się ryła i omal nie wywalono ich z budy (dyrektorka zmiękła dopiero po krótkiej, męskiej rozmowie ze starym Gremlina), porzucił ten rodzaj zabaw.

— Głupio tak podpadać — mawiał, zaciągając się jointem z marychą — to dobre dla kretynów.

Owszem, zmuszał ich niekiedy do zadań specjalnych. Aby się zasłużyć i wkupić na Nowy Rok, kurdupel musiał rąbnąć w markecie cyfrowy aparat, a Yogi w kominiarce skopać w ślepej uliczce chłopaka ze swej szkoły, o którym mówiono — „nie dość, że prymus, to jeszcze cwel i Żyd”. Zresztą Yogi, wprowadzie dość ociężały umysłowo (jedyną pionę na świadectwie miał z wuefu), akceptowany był przez Demolkę z jeszcze innego powodu — jako jedyny z grupy skończył osiemnastkę i miał prawo jazdy, a ktoś przecież musiał prowadzić brykę. Demolka potrafił jeździć i bez prawka, ale wołał, siedząc obok kierowcy, wypatrywać ofiary.

Właściwej ofiary! Takiej w sam raz na „czarną mszę”. Bowiem tylko prawdziwa krew mogła pomóc im w przekroczeniu bram ciemności.

— Inaczej Szatan nigdy nam się nie ukaze — twierdził Demolka. — Nie da nam Mocy.

Yogi całkowicie podzielał jego zdanie. Gremlin bał się, ale milczał. Sam słabeusz i tchórz, lubił obserwować strach innych. Odczuwał niebywałą frajdę, kiedy idąc z kumplami szkolnym korytarzem,

widział, jak wszyscy spadali im z drogi, albo gdy chemica czerwieniła się i traciła rezon pod ciężarem bezczelnego spojrzenia Sebastiana, wpatrującego się w jej przesadnie chude łydki, lub wodzącego zapałką po ustach ze wzrokiem skoncentrowanym na jej nieforemnym, widocznym mimo grubego swetra, staniku. Jednak co innego szpan, a co innego zbrodnia. Owszem, kiedy na ofiary przeznaczano bezpańskie koty i psy, był pierwszy do działania. Przemógł początkową odrazę i ochoczo rozpruwał im brzuchy, babrał się w ciepłych wnętrznościach... Ale myśl, że miałby podnieść rękę na człowieka...

— Trzęsiesz dupą, mały? — zapytał Demolka, kiedy ruszali na akcję.

— Gdzie tam...

— Przecież widzę. Pory pełne strachu.

— Wcale się nie pietram — tłumaczył nieskładnie. — Tylko nie chciałbym dać się zgarnąć i kiblować resztę życia.

— Nikt nie chce. Dlatego będziemy działać czujnie i nie damy się namierzyć glinom. Wszystko przewidziałem. Jesteśmy przygotowani i zabezpieczeni. Ofiara nie będzie nas znać. Miejsce na misterium też wybrałem w odległej dzielnicy.

— A ja załatwiłem rękawiczki i kondony — pochwalił się Yogi. — Mam też trzy maski. Zrobione z rajstop.

— Słusznie, przydadzą się, gdybyśmy uznali, że można puścić sucz żywcem...

Po burzy przejaśniło się. Czerwone luny zachodu zawisły nad miastem, ruch jednak nie wrócił już do poprzedniego napięcia. Starsi woleli oglądać seriale, powtórki z reality show, a młodzież łupać w gry komputerowe.

Ściemniało się już, gdy ją zobaczyli, jak wychodzi z bramy brzydkiej, ceglanej kamienicy, ozdobionej dumnym szyldem „Szkoła Języków Obcych”. Demolka tylko mlasnął językiem. Nawet idiota Yogi zrozumiał, że to znak najwyższej aprobaty. Szczupła, jasnowłosa, szła z gracją, nieznacznie kręcąc tyłeczkiem — nie mniej i nie więcej niż potrzeba, by facetom hajcowały hormony. Gdyby jeszcze się okazało, że jest dziewcziną...

Demolka nakazał gestem — STOP!, a Yogi, chociaż głąb, pojął, o co chodzi, i przystanął. Maszerująca z książkami pod pachą dziewczyna minęła ich, nie zwracając uwagi na samochód. Szeł rozejrzał się jeszcze raz dookoła i dał znak kierowcy.

Ten ruszył wolniutko i wkrótce zrównał się z uczennicą. — Bardzo przepraszam... — Demolka opuścił szybę i wyściubił łeb przez okienko. — Chyba się zgubiliśmy... Chciałbym wyjechać na drogę w stronę Białegostoku.

Dziewczyna zatrzymała się i przez moment taksowała pytającego. Pogodna twarz nastolatka o szerokim, nieco zakłopotanym uśmiechu wzbudziła jej zaufanie.

— To trochę skomplikowane. Zna pan Warszawę?

— Tyle, co nic — odparł, licząc, że nie zwróci przypadkiem uwagi na stołeczną rejestrację gabloty. — Ale gdyby zechciała mi pani pokazać na planie...

Wyszedł z wozu z rozłożoną mapą i podał ją dziewczynie. Zatrzymali się pod latarnią. Kątem oka sprawdził, czy ulica nadal jest pusta.

— Jesteśmy tutaj... — zaczęła blondynka. I urwała. Poczowała, jak silne ramię chwyta ją i obezwładnia, a ktoś przytyka jej do twarzy tampon nasączony jakimś paskudztwem. Szamotała się chwilę, potem zwiotczała. Yogi otworzył bagażnik...

Gremlin czuł mrowienie w całym ciele i bał się, że lada chwila zleje się w portki. A z drugiej strony coś krzyczało w nim: „Udało się. Jakie to proste!”

\*

W herbarzach Niesieckiego czy Paprockiego próżno by szukać wzmianek o rodzinie Koziemłockich. Tym bardziej nie wspomina o nich *Almanach Gotajski*. Również ewentualne zasługi tej rodziny dla stolicy uszły uwadze nawet najbardziej wnikliwych varsavianistów. Jediną pamiątką po owym rodzie pozostaje okazała, położona w rzadko odwiedzanej części starej nekropolii neogotycka krypta, która dziwnym trafem nie wzbudziła zainteresowania znakomitego biografisty — Stanisława Szenica.

Banda Demolki dostała się na cmentarz bramą, otwieraną jedynie na Święto Zmarłych, do której jednak udało im się wcześniej dorobić klucz. Jeszcze nie zapadła noc, lecz wysokie drzewa odbierały resztkę światła, tak że w kompletnie wyludnionej alejce było mroczno, jeśli nie liczyć pełgających tu i ówdzie światełek nagrobnych zniczy. Niosąc w kocu uspioną dziewczynę, przypominali jakiś zapóźniony kondukt, który co rusz potykał się na ledwie widocznej ścieżce. Gremlin nie lubił cmentarzy. Bał się duchów, umarłaków i w ogóle ciemności, choć jego stary, od lat usiłujący wychować go na supermena, łoł mu skórę za każdą próbę zasypiania przy świetle. Dało to skutek poniekąd odwrotny. Wprawdzie chłopak gasił światło, ale nadal się bał i parę razy zmoczył się w nocy, toteż całkiem do niedawna profilaktycznie sam sobie zakładał pieluchę, wiedząc, że gdyby ojciec dowiedział się o zasikaniu łóżka, represje byłyby straszliwe. Rodzic wprawdzie nigdy nie podnosił głosu i nie robił awantur, ale działał z bezwzględną konsekwencją — nagrody i kary wymierzane były z zimną precyzją cyborga. I to najbardziej przerażało nastolatka. Sam musiał określić stopień przewiny i poprosić o określoną liczbę uderzeń paskiem.

Nie podobało mu się, że musi być na cmentarzu, jak i to, że Demolka nie pozwolił włączyć latarek, bardzo podobała mu się natomiast widoczna momentami, kiedy wychodzili na mniej zadrzewione skrzyżowania alejek, twarz porwanej. Przypominała odrobinę Wenus wychodzącą z morskiej piany pędzla jakiegoś włoskiego malarza, którą zapamiętał z podręcznika do historii. Co ważniejsze, w

odróżnieniu od wszystkich dziewczyn z klasy, które go lekcewały, była bezbronna i taka bliska. Wręcz w zasięgu ręki.

— Naprawdę będę ją mógł...? — upewnił się, kiedy parkowali samochód pośród krzaków nieopodal bramy.

— Jasna rzecz, Gremlin. Jako trzeci! — powiedział szef. Kłódkę z grobowca usunęli wcześniej. Teraz wystarczyło otworzyć grube, niepokojąco masywne drzwiczki. Zgrzytnęły potępieńczo. Konus zadygotał. W środku zastali wszystko gotowe, planowali to przecież od paru dni. Płyta w posadzce, prowadząca do katakumb, była uniesiona i zabezpieczona cegłą, by nie opadła. Zapalili latarki, kierując światło na koc z dziewczyną.

— Do roboty! — powiedział Demolka.

— To znaczy?

— Załóżcie maski, a potem rozbierzcie ją!

Yogiego nie trzeba było zachęcać. Choć widać było, że i on nie ma wprawy w odnajdywaniu wszystkich zamków, haftek i guzików, w jakie złośliwość producentów wyposażyla strój kobiecy.

Żakiet, spódniczka, bluzka dały się ściągnąć szybko. Jacek dobrą chwilę mocował się ze stanikiem, spocone ręce mu drżały, nie mógł odnaleźć zapięcia, aż musiał mu pomóc Yogi. Sebastian nie uczestniczył w wyłuskiwaniu owocu z łupiny. Stał, patrzył i się uśmiechał.

Wreszcie piersi raptownie wyskoczyły z opakowania. Niewielkie, jędrne, osobliwie kształtne, o blad różowych sutkach, cudne egzotyczne owoce, które widywali dotąd jedynie w internetowych pornosach. Następnie Yogi, nie dbając o finezję, zdarł z dziewczyny majtki razem z rajstopami.

Oczom Gremlina ukazało się małe, kosmate stworzonko, przypominające mu chomika, którego jakiś czas temu udusił na polecenie swego guru. Nie było to znów takie trudne, po prostu ścisnął gryzonia coraz mocniej i mocniej. Teraz też okropnie zapragnął pogłaskać to fascynujące futerko. Ale nie śmiał. Tymczasem do dzieła włączył się sam Sebastian. Przyklęknął i mocno rozchylił uda dziewczyny, a potem pośliniwszy palec, zagłębił go bezceremonialnie w wąziutką szczelinę.

— Mamy farta. Dziewica! — powiedział tonem eksperta–ginekologa.

Dziewczyna westchnęła. Zatrzepotała rękami i otworzyła oczy. W ułamku sekundy jej zdumienie przerodziło się w strach. Krzyknęła, a właściwie próbowała krzyknąć, bo potężna łapa Yogiego zatkała jej usta. Chwilę wiła się w gmatwaniu rąk, walcząc z siłą, o jaką nikt by jej nie posądził. Wreszcie przydusili ją do ziemi, a Demolka błysnął sprężynowym majchrem.

— Bądź rozsądna, brzoskwinko — powiedział zimno. Ostrzem noża dotknął jej szyi. Zamarła. — Teraz możesz ją puścić, Yogi!

Osilek po chwili wahania odkrył jej usta. Oddychała płytko, jakby zaraz miała zemdleć.



— Czego chcecie? — wyszeptwała, mrużąc oczy.

— Pobawić się, to chyba jasne.

— Zgwałćcie mnie?

— Jeśli będziesz współpracować, po prostu się pokochamy. Małe softporno i po krzyku.

— We czwórkę?

— Małego nie licz, nawet nie poczujesz — zarechotał Yogi.

— Słuchajcie, to głupi pomysł — widać było, że intensywnie kombinuje. — Co zyskacie, jeśli będę leżała jak kłoda?

— To się postaraj nie leżeć jak kłoda. — Demolka przejechał szpicem noża po krągłym ramieniu. Niczym drobny ścieg pojawiły się kropelki krwi.

— Nie róbcie mi krzywdy! — zawołała.

— Na dół! — szef poczekał, aż Yogi z Gremlinem podniosą kamienną płytę, i popchnął dziewczynę ku schodkom.

— Gdzie mnie prowadzicie?

— Do gniazdka miłości i śmierci.

Katakumby Koziemłockich okazały się dużo rozleglejsze niż kapliczka na górze, trumny stały w trzech kondygnacjach wnek po obu stronach kamiennej ławy, służącej zapewne jako katafalk.

Dziewczynę jakby opuściły wszystkie siły, prawie zaprzestała oporu, dała się sprowadzić na dół, pchnąć na ławę. Jej szeroko rozwarte oczy wyrażały krańcową trwogę.

Gremlin nie czuł już podniecenia. Gdyby od niego zależało, puściłby zdobycz. No, może trochę obmacał. A tu przecież prócz gwałtu czekał ich dalszy ciąg przerażającego rytuału. Chociaż fakt, że założyli maski, mógł świadczyć, że Sebastian nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji. Zapalili dwie świece i prowodyr rzekł majestatycznie:

— Książę piekieł, oto przybyliśmy do ciebie! Bądź pochwalony.

Prawie natychmiast za trumną w najgłębszej wnęce dał się słyszeć jakiś chrobot. Potem nad wiekiem ukazała się czyjaś ręka...

— Wampir! — z ust Yogiego wyrwał się okrzyk zgrozy.

Ktoś podnosił się, gramoląc w ich kierunku. Był ogromny, przerażający i... żywy.

„Zombi!” — przemknęło przez myśl Jackowi. W dwie sekundy znalazł się na górze.

Osilek gnał tuż za nim. Krzycząc ze strachu, biegli przez cmentarz, póki kurdupel nie potknął się na jakimś nagrobku i nie wyłożył jak długi, a jego kumpel nie wylądował w ramionach marmurowego anioła.

Demolka nie uciekł. Po pierwsze, ze spodniami opuszczonymi do kolan raczej nie mógł tego zrobić, a po drugie za nic nie okazałby strachu przy chłopakach. Podciągnął gacie, wy dobył nóż — był gotów do walki. Mężczyzna, który wynurzył się z wnęki, wysoki i jasnowłosy, zdecydowanie niczym nie przypominał upiora. Nie przeraził go też widok ostrej klingi. Nagłym wyrzutem stopy kopnął chłopaka w nadgarstek, wytrącając sprężynowca. Drugi cios pozbawił Sebastiana tchu, a pewny chwyt unieruchomił go definitywnie.

— No, co pan, co pan! — zaskowyczał boleśnie.

— Nie wywołuj diabła, bo kiedyś naprawdę przyjdzie po twoją duszę! — padło w odpowiedzi.

Dziewczyna, przed chwilą jeszcze pokorna jak ofiarna owieczka, teraz usiadła na kamiennej ławie i błyskawicznie chwyciła nóż małolata.

— Pozwól, ja go zabiję! — zawołała.

— Nie pozwolę! Wybacz mi, albowiem nie wiedział, co czyni. — To mówiąc, Paweł puścił Demolkę i łagodnie wyjął nóż z ręki niedoszłej ofiary. Podtrzymując spodnie, na miękkich nogach młody satanista wygramolił się z krypty. Nie przyszło mu nawet do głowy, by opuścić za sobą płytę.

— Już nie ma czego się bać. Ubierz się — powiedział cicho Sulewski.

Chyba dopiero teraz dotarło do niej, z jak strasznej opresji się wydobyła. Skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę, zaczęła płakać... Dygotać. Ksiądz szybko pobiegł schodkami na górę.

— Proszę, nie zostawiaj mnie tu samej! — krzyknęła.

— Bez obaw, idę tylko po twoje ubranie.

Zrzucił jej do krypty ubranie, nie chcąc asystować przy wkładaniu bielizny.

Szła jej nieskładnie, trzęsła się i nadal płakała.

Ksiądz odnalazł tymczasem dzinsową kurtkę Yogiego. W kieszeni brzęknęły kluczyki od samochodu. I wielki klucz od cmentarnej bramy. Paweł uśmiechnął się na myśl o tym podarunku losu.

— Pośpiesz się! — zawołał do dziewczyny.

W trakcie ubierania znów zapadła w chwilową katatonię, zbiegł więc na dół i wyprowadzając dziewczynę z podziemi, mówił do niej łagodnie, iż nic już im nie grozi, że nic się nie stało. Już wcześniej zauważył, że mimo rozczochranych włosów i rozmazanego makijażu była bardzo ładna.

Wreszcie przestała pochlipywać.

Gdy wyszli na zewnątrz, po satanistach nie było śladu.

— Co za skurwysyny! — rzuciła za nimi w noc.

— Nie musisz używać tak wulgarnych słów — powiedział Paweł. — Jak ci na imię?

— Dominika.

— Dzień Pański — zauważył, a w duchu pomyślał, że to może być dobry znak.

— Myśli pan, że zamierzali mnie zabić? — spytała, próbując palcami uporządkować fryzurę.

Sulewski miał swoje podejrzenia, ale uznał, że nie powinien jeszcze bardziej stresować dziewczyny, toteż odrzekł:

— Nie sądzę. Ukrywali twarze.

Następnie zapytał Dominikę, czy umie prowadzić samochód.

— Pół roku temu zdałam egzamin w pierwszym podejściu — odparła z dumą.

— W takim razie chyba będę miał dla ciebie środek transportu — i pokazał jej znalezione kluczyki.

— To od ich wozu?

— Prawdopodobnie.

— Przecież mogą tam na nas czekać.

— To nawet pewne. Na wszelki wypadek ja będę oświetlał drogę przed nami, a ty za nami. Unikniemy zaskoczenia.

— Ale ich jest trzech!!!

— To akurat niewielu. Wychowałem się na podwórku w Mińsku Mazowieckim i był czas, że musiałem wychodzić z dużo większych opresji. A i w wojsku przeszedłem niezłą szkołę. Te dzieciaki... Cóż. Broni palnej raczej nie mają. Poza tym my możemy przewidzieć, jak oni się zachowają, a na odwrót — nie ma mowy.

Z głównej alejki skręcił w wąską przecznicę, prowadzącą w stronę cmentarnego muru. Już jakiś czas temu odkrył miejsce, przez które nawet niezbyt wysportowany człowiek mógł bez trudu się stąd wydostać. Dominika posłusznie dreptała obok.

— Pan się chyba w ogóle nie boi — rzekła z wyraźnym podziwem.

— Boję się wielu rzeczy, córko, a jednocześnie wierzę, że wszystko jest w ręku Boga.

— Mówi pan jak ksiądz.

— Bo nim jestem.

Po tej wymianie zdań dziewczyna na dłuższą chwilę zamilkła, widać było, że zastanawia się nad czymś głęboko.

— Nie wierzę w Boga — wyrzuciła wreszcie z siebie. — I proszę mnie nie agitować!

Oświadczenie nie zdziwiło go. Bardzo często spotykał się z podobnie emocjonalnymi deklaracjami. Zapytał tylko:

— A, tak z ciekawości, próbowałaś Go poznać?

— Jako dziecko chodziłam do kościoła. Przystąpiłam nawet do pierwszej komunii. Owczy pęd! — machnęła lekceważąco ręką. — Chciałam mieć białą sukienkę jak inne dziewczynki...

— Już wtedy nie wierzyłaś?

— W takim wieku wierzy się nawet w bajki.

— Czemu w takim razie odeszłaś?

— Bo uznałam, że to wszystko nie ma sensu. Te obrzędy, procesje. Szopka dla maluczkich. Nie chcę księdza urazić, ale miałam złe doświadczenia z kościoła. Jestem dosyć krytyczna, a co tam zobaczyłam? Księży wygadujących brednie dla kasy, bez wiary w to, co mówią, klepiące zdrowaśki śmierzące stare baby i wierzących, którzy natychmiast po wyjściu z kościoła grzeszyli bardziej od niewierzących.

— Jesteś tego pewna?

— Tata zawsze mówi o takich katolikach: „Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą”. A poza tym staram się myśleć. Każdy, kto choć trochę interesuje się światem, wie, że religia jest zaprzeczeniem rozumu. W świetle najnowszych odkryć nie ma miejsca na cuda, Boga, anioły czy piekło...

— Sama stałaś na jego krawędzi. Nie bałaś się?

— Bałam się bólu, cierpienia.

— A tego, co spotkasz po drugiej stronie?

— Po drugiej stronie nie ma nic. Po prostu zgaśnie światło.

Demolka dogonił kompanów przy samochodzie.

— Zostawiliście mnie, kutasy! — krzyknął z wściekłością.

— Mieliśmy walczyć z diabłem?

— Chuj, nie diabeł. Trafiliśmy na jakiegoś pieprzonego komandosa. Zabrał mi majcher i o mało co nie rozwalił ręki! No nic, zmywamy się... Zapalaj, Rychu.

— Nie mam kluczyków — mruknął Yogi.

— Co?!

Wielkolud z przerażenia zaczął się jękać.

— Zo...osstawiłem ttą chrzanioną kkkatanę w kaplicy.

— No, to na co czekasz? Zapierdalać mi po nią. Obaj!

Nie kwapili się.

— Wydaje mi się, że wystarczy poczekać — ośmielił się odezwać Gremlin. — Jeśli znaleźli kluczyki, będą chcieli skorzystać z naszej gabloty.

— Jeśli będzie tylko jeden... — podchwycił Yogi — zajebimy gościa!

Znalezione gałęzie miały posłużyć im za pałki. Demolka ułamał nawet ramię przerdzewiałego krzyża i wywijał nim ochoczo.

— Pokażemy temu Rambo dla ubogich! — zarechotał nerwowo.

Szybko rozdzielili stanowiska. Cofnął się na cmentarz i poustawiał kumpli za nagrobkami. Czekali, rozkoszując się myślą o zemście.

Naraz za ich plecami zaskrzypiała brama. Łomot. Ktoś zamknął ją energicznie. Usłyszeli zgrzyt klucza.

— O kurwa! — zaklął Yogi.

Rzucili się ku wrotom, klnąc i bębniąc w metal.

— Życzę dobrej nocy, panowie — odezwał się dźwięczny głos z drugiej strony. — Nic tak nie nastraja do myśli o sprawach ostatecznych jak nocleg na cmentarzu.

Dominika czekała na księdza pod latarnią, samochód chłopaków stał parę kroków dalej.

— Jedź — wręczył jej kluczyki. — Jeśli przypadkiem zatrzyma cię policja, opowiesz, co się stało. Nie musisz o mnie wspominać.

— A ksiądz nie pojedzie ze mną?

— Nie mogę! — pokręcił głową. Zauważył, że dziewczyna wpatruje się w niego intensywnie. — Naprawdę nie mogę — powtórzył.

— Rozumiem — w końcu dała za wygraną. — Ksiądz się ukrywa.

— Skąd ci to przyszło do głowy...?

Przerwała mu energicznie.

— Proszę nie kłamać. Przed pójściem na angielski oglądałam telewizję. Pokazywali zdjęcie księdza. Wiem o wszystkim!

— Dlaczego więc nie uciekasz? — Sulewski był wyraźnie zaskoczony.

Wzruszyła ramionami.

— Tata mówił mi, że nie należy bezkrytycznie wierzyć telewizji. A poza tym ksiądz uratował mi życie, rezygnując z ukrywania się. No i... nie pozwolił zabić tego łotra...

— To nie zmienia faktu, że mogłem przecież zamordować starego proboszcza.

— Mam tylko osiemnaście lat, ale nieźle znam się na ludziach. Mówili, że sprawca zbrodni jest gejem. Ksiądz nim z pewnością nie jest.

— Skąd ta pewność?

— Zauważyłam, jak ksiądz patrzył na mnie, gdy byłam naga. Zupełnie bez obrzydzenia.

Sulewski poczuł, jak rumieniec oblewa mu twarz.

— Rzeczywiście — powiedział. — Nikogo nie zabiłem. Wrabiają mnie.

— Czy mogłabym jakoś pomóc?

Pokręcił głową.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, dziecko. Dam sobie jakoś radę. Moja sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna. Wystarczy, że nie zostanę aresztowany przed poniedziałkiem, a wtedy zdobędę dowody świadczące o mej niewinności...

— Tylko gdzie się ksiądz podzieje do poniedziałku? Cmentarz nie będzie już najbezpieczniejszym

miejszem. Ten psychol widział twarz księdza. Kiedy jutro obejrzy telewizję i skojarzy fakty, z pewnością doniesie...

— Chwaląc się usiłowaniem gwałtu?

— Można donieść anonimowo.

Musiał przyznać dziewczynie rację. Była niezwykle bystra i myślała logicznie, zwłaszcza biorąc pod uwagę szok, jakiego dopiero co doświadczyła.

— Chwilowo nie mam pomysłu na inną kryjówkę — przyznał.

— Ale ja mam! — przerwała mu.

Od strony cmentarza dobiegał rumor i wrzaski. To podsadzony przez kumpli Yogi wylądował po drugiej stronie muru, boleśnie wybijając sobie kostkę.

— Jedźmy, proszę księdza. Niech ksiądz wsiada. — Dominika pociągnęła Sulewskiego do samochodu i zapaliła silnik. Ruszyli, nim kuśtykający Yogi i opuszczający się po murze Demolka mogli cokolwiek zrobić.

W mieście, choć dochodziła północ, ruch panował wciąż znaczny. Młodzież bawiła się w dyskotekach, przy Wisłostradzie pulsowały życiem i żywcem liczne ogródki i piwiarnie. Dominika prowadziła wóz może trochę nerwowo, ale zgodnie z przepisami. Sulewski na tylnym siedzeniu kulił się, ilekroć stawali na świetle lub wyprzedzał ich samochód choćby tylko przypominający radiowóz.

— Dokąd mnie wieziesz? — zapytał po chwili.

— Do siebie! Znaczy, do moich sąsiadów zza ściany. Wyjechali na urlop i zostawiali mi klucze, żebym podlewała kwiatki.

— Mają garaż?

— Tak... Dlaczego ksiądz pyta?

— Musimy gdzieś ukryć ten wóz. Jak wszystko szczęśliwie się zakończy, trzeba będzie zwrócić go właścicielom.

— Gdyby to był film, strącilibyśmy go z wielkim pluskiem do rzeki — zaśmiała się dziewczyna.

— Ale to nie jest film, Dominiko. Niestety.





# Niedziela

Obudził się dość późno. Sądząc po kącie padania promieni słonecznych, minęła już dziewiąta. Niemożliwe, przespałby poranną mszę? I nikt go nie obudził?! Zerwał się i osłupiał. Otaczało go kompletnie nieznanne wnętrze. Meble z Ikei, kryształ na półkach, na ścianie reprodukcja *Słoneczników* van Gogha...

— Więc to nie był koszmarny sen! — westchnął, siadając ciężko na tapczanie.

Naprawdę jest poszukiwany za zabójstwo, przespał noc w mieszkaniu, które udostępniła mu ocalona na cmentarzu dziewczyna... Podszedł do okna i wyjrzał ostrożnie. Pospolity pejzaż blokowiska. Mógł znajdować się równie dobrze na Ursynowie, na Bródnie czy w Ursusie. W nocy w ogóle nie zwracał uwagi, dokąd jadą. Korciło go, by włączyć radio i posłuchać niedzielnej transmisji mszy, ale zdawał sobie sprawę, jak akustyczne bywają ściany w bloku. Ukląkł. Cisza jest najlepszym tłem do modlitwy.

Dominika zjawiała się dopiero około jedenastej. Uśmiechnięta, zadowolona z siebie. Makijaż tuszował dość udatnie sińce pod oczami. Przyniosła śniadanie — parę kunsztownie sporządzonych kanapek.

— Musiałam poczekać, aż starzy pójdą do supermarketu — powiedziała. — Jak w każdą niedzielę.

— Z twoich słów wynika, że nie chodzą do kościoła.

— Szkoda im czasu. Zresztą dziś robią większe zakupy. Po południu ojciec zabiera mamę i jadą na naszą działkę nad Narew. Zostaną tam najpewniej do końca miesiąca.

— Nie jedziesz z nimi?

— Aż tak rodzinna nie jestem. Ryb nie łowię, piwa nie piję...

Ustawiła przed nim na niskim stole talerz z kanapkami, dla siebie (wiadomo — dieta!) rezerwując jedynie serki, pomidory i jajka na twardo.

— Postanowiłam poczekać z jedzeniem na pana... znaczy księdza — poprawiła się.

— Mów mi po imieniu. Nazywam się Paweł.

— Paweł S.?

— Sulewski. Wydaje mi się, że nie jestem aż tak stary, żebyś traktowała mnie jak ojca.

— Musiałbyś dość wcześnie zacząć.

Popatrzyła na niego na wpół drwiąco, na wpół prowokująco, aż zrobiło mu się nieswojo. Bez

bezpiecznej kratki konfesjonału czuł się w towarzystwie tej dziewczyny prawie nagi.

— A ile masz lat?

— Trzydzieści! W styczniu zacznę trzydziesty pierwszy rok.

— To rzeczywiście nie tak dużo. Miałam chłopaka w wieku księdza. Miły facet. Ale musieliśmy się rozstać.

— Wyjechał?

— Bynajmniej, ale wyobraził sobie, że będę jedną z wielu pańienek w jego haremie. To mi nie odpowiadało. Głupia jestem, no nie? Miałam faceta z kasą, samochodem, mogłabym grzać się teraz w słończku na Krecie... Praktyczniej byłoby rzucić go dopiero po wakacjach.

— Więc jednak kierujesz się jakimiś zasadami?

— Ale ja je ustalam, nie Kościół — popatrzyła na niego tak zadziornie, że znów się zmieszał.

Tego ranka ubrana była skromnie, jak wyjątkowo grzeczna uczennica, a jednak wyczuwał w tej skromności coś niepokojącego. Rąbek czarnego stanika, widoczny w niedopiętej bluzce, sposób, w jaki zakładała nogę na nogę. I to przymykanie oczu, gdy gryzła niepokrojonego pomidora, a sok ściekał jej po brodzie... Prowokacja mimowolna czy zamierzona?

— A właściwie jak wpakowałeś się w te tarapaty? — zapytała zniecka.

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Jak to? — zdziwiła się. — Pomagam ci, przez co staję się współwinna zbrodni, „ukrywanie przestępcy grozi karą do lat pięciu” — zacytowała tekst komunikatu. — A ty nawet nie chcesz powiedzieć mi, o co chodzi?

— Ta wiedza zabija — starał się, aby zabrzmiało to absolutnie poważnie, lecz jego słowa nie zrobiły na Dominice właściwego wrażenia.

— No, to teraz dopiero mnie zaciekawiłeś! Pozwól, że zgadnę, o co chodzi. Twój proboszcz wpadł na trop jakiegoś gangu, a ten postanowił go sprzątnąć i wrobić w to ciebie?

Resztką pomidora nadal wisiła poniżej pięknie wymodelowanych ust. Nie wytrzymał, wziął serwetkę i otarł jej brodę. Uśmiechnęła się.

— I co, nie trafiłam? Bardzo się pomyliłam?

— Bardzo!

Stanowczo ta rozmowa toczyła się nazbyt pod jej dyktando. Chciał zmienić temat. Zapytał ją o zainteresowania. Plany życiowe.

— Muszę jakoś przetrzymać ostatni rok ogólniaka. A po maturze...? Starzy chcą wysłać mnie na marketing i zarządzanie albo na handel zagraniczny.

— A ty?

— Ja? Mam sto pomysłów na minutę. Rok temu chciałam być aktorką, ale okazało się, że za słabo śpiewam, poza tym — co to za pomysł na życie, recytować publicznie cudze teksty? Kiedy byłam z Karolem, myślałam o dziennikarstwie.

— Co znaczy byłaś? — pożałował pytania już w chwili, gdy je zadał.

— No, chodziłam z nim. Już chyba mówiłam. Do kina, do łóżka, na stadion. Był moim trenerem we florecie. Miał doskonale pchnięcia... Szokuje to księdza? Jakie czasy, takie obyczaje. I tak straciłam, jakby to ksiądz nazwał, swój wianek jako ostatnia w klasie. No, może nie licząc dwóch wyjątkowych szkarad, ale te nadają się tylko do klasztoru albo na politechnikę — zachichotała i znów obserwowwała, jakie wrażenie wywołuje to na księdzu.

— Nie zaszokujesz mnie — odparł. — W konfesjonale wysłuchuję nieraz gorszych rzeczy.

— I tego można wam duchowym pozazdrościć. Czasami też bym chciała posłuchać ludzi, a potem to spisać.

— Nas obowiązuje tajemnica!

— Wiem. Ale pomarzyć można! Wiesz, kiedyś naprawdę pragnęłam zostać pisarką. Nie uwierzysz. Jeszcze parę lat temu pisałam wiersze.

— Pokażesz mi?

— Były głupie. Spaliłam je.

— Szkoda. A zatem mówisz, że w grę wchodzi SGH albo dziennikarstwo?

Zareagowała emocjonalnie:

— Odpada jedno i drugie! Przecież u nas dziennikarze to takie same prostytutki jak politycy. Albo gorsze.

— To też zdanie twego ojca?

— Sama do tego doszłam. Mama pracuje w redakcji. Nie raz rozmawiałam nią i z jej koleżankami. Wiem, co się dzieje w gazetach, w telewizji. Jak wygląda u nas samodzielność, jak przedstawiają się w praktyce ideały dziennikarskiej rzetelności, bezstronności... Ręczne sterowanie, grupy interesów, koterie... Jak mówi moja przyszywana ciotka, która pracuje w telewizji, „wszystko to gównno oprócz moczu”.

— Lubisz, jak słyszę, wulgaryzmy?

— Są po to, by wyrażać emocje, których nie da się opisać przyzwoitymi słowami... O, cholera, chyba telefon się u mnie urywa!

Poderwała się z krzesła i wybiegła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Odetchnął z ulgą. Ta dziewczyna była w najwyższym stopniu denerwująca. Komplikowała jego i tak trudną sytuację, a co gorsza, burzyła wypracowany latami spokój. Może zresztą nie było w tym niczyjej winy? Po prostu wydarzenia poprzedniego dnia załamały system jego odporności psychicznej. A poza tym w jakiś sposób przypominała mu Marię. Choć fizycznie różniło je prawie wszystko. Maria była ciemnooką szatynką, drobną, ale o sporym biuście. Mówiła altem, nigdy nie klęła i była niezwykle skromna. Do tamtej nocy... Gdzie więc znajdował podobieństwo? W żywiołowości, żywotności, a może bezpośredniości, z jaką go traktowała...

Dominika wróciła po pięciu minutach.

— Umówiłam się z koleżanką — powiedziała — ale bez obaw. Nie sypnę naszych sekretów. Umiem trzymać język za zębami. Wracając, pomyślę o jakimś obiedzie... Aha. Nie spaliłam wszystkiego. Znalazłam jeden wiersz, który się jakoś uchował. Może ci się spodoba.

Położyła na stole kartkę, wyrwaną z zeszytu w kratkę. I już jej nie było.

Zaczął czytać:

*Bądź!*

*I niech kryształ świata pęknie*

*Jak słodki ból w kolorze krwi.*

*Ja się i śmierci nie ulękę,*

*Kiedy w nią wskoczysz za mną ty...*

*Krzyk sadu sypnie białym świętem,*

*Moim okryciem — słodkie bzy,*

*I będzie tak cholernie pięknie,*

*Że przełknę nawet twoje łzy...*

Przeczytał wiersz i zamyślił się. Poczł takie skrępowanie, jakby zajrzał w głąb duszy osiemnastoletniej dziewczyny i nie był pewien, co tam właściwie znalazł.

Siwy spotkał się z pułkownikiem, łysawym jegomościem ubierającym się z elegancją przedwojennego adwokata, w starym lokalu kontaktowym na jedenastym piętrze mrówkowca przy Grzybowskiej. Już sam fakt spotkania w cztery oczy, w tak pilnym trybie, świadczył o powadze sytuacji. Oficer, służący — jak uważano — z oddaniem wszystkim kolejnym rządów od 1989 roku, nie powinien kontaktować się osobiście z zawodowym egzekutorem, który oficjalnie odszedł ze służby jeszcze przed Okrągłym Stołem. Od tamtej wiosny do tej pory spotkali się tylko cztery, może pięć razy i zawsze były to sytuacje nadzwyczajne. W pozostałych przypadkach wystarczał telefon, poczta e-mailowa, komunikat pozornie bez znaczenia, łącznik...

Siwy mógł jedynie domyślać się faktycznej władzy pułkownika. Nie brakowało dowodów, że był kimś więcej, niż wynikałoby to z jego funkcji. Na przykład od dawna wiedział o istnieniu Omegi. Zabójca zaś o tym, że ktoś taki istnieje, dowiedział się dopiero, gdy polecono mu „posprzątać”. Z polecenia pułkownika wykonał też ostatnio parę zadań na terenie Wspólnoty Niepodległych Państw i trudno było przypuszczać, że były to własne pomysły polskiego oficera średniego szczebla.

Szef, kiedy był zły, zwykł bębnić palcami po stole. Tym razem czynił to ze zdwojoną siłą. Wysłuchał raportu egzekutora i dłuższą chwilę wpatrywał się w przestrzeń za oknem. Trudno orzec, co go tam zainteresowało — najnowsze wieżowce ze szkła czy widoczna w prześwicie między nimi iglica Pałacu Kultury.

— Źle się stało, bardzo źle, Heniu — powiedział.

Siwy milczał. Wolno sączył whisky z colą. Wreszcie rzekł z pewnym żalem:

— Trzeba było kazać go zlikwidować po pierwszym kontakcie z matką, a już na pewno wtedy, gdy przysłała informacja, że kupił laptopa.

— Monitorowaliśmy sieć — mruknął Łysy. — Z raportów wynikało, że oglądał wyłącznie pornosy. Poza tym nie mieliśmy powodu przypuszczać, że po pół wieku wiernej służby nagle zacznie sypać! Chociaż z drugiej strony, jak mawiał towarzysz Stalin: „Ufać jedno, kontrolować drugie”. Tak... Nic nie szkodziło wyeliminować starszaka przy pierwszym podejrzeniu... Miał zaawansowanego raka, można powiedzieć, że w jego przypadku eutanazja byłaby aktem miłosierdzia. Z drugiej strony jednak istniała dyrektywa, aby na tym etapie ograniczać dawne metody...

— Rozumiem.

— Niczego nie rozumiesz! Teraz mamy już następny etap. Jeśli choć część jego zwierzeń wypłynie na światło dzienne, smród zacznie urywać łby w połowie Eurazji.

Henryk sam chciałby wiedzieć, jakież to mogą być rewelacje, ale wolał poskromić ciekawość.

Jeśli szef uzna, że trzeba, sam mu powie. Jednak pułkownik nie wykazywał ochoty do zwierzeń. Wyciągnął teczkę z aktami Sulewskiego.

— Jeśli czegoś ci trzeba na wikarego, tu masz wszystko. Gorzej być nie mogło. Doskonały sportowiec, niedoszły komandos... Ciekawe, czy Omega wybrał go przypadkowo?

— Znajdziemy go. Prędzej czy później wpadnie. Mimo wszystko to nie Rambo. Nie ma gdzie się ukryć. Rodzina i znajomi są pod obserwacją. Kościół nie będzie go chronić. Nie miał nigdy kontaktu z subkulturami przestępczymi, policja już uaktywniła swoich informatorów wśród bezdomnych.

— Wolałbym, żebyś dopadł go przed policją.

— Nawet jeśli wcześniej zatrzyma go policja, zadbamy, aby nie chlapnął niczego, co mogłoby nam zaszkodzić. Mój człowiek jest w ekipie dochodzeniowej.

— „Piękna Lidzia”? — pułkownik uśmiechnął się po raz pierwszy.

— Jak zwykle jesteście dobrze poinformowani. Cóż, pomogłem jej trochę po śmierci ojca, nauczyłem tego i owego... Chociaż akurat to, że dzisiaj znalazła się w ekipie dochodzeniowej, uważam za czysty przypadek.

— Nie ma czystych przypadków — Łysy znów się uśmiechnął, tym razem chełpliwie, po czym natychmiast zmienił ton. — Sądziś, że dotąd nie wszedł w posiadanie dysku...?

— Pan wie najlepiej, w końcu to do pana dzwonił ten... Liwski.

— Tak. Pismak był pewien, że ksiądz nie miał jeszcze niczego w łapie. Sulewski, mówiąc mu o dokumentach, wspominał coś o poniedziałku.

— Czyli oznacza to, że z jakiegoś powodu przez weekend dysk jest niedostępny? To ważne. Ale i tak w grę wchodzi za dużo możliwości: skrytki bankowe, sejfy w jakichś instytucjach, komputery w biurach... Problem w tym, że Omega dał nogę w sobotę. Więc nie bardzo wiem, jak mógłby założyć skrytkę?

— Przyjmijmy, że zadołował tę dyskietkę już miesiąc temu — rzekł pułkownik. — Był wtedy ciągle w całkiem niezłej kondycji. Z raportu wynika, że urwał się naszym ludziom na jakieś trzy godziny. Wówczas zdecydowałem o wzmożeniu nadzoru, no i wezwaliśmy ciebie...

— A ja was zawiodłem — zacisnął usta egzekutor.

— Wszyscy popełniamy błędy, Heniu. Niech teraz każdy robi jednak swoje. Nawet jeśli klecha przechwyci nagranie, będzie mu trudno cokolwiek z nim zrobić.

— Może skopiować i rozesłać...

— Nie tak prędko, Heniu. Nasi ludzie w mediach zadbają, żeby do tego nie doszło. Podobnie w UOP-ie i kancelarii premiera. Poza tym, aby skopiować dysk, katabas musiałby mieć dostęp do

nagrywarki. A jak na razie, to siedzi gdzieś w krzakach i boi się nosa wystawić.

— Ja na jego miejscu włamałbym się do jakiegoś sklepu z komputerami. Bo wizyty w kawiarence internetowej raczej bym nie zaryzykował.

— Ty pewnie byś tak postąpił, ale w seminarium tego raczej nie uczą. Z kariery w siłach specjalnych na szczęście zrezygnował — uśmiechnął się pułkownik. — Zostawmy jednak te akademickie rozważania. Zakładam, że nie skopiuje materiału i nie roześle. Co najwyżej spróbuje podać dalej... I to jest główny powód naszego spotkania. Pamiętasz program „Mega”?

Nagły chłód przeniknął lędźwie Henryka. A więc o to chodzi?

— Oczywiście. Jednak ostatecznie zarzuciliśmy pracę nad nim po wydarzeniach w Rumunii.

— Potrafiłbyś go odmrozić? — głos pułkownika brzmiał wyjątkowo sucho. — Naturalnie w przypadku, gdybyśmy zostali zmuszeni.

— To poważna sprawa.

— Pytam o możliwości techniczne.

— Technicznie wszystko jest możliwe. Nawet obrócenie URM-u w kupkę popiołu.

— I za to właśnie cię lubię, Heniu! — pułkownik zaniechał bębnienia palcami i sięgnął po szklankę. — Nasze zdrowie!

\*

Dzień dłużył się niesłychanie. Sąsiedzi Dominiki nie należeli do moli książkowych. Oprócz paru lektur szkolnych ze zdekompletowaną *Trylogią*, był jeszcze jakiś poradnik wędkarski i książka kucharska. Pisma Świętego ani śladu. Sporo czasu poświęcił więc modlitwie, obejrzał też po cichutku „Teleexpress”. Rozesłano już za nim oficjalny list gończy. Władze nadały śledztwu najwyższy priorytet. Natomiast, rzecz znamienita, autorytety kościelne nabrały w tej sprawie wody w usta. „Może czują, że sprawa jest zbyt grubymi nićmi szyta?” — pomyślał Paweł.

Dominika wróciła koło szóstej. Przyniosła gorącą pizzę, zimne piwo i co najważniejsze — dobry nastrój. Przerażona dziewczynka z poprzedniego dnia ustąpiła miejsca pewnej siebie, świadomej swej urody i inteligencji osiemnastolatce.

— Spodobał ci się mój wiersz? — zapytała, gdy wzięli się do jedzenia. — Zajebisty, nie?

Książd omal nie udławił się kawałkiem ciasta z pepperoni.

— Powiedziałbym: bardzo osobisty. Kiedy go napisałaś?

— Przed pierwszą poważną randką — zaczerwieniła się lekko. — Obiecywałam sobie po niej Bóg wie co...

— I rozczarowałaś się?

— Stchórzyłam, nie poszłam. A teraz, czy ja mogę zadać pytanie?

— Proszę.

— Dlaczego zostałeś księdzem?

Chwile, zastanawiał się, co mógł jej powiedzieć.

— Chyba zawsze chciałem nim być. Mój wuj był duchownym, jako dziecko lubiłem bawić się w kościół.

— A później?

— Trafiłem na mądrych kapłanów.

— Miałeś szczęście. Ciekawe tylko, jak to pogodzić z bójkami na podwórku?

— Musiałem nauczyć się bronić, żeby przeżyć. Wiesz chyba, jakie są prawa blokowisk w mieście, które jest głównie sypialnią stolicy? Masz pojęcie, jak wygląda los chłopaka, który jest inny, słaby, drobny i brzydzi się przeklinaniem, a na dodatek chodzi do kościoła? Miałem do wyboru codzienny łomot i ucieczkę, albo stawienie czoła. Jeszcze w podstawówce zacząłem ćwiczyć hantlami, później dowiedziałem się, że przy sąsiedniej parafii powstała sekcja dzudo... Zapisalem się też na boks. Po roku zaczepki się skończyły, po dwóch mogłem sam chronić słabszych... Paru zakapiorów pożałowało dnia, kiedy podeszło mi pod rękę.

Patrzyła na niego z podziwem.

— Zawsze realizujesz to, co zamierzysz?

— Prawie.

— A tym razem? — obciągnęła spódniczkę, która podsunęła się zbyt wysoko.

— Co masz na myśli?

— Twoją rozgrywkę z „ciemnymi mocami”. Nawiasem mówiąc, ciągle nie powiedziałeś mi, jakimi.

— Na pewno nie poddam się łatwo.



— Pomogę ci — powiedziała tonem dziewczyny Bonda.

Z trudem opanował się, żeby nie krzyknąć.

— Dziewczyno, nie masz pojęcia, co tu jest grane!

— No, co?

— Powiem szczerze, że sam do końca tego nie rozumiem. Trudno wytłumaczyć to młodej osobie, wychowanej w zupełnie innych czasach...

— Uważasz mnie za kretynkę?

— Nie, ale powiedz mi, co to był komunizm?

Wyprężyła się jak wzorowa uczennica:

— Ustrój społeczny, panujący dziś na Kubie i w Korei Północnej.

— Piątka! A czy mówi ci coś termin „Służba Bezpieczeństwa”?

— Też słyszałam... To coś z policją. Nie... z milicją.

— Tu już gorzej. Właściwie powinienem zrobić ci wykład z najnowszej historii Polski.

— To zrób — zmarszczyła brwi, patrząc mu prosto w oczy. — Mamy mnóstwo czasu. I bardzo lubię słuchać twego głosu.

Opowieść trwała około pół godziny. Z grubsza nie były to sprawy kompletnie jej nieznane, bo podstawowe fakty przyswoiła sobie w szkole. Nieobce były jej takie określenia, jak Jałta i stalinizm, słyszała także o stanie wojennym, a kiedy zebrał się Okrągły Stół, przy którym komuniści dzielili się władzą z opozycją, chodziła do podstawówki. Wpadało jedynie na nowo fakty i procesy. Mimo całej inteligencji wydarzenia grudniowe na Wybrzeżu w 1970 roku myliły jej się z grudniowym zamachem stanu Jaruzelskiego. Co gorsza, wszystkie te zdarzenia pozbawione były dla niej głębszej treści, kontekstu, nie czuła ich specyficznego smaku, zapachu, czy jak kto woli, odoru Epoki. A ich bohaterowie przypominali raczej postacie z teatryku chińskich cieni. W dodatku nigdy nie przepadała za historią, toteż poziom emocji wobec wydarzeń z dziejów najnowszych nie różnił się temperaturą od podejścia do bitwy pod Grunwaldem czy nocy listopadowej. Dominika nie pamiętała kartek na mięso, cukier i benzynę, a kolejki przed sklepami były jedynie mglistym wspomnieniem... Nie mogła też wyobrazić sobie masowych internowań, a demonstracje patriotyczne kojarzyły jej się co najwyżej z zadymą, organizowaną przez płatnych bójówkarzy. Nie przeżyła pierwszych pielgrzymek papieskich. Jan Paweł II wydawał się jej sympatycznym, ale leciwym staruszkiem, który z niewiadomego powodu zawział się i zabraniał ludziom seksu, prezerwatyw i pigułek.

— Ojciec nigdy nie wspominał tamtych czasów? — dziwił się Sulewski.

Pokręciła głową. I jakby na usprawiedliwienie dodała:

— To inżynier. Nie widzi świata poza swoimi konstrukcjami. A w ogóle w tamtych czasach chyba był w partii. Co ma wspominać? Służba nie drużba.

— A twoja mama?

— Mama? — uśmiechnęła się leciutko. — Żyje dniem dzisiejszym. Zawsze interesowała się modą, kosmetykami, plotkami z życia wyższych sfer. I tak jej zostało.

Zapytał o Jerzego Popiełuszkę. W odpowiedzi usłyszał, że był to ksiądz wzywający do walki z komuną, który zginął, stawiając czynny opór władzy. Była kiedyś w kościele św. Stanisława na Żoliborzu. Zdziwiła się, kiedy Paweł zrelacjonował jej przebieg zbrodni — nie mogła uwierzyć, że tak ogromną furię mogły wzbudzać hasła w rodzaju „Zło dobrem zwyciężaj”. Szybko uświadomiła sobie jednak, do czego zmierza jego opowieść.

— Myślisz, że tacy jak ci trzej mogli zabić twojego proboszcza?

— Jestem tego prawie pewien.

— Ale dlaczego mieliby go mordować? Za przekonania? Teraz, kiedy każdy może powiedzieć czy napisać, co chce i jak chce? Przecież nikogo to już nie zainteresuje.

— Pomylili księdza Wacława ze mną. Sądziли, że posiada, że ja posiadam niewygodne dla nich tajemnice, przekazane podczas rozmowy przez pewnego starego człowieka...

— Tajemnice? — teraz zainteresowała się na dobre. — Ale jakie? Stare dzieje nikogo nie obchodzą. Tamtego systemu dawno nie ma. Ludzi interesuje tylko kasa.

— Może obawiają się, że informacje, które posiadam, mogłyby zaszkodzić właśnie ich kasie? Może boją się rozliczeń? Motyl nie chce pamiętać o poczwarcie, którą był wczoraj, kwiat o kompoście, z którego wyrasta...

— Zaraz. To w końcu znasz te tajemnice, czy tylko się ich domyślasz?

— W poniedziałek, jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę miał całą dokumentację.

— A jak pójdzie źle?

— Wtedy musisz zapomnieć, że kiedykolwiek mnie znałaś.

Milczała chwilę. Jej pogodna natura wzdragała się przed taką ewentualnością. Zmieniła temat.

— Nie dokończyłeś opowieści, jak do tego doszło, że zostałeś księdzem. Nie miałeś wątpliwości?

— Do dziewiętnastego roku życia nie miałem. Przeciwnie, każdy rok upewniał mnie, że w duszy kiełkuje mi ziarno, zwane powołaniem. Miałem sny.

— Prorocze?

— Dotąd się nie sprawdziły, więc nie wiem. W każdym razie z dnia na dzień czułem się bliżej Boga. Pielgrzymki, rekolekcje, obozy dla młodzieży katolickiej. I rosnące poczucie, że moja modlitwa nie jest tylko monologiem, że słyszę odpowiedź. I wezwanie: „Pójdź za mną!”

— I nigdy żadnych rozterek?

— Mnóstwo, ale w którymś momencie zacząłem odczuwać satysfakcję z przewycięzania pokus.

— Święty człowiek!

— Bez przesady, Dominiko. Uprawiasz sport, więc powinnaś mnie zrozumieć. To wciągało jako „trening duszy”. Trudny, ale ciekawy. Myślisz, że nie zachwyciałem się urodą koleżanek, nie zdawałem sobie sprawy, z czego zrezygnuję? Że nie będę miał rodziny, dzieci...

— Celibat, jeszcze jedna anachroniczna brednia! — prychnęła.

Nie podjął tego wątku.

— A potem, jednego dnia, wszystko legło w gruzach.

Aż podskoczyła.

— Jak to?

— Na studniówce poznałem dziewczynę z niższej klasy, Marię. Przyszła z kimś innym, ale tak jakoś wyszło... Zaczęliśmy tańczyć, rozmawiać. Odprowadziłem ją do domu... No i poraziło mnie.

— A więc jednak!

— To nie przyszło tak od razu. Angażowałem się stopniowo. Maria przyznała się, że ma kłopoty z angielskim. Zaproponowałem, że ją douczę.

— Spryciarz z księdza.

— Zafascynowała mnie nie tylko ona, ale również jej dom — ojciec emerytowany generał, brat starszy o ponad piętnaście lat, żywa legenda opozycji...

— A ona była aż tak wyjątkowa? To znaczy jaka? Klasycznie piękna?

— Trudno mi odpowiedzieć, dziś wydaje mi się, że nie była nawet wyjątkową piękną. Bardziej zafrapowała mnie jej osobowość, żywa inteligencja, wrażliwość i nadawanie na tych samych falach. Chociaż gdybyś spytała mnie wtedy, powiedziałbym, że jest moją Wenus, Heloizą i Oleńką z *Potopu*. Po jakichś dwóch miesiącach szalałem na jej punkcie. Straciłem jakąkolwiek odporność. Przestałem się modlić, bo myślałem tylko o niej. Śniłem na jawie, pisałem dla niej wiersze. Gorsze od twoich. Na koniec zrezygnowałem z planów pójścia do seminarium i złożyłem

papiery na Wojskową Akademię Techniczną...

— Jej ojciec, generał, pomógł?

— Nie chciałem pomocy. Może źle zrobiłem. Zabrakło mi punktów i poszedłem w kamasze. Co ci będę mówił. Jako idealista, przepełniony myślami o nowej wspaniałej Polsce, przeżyłem szok. Zetknięcie z brutalnością, fałszem, poziomem rekrutów, stanem ich umysłów przeraziło mnie. Postanowiłem wytrzymać, dla Marii i, może to zabrzmie patetycznie, dla Polski. Modląc się i ćwicząc. Modląc się i ćwicząc! Po przysiędze zrobiło się lepiej. Doceniono mnie...

— Ale wojakiem nie zostałeś?

— Wpłynęło na to parę zdarzeń. Właściwie czarna seria. Najpierw wypadek na poligonie, kiedy mój najbliższy kolega oberwał rykoszetem i umarł na moich rękach, potem samobójstwo innego kolegi z kompanii podczas nocnej warty, a wreszcie...

Umilkł. Zamknął oczy, jakby chciał odgrodzić się od teraźniejszości i choć na moment powrócić do tamtego dnia, kiedy na przepustce wpadł na daczę Liwskich nad Wigrami, gdzie czekała na niego Maria.

\*

Leżeli nadzy, spoceni, przykryci jedynie lnianym prześcieradłem. Maria wtulona w niego niczym dziecko w matkę, on z oczami utkwionymi w sufit, spokojny, wpółomdlały ze zmęczenia, rozkoszy, spełnienia.

— Pobierzemy się, prawda? — pytała. — Spędzimy ze sobą cudowne życie, będziemy mieli mnóstwo dzieci. — A gdy potwierdził, dodała: — Wiesz, miałam wczoraj niesamowity sen, widziałam nas starych.

— Przykry widok? — zapytał i pocałował ją w czubek nosa.

— Nie bardzo. Nosiłeś siwe wąsy, ale nadal miałeś świetną sylwetkę, za to ja byłam maleńka, kruchotka. Pozowaliśmy do fotografii, nie wiem, z jakiej okazji, za nami stała trójka naszych synów, dwie córki, jedna z nich była siostrą zakonną, na trawie siedziało mnóstwo dzieci — naszych wnuków... Powiedz, że tak będzie!

— Tak będzie, Mario! Tylko wyjaśnij mi, dlaczego nieustannie wymagasz potwierdzenia? Wiesz, że będę zawsze z tobą. *Ubi tu Gaius, ibi ego Gaia*. Pobierzemy się.

— Ale widzisz, ten sen źle się skończył. Naraz zerwał się wiatr i my wszyscy, ja, ty, nasze dzieci, zaczęliśmy się rozwiewać tak, jakbyśmy byli utkani z mgły.

— Nie przejmuj się, w marzeniach sennych nie ma nigdy żadnej logiki.

Kłamał: w chwili, kiedy opowiadała mu swoje zwidy, poczuł, jakby na moment stanęło mu serce, gdzieś spod łóżka wylał mu na brzuch skorpion strachu, zimny, śliski, i wraził swój jadowy kolec prosto w pierś.

\*

— I co się stało? — prawie krzyknęła Dominika. — Hej, hej, nie zasypiaj!

— Co... co? — uniósł powieki, ciężkie jak pokrywy atomowego silosu.

— Gdzieś odpłynąłeś. Zrobiłeś się taki blady...

— Po prostu się zamyśliłem. O co pytałaś...?

— Co stanęło na przeszkodzie, byście byli razem? Chciałeś się przecież żenić?

— Odeszła.

— Rzuciła cię... — w głosie osiemnastolatki zabrzmiało zdumienie.

— Umarła. Zginęła w bezsensownym wypadku drogowym. Brat, który przyjechał po nią na daczę i prowadził tamtej nocy, ledwo uszedł z życiem, straszliwie połamany. A mnie pozostał tylko Bóg. Zamiast ponownie zdawać na WAT, zdecydowałem się na seminarium. To wszystko.

Rozmawiali jeszcze o wielu sprawach, ale Paweł, wytrącony z równowagi wspomnieniami, sprawiał wrażenie nieobecnego. Na pytania o dokumenty, które miał odebrać następnego dnia, odpowiadał zdawkowo. Stracił też chęć do dalszych zwierzeń.

Wreszcie oboje uznali, że najwyższa pora pójść spać.

— Jak chcesz, mogę zostać tutaj. Jest drugie łóżko — powiedziała.

— To nie byłoby wskazane — odparł sucho. — Dobranoc.

— Dobranoc — odrzekła. Wiedziona nagłym impulsem, pocałowała go w policzek i znikła.

Sulewski odczuł całusa jak smagnięcie piekielnego żaru. Usiadł w fotelu i przycisnął dłoń do policzka tak, aby jak najdłużej zatrzymać dotyk, ciepło i zapach.

Potem wstał, wszedł do łazienki i nie przejmując się, że granie w rurach mogą usłyszeć sąsiedzi, stał długo w lodowatych strugach prysznic, starając się nie myśleć o Marii. Ani o Dominice.





# Poniedziałek

Letni garnitur pana Faltynowicza całkiem niezłe pasował na Pawła. Wprawdzie ojciec Dominiki był nieco tęższy od księdza, ale za to węższy w ramionach. Także różnica wzrostu okazała się niezbyt wielka. Dziewczyna włożyła dużo wysiłku w charakteryzację Sulewskiego. Rano z Vision Expressu przywiozła okulary — zerówki o szerokich, niemodnych oprawkach. Kompletnie zmieniły kształt twarzy księdza. Włosy, ufarbowane na odcień rudawy, zaciesała do góry i umocniła lakierem. Odrobina pracy ołówkiem pogłębiła zmarszczki wokół oczu i ust, a mała czarna muszka koło nosa dopełniła przeobrażenia.

— Jakbym widziała mego starego — zawołała, kiedy zaprowadziła Pawła przed lustro.

— Masz fach w rękach! — potwierdził z podziwem.

— Przyda ci się jeszcze to — wydobyła z biurka aktualny paszport ojca.

— A to po co?

— Na wszelki wypadek.

Po charakteryzacji podobieństwo rzucało się w oczy i różnicę mógłby odkryć tylko wyjątkowo spostrzegawczy policjant.

— A więc nazywam się Grzegorz Faltynowicz. „Lat czterdzieści trzy, żonaty, wysoki, włosy rude, oczy niebieskie” — mruknął półgłosem, zadowolony z metamorfozy.

Wcześniej stoczyli zacięty bój, kto odbierze przesyłkę. Dominika upierała się, że ona po nią pójdzie, „bo niczym nie ryzykuje”, ale Sulewski kategorycznie się temu sprzeciwił.

— Zrobię to osobiście albo w ogóle!

Stało na tym, że dziewczyna ograniczy się do roli kierowcy.

Idąc ku windzie, natknęli się przy zsypie na piersiastą sąsiadkę z wiaderkiem śmieci.

— A co to, pan nie na działce, panie Grzesiu? — zagadała.

Paweł zaniemówił, ale Dominika pociągnęła go ku schodom.

— Szybciej, szybciej papciu, i tak jesteśmy spóźnieni!

— Nie poznała cię — szepnęła mu do ucha po przejściu dwóch pięter.

— Ale co się strachu najadłem...



Chwilę później dziewczyna wyprowadziła z garażu wóz matki, lekko poobijaną hondę civic. Wóz nastoletnich „satanistów” pozostał w sąsiednim boksie.

— No, to ruszamy! — zawołała.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Miasto pulsowało lekko zwolnionym, wakacyjnym rytmem. Z mapy Paweł zapamiętał, że uliczka Walecznych — cel ich wyprawy — prostopadła do stanowiącej oś Saskiej Kępy ulicy Francuskiej, kończy się ślepo u stóp Wału Miedzeszyńskiego. Na początek dokonał wizji lokalnej. Przejechali nie zatrzymując się całą jej długość, pilnie rozglądając się za ewentualnymi tajnikami. Jeśli czaili się gdzieś w sąsiedztwie, to byli znakomicie ukryci. Wielka zielona skrzynka przyciągała wzrok jak magnes. Paweł zastanawiał się, czy mógł ją widzieć policjant strzegący pobliskiej ambasady Niemiec. Sprawdził. Nie mógł. Gdzieś wysoko ponad Wisłą krążył śmigłowiec, ale dość szybko oddalił się w stronę Starego Miasta. Paweł przez moment usiłował przebić wzrokiem kotary, opuszczone na okna. Żadna się nie poruszyła. Chociaż przy współczesnej technice termowizyjnej...

Sulewski, naturalnie, bał się schwywania, ale nie był to strach paraliżujący. Trzeźwo kalkulował wszystkie ewentualności. Logika wskazywała, że gdyby starzec wygadał się swoim prześladowcom, przesyłkę przejętoby zapewne już w sortowni, a w domu na Walecznych czekałby na odbiorcę oddział specjalny. Z drugiej strony rozgłos, jaki nadano zbrodni w kościele i pościgowi za „mordercą”, wskazywał, że kimkolwiek byli przeciwnicy, wpadli w panikę. Co mogło ją spowodować? Intuicyjnie czuł, że starzec już nie żył. To wielokrotnie zwiększyłoby jego szansę...

Dochodziła jedenasta, toteż inne pytanie zaprzętało im głowy. Był już listonosz, czy nie?

— Może ja sprawdzę? — zaproponowała dziewczyna.

— Jeszcze nie!

Zatoczyli kolejne kółeczko i wrócili na Francuską, kiedy Dominika wydała z siebie aktorski szept:

— Patrz!

Teraz i Paweł zobaczył niedużą kobiecinę na rowerze, objuczoną ciężką torbą. Nikt za nią nie jechał. Odczekali chwilę w zatoce, potem porównali zegarki.

— Dziesięć minut — powiedział Sulewski. Wsiadł z wozu i ruszył niespiesznie za listonoszką.

Z dystansu śledził jej kolejne przystanki pod domkami. W jednym ktoś dłuższą chwilę kwitował odbiór przesyłki, przed drzwiami innego przestraszyło ją wściekle ujadanie psa.

Z perspektywy kilkudziesięciu metrów Pawłowi wydawało się, że wrzuciła coś do „jego” skrzynki. Pewności jednak nie miał. Kiedy w końcu skręciła w Łotewską, lekko przyspieszył i śmiało wszedł na schodki. Wieczko skrzynki, na szczęście, otwierało się na zewnątrz, a zamek nie był wymyślnym majstersztykiem ślusarskim. Wystarczyło podważyć śrubokrętem...

Wysypała się sterta kolorowych ulotek, reklam, listów i rachunków, świadczących, że istotnie

gospodarze wyjechali już dość dawno. Oblany zimnym potem, czekał na policyjne gwizdki, stukot butów, szcęk przeładowywanej broni i kajdanek. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

A przesyłka?

Znalazł ją, zdecydowanie twardszą niż inne listy. Różowa koperta, w jakiej zakochani zwykli przysyłać sobie czułe wyznania. Jako nadawca wpisana była jakaś kobieta. Stempel pochodził z urzędu pocztowego w nieodległej podwarszawskiej parafii. Szybko wsunął zdobycz do kieszeni, a resztę papierów upchnął z powrotem w skrzynce. Kątem oka zerknął na zegarek. Została minuta! Spokojnie odszedł spod drzwi, a potem, jak na entuzjastę joggingu przystało, puścił się pędem po schodkach i wbiegł na pobocze Wału Miedzeszyńskiego. Dominika jechała wolno prawym pasem. Wskoczył do wozu. Dodała gazu. Na wysokości Stadionu Dziesięciolecia zakręciła ostro i wjechała na stary most Poniatowskiego. Cały czas jechała pewnie, lecz nie za szybko. Drogówka, czająca się na skraju Alei, nie zwróciła na hondę najmniejszej uwagi. Paweł nie mógł uwierzyć, że mu się udało.

\*

Faltynowiczówna odpaliła komputer ojca. Początkowo Sulewski chciał przejrzeć zawartość dysku bez niej, ale uparła się, twierdząc, nie bez racji, że i tak jest współniczką, a jeżeli ich dorwą, nikt przecież nie uwierzy, iż nie miała pojęcia o zawartości CD-ROM-u. Musiał się z nią zgodzić.

Czekając, aż uruchomią się wszystkie funkcje komputera, w paru słowach opowiedział jej o starym człowieku, jego niezwykłym wyznaniu i śmierci. Potem wspomniał o swojej ucieczce, nie pomijając zdrady, naturalnie bez wymieniania nazwiska kalekiego żurnalisty.

Resztę dopowiedział Omega w przesłaniu otwierającym dysk.

Nie wiem, kim jesteś ty, który to czytasz. Mam nadzieję, że w odróżnieniu ode mnie przyzwoitym człowiekiem. Być może księdzem, jeśli uda mi się dotrzeć do upatrzonego kościoła, być może wybranym na chybił trafił właścicielem skrzynki — znanym historykiem, albo kimś jeszcze innym, przypadkowym, któremu powierzyłem moje tajemnice, zanim mnie dopadli. Bo na pewno dopadli. Choć niewiele im to dało. Od dłuższego czasu nie rozstaję się z cyjankiem. Więc jeśli czyta to któryś z was, oprawców, proponuję nie niszczyć tego dysku. Zapisana na nim wiedza to majątek. Koniunktura może się zmienić, a pieniądze będą istnieć zawsze.

Teraz o sobie. Jeśli miałem kiedykolwiek jakieś imię, to umarło ono razem z moją matką. Dla nielicznych, którzy mnie znali służbowo, byłem „Omega”... Istniał jeszcze drugi — „Alfa”, który mnie kontrolował, ale już nie żyje. Jak starczy czasu, opowiem i o tym... Pewnie nie starczy! Dla wszystkich innych miałem różne życiorysy, dokumenty, twarze. Od wczesnej

młodości żyłem, ale jakby mnie nie było.

Mimo to byłem potrzebny, więcej — niezastąpiony. O moim losie zdecydował pewien bystry oficer NKWD, który znalazł mnie w ruinach Warszawy, a następnie skierował do szkoły dla niezwykle uzdolnionych... Czekał, ma się rozumieć. Na początku lat pięćdziesiątych wróciłem do kraju jako kolejny dar narodu sowieckiego dla polskiego proletariatu miast i wsi... Taka miniaturowa Pałacu Kultury.

Ciekawe, że w epoce komputerów, taśm i kserokopii, podobnie jak wówczas, w dobie rozklekotanych maszyn do pisania i kopiowych ołówków, najbezpieczniejszą skrytką na dokumenty jest pamięć. No i zostałem takim właśnie „pamiętaczem”. Pamiętałem to, czego nie powierzono by nigdy papierowi. Bo ktoś pamiętać musiał. Bez pamięci nie ma wiedzy. Bez wiedzy nie ma władzy. Zacząłem tę robotę niedługo przed Październikiem. Szczaw byłem, ale zdolny, ślepo lojalny, półsierota, wychowanek osobistego przyjaciela Berii (jeśli ów Gruzin miał jakichkolwiek przyjaciół), sprawdzony w służbie. A przede wszystkim z dobrą pamięcią... Niewielu ludzi jest w stanie wyobrazić sobie, jak dobrą! Zwłaszcza że cały czas doskonalam. Czytałem kiedyś o afrykańskich „griotach”, magazynujących w swoich mózgach całą historię plemienia. Słyszałem też o podobnych „pamiętaczach” z Oceanii. Sądzę, że byłem od nich lepszy. Zapamiętywałem bez problemów każdy tekst niczym dzisiejszy skaner, wczytywałem w mózg setki informacji: cyfry, nazwiska, ustne polecenia, akta śledztw... I w każdej chwili mogłem otworzyć bazę danych przed jedną, czasem dwoma upoważnionymi osobami. „Trzeba coś przypomnieć? Proszę bardzo!” Dla mej obsługi stworzono specjalną komórkę, izolowano mnie od problemów. Zatarło starą tożsamość, ale nowej nie dano. Ciekawe, prawda? Zmieniali się sekretarze, ministrowie, a ja trwałem i pamiętałem. Poza oficjalnymi strukturami przechowywałem to, co najcenniejsze — tajemnice. Moja rola nieustannie rosła — z czasem koordynowałem wszystko w kraju, nasze tajne służby, politykę wewnątrzpartyjną, kontakty z KGB i Stasi... Oczywiście bez możliwości podejmowania jakichkolwiek decyzji. Przecież mnie nie było. Oprócz monitorowania naszych spraw wewnętrznych trochę hobbystycznie śledziłem działania Wielkiego Brata i jego tutejszych agentów, aż do emerytury w roku 90... Oczywiście nieoficjalnej. Nowe władze Rzeczypospolitej nie domyślały się nawet, że ktoś taki jak ja kiedykolwiek istniał. Renta przychodziła z zagranicy na pewne konto, do którego jedno z moich wcieleń miało nieograniczony dostęp... Trzeba przyznać: moi szefowie zatroszczyli się o mnie... Dostałem domek na odludziu, zapewniono mi ochroniarza, pielęgniarkę na przychodnię... Może liczone, że się jeszcze przydam? A może dalej obowiązywała zasada lojalności? Przynajmniej do czasu. Nie wiedzieli jednego, a może udawali, że nie wiedzą.

— Czy to wszystko prawda? — popatrzyła na księdza Dominika. — Brzmi jak baśń.

— Obawiam się, że najprawdziwsza!

Dalej była historia z matką i powody, dla których Omega zdecydował się przerwać milczenie. Końcówka przesłania sprawiała wrażenie zdecydowanie mniej składowej, mnożyły się błędy ortograficzne i literowe. Widać autor spieszył się, a może po prostu był bardzo zmęczony i

dokonywał zapisu ostatkiem sił:

Ten zbiór jest jedynie wyciągiem z zawartości mego mózgu, zapisywanym i nagrywanym od paru tygodni. Więcej nie dam rady. Powinien jednak wystarczyć jako dowód, świadectwo, wskazówka. Napisałem wcześniej, że dużo wiem. To prawda. Znam nie tylko nazwiska tych, którzy wydawali rozkazy rozmaitym „nieznanym sprawcom”, tuszowali zbrodnie, ale mam na to dowody. Zresztą nie ta wiedza jest dziś najważniejsza. Przy pewnej dozie wnikliwości można zrekonstruować na podstawie moich informacji, jak powstawały współczesne polityczne kariery i nieprawdopodobne fortuny, jakimi drogami wędrowały pieniądze z i do Rosji. Kto ma dziś dostęp do tajnych kont w Szwajcarii, Liechtensteinie czy na Kajmanach i jakie nici wiązały służby, polityków i gangi, no i jakie naprawdę stosunki łączą niejednego dzisiejszego prominenta z centralą na Łubiance. Jak to się kiedyś mówiło: kto za tym stoi i czemu to służy?

Jeśli mężne masz serce, czytaj dalej, jeśli nie, zakop to gdzieś jako bezcenny upominek dla przyszłych historyków. Nie niszcz! Nie przekazuj byle komu. Przyjaciel najbliższy, żona i brat, solidarnościowy prominent, odważny artysta, a nawet siostra zakonna mogą de facto pracować dla NICH. A ONI uczynią wszystko, aby moje informacje nie ujrzały światła dziennego. Powtarzam — wszystko!

Cenę stanowi nie tylko parę krajowych karier. Ujawnienie materiału grozi interesom ościennego supermocarstwa i jego przywódców.

Komu więc można go powierzyć? Nie wiem. Może Kościołowi, może przyjaciom Polski za granicą? Ostrzegalbym przed próbą automatycznego rozesłania go e-mailem wszystkim zainteresowanym, gazetom czy telewizjom. Nikt nie jest przygotowany na taką dawkę prawdy i zamieszanie byłoby monstrualne. Lepiej nie myśleć. Zapewne samą groźbą ujawnienia można uczynić więcej niż udostępnieniem wszystkich plików tak zwanej szerokiej publiczności. Ale to już nie mój problem. Decyzja należy do ciebie, nieznanemu przyjacielu. Zabawne, jesteś jedyną osobą w moim życiu, w stosunku do której używam słowa przyjaciel. Cokolwiek uczynisz, dobrze uczynisz. Trzymam za ciebie kciuki. I przepraszam za kłopot. Omega.

— Ale jaja — przełknęła ślinę Dominika. — Jeśli to jest opakowanie, to co kryje się w środku?

— Zobaczmy — kliknął myszką i otworzył indeks plików. Zatkanęło go. Naraz poczuł się jak żebrak, wpuszczony do banku z prawem do nieograniczonego kredytu. Spodziewał się dalszej „spowiedzi rzeki”, ilustrowanej przykładami. Tymczasem na dysku pokazała się jakaś setka zbiorów o nagłówkach zdolnych przyprawić o zawał każdego łowcę tajemnic z szefostwem Instytutu Pamięci Narodowej na czele. Większość nazw niewiele Dominice mówiła, ale w rodzinie Sulewskiego historia od lat stanowiła hobby, toteż znaczna część plików kojarzyła mu się natychmiast z najciemniejszymi kartami PRL-u.

Sprawa Mołojców, Józef Światło, afery mięsna, napad na Jasnej, mord Piaseckiego, afery Żelazo,

moskiewskie pieniądze, narodziny Pruszkowa, FOZZ, zabójstwa księży — Popiełuszko, Zych, Suchowolec, Pyjas, Jaroszewicz — dossier, i appendix: mord w Aninie. Wydarzenia na Wybrzeżu i przewrót grudniowy, analiza karier stu najbogatszych, Okrągły Stół, metamorfoza partii na przełomie 89–90, przepływ kapitałów — tu wyświetliły się podfoldery: Szwajcaria, Bahama, Kajmany, Cypr, Liberia. KOR, ROPCiO, KPN — agentura, tajni współpracownicy w Episkopacie i w Watykanie, diabelski trójkąt — Stasi — SB — KGB. Były również pliki nie — kojarzące się księdzu z żadnymi znanymi mu zdarzeniami — operacja Mega, operacja Galeria... Nie wyglądało, że mniej ważne.

W głowie mu zawirowało, nie miał wprawdzie możliwości natychmiastowej weryfikacji danych, czuł jednak ich wagę, a wartość posiadanego dysku wzrosła w jego oczach tysiąckrotnie.

— Od czego zaczynamy czytanie? — dopytywała się Dominika. — Od księży agentów?

— Nie ma czasu. Przede wszystkim musimy dysk skopiować!

Uruchomił nagrywarę, komputer zaczął pochłaniać dane, a dziewczyna wyciągnęła z szuflady kilka nowych, opakowanych w folię CD-ROM-ów i wręczyła Pawłowi.

— Proszę, szefie!

— Mogę prosić o trzy?

— Czemu aż trzy?

— Dla ciebie, dla mnie, jedną dla bezpieczeństwa ukryjemy w twoim mieszkaniu.

— Świetnie to wymyśliłeś, a co zrobisz z dyskiem-matką?

— Przekażę go w jakieś pewne ręce.

— Czyli komu? — zmarszczyła mocno zarysowane brwi. — Rządowi? Instytutowi Pamięci?

Ksiądz tylko westchnął:

— Omega przestrzega przed takim krokiem. A ja znam zaledwie jedno miejsce, w którym dysk byłby stuprocentowo bezpieczny. Niestety, znajduje się ono daleko za granicą.

— Watykan?

Skinął głową.

— Myślę jednak, że gdyby udało mi się dostać do warszawskiej nuncjatury...

Przerwała mu w pół słowa.

— A nie lepiej od razu udać się wprost do celu?

— Jak to sobie wyobrażasz? Jestem poszukiwany przez policję w całym kraju, nie mam odpowiednich dokumentów, natychmiast zatrzymają mnie na granicy.

— Przecież masz ważny paszport, „inżynierze Faltynowicz”.

— Nie mówisz chyba poważnie?

— A dlaczegoż by nie? Masz paszport ojca, samochód mamy. Powiem rodzicom, że wyjechałam na parę dni do koleżanki w Zakopanem. A my tymczasem pojedziemy do Włoch, szybko załatwimy sprawę i...

— Jeśli myślisz, że pozwolę ci jechać...! — podniósł głos.

— Spróbuj zabronić. To sama pojedę. — Kiedy tak stała wzburzona, z zaczerwienioną twarzą i rozchyłonymi ustami, pomyślał, że jest piękna, nawet zbyt piękna jak na przyszlą intelektualistkę. Od razu stracił rezon i od sprzeciwu przeszedł do perswazji.

— Dziewczyno, przecież widzisz, jaka to poważna i niebezpieczna sprawa.

— Wiem, i to właśnie mnie podnieca. Poza tym, umówmy się, ryzyko jest zerowe. Nikt nie wie, że zdobyliśmy tę płytkę, nikt w ogóle nie wie o moim istnieniu. I nie ma najmniejszych szans, żeby mógł się dowiedzieć...

Sygnal dźwiękowy poinformował ich, że komputer wchłonął już zawartość dysku i nagrywarka gotowa jest do wypalania.

Wyjechali godzinę później. Zabrali ze sobą kilkaset euro i pełen bak paliwa. Rezerwowy CD-ROM ukryli na pawlaczu w starym podręczniku materiałoznawstwa. Mało prawdopodobne, żeby ktoś wziął go sobie do poduszki. Drugi wsunęli głęboko pod siedzenie kierowcy i przyklepili skoczem. Pozostałe dwa rozdzielili między siebie. Dość szybko wyjechali z miasta. Dopiero za parę dni masowy powrót z wakacji miał definitywnie zakorkować szosy wylotowe z Warszawy. Cicho szumiała klimatyzacja. Dominika wydawała się wniebowzięta. Włączyła odtwarzacz i podśpiewywała do wtóru,

„Wydaje jej się, że jedzie na wakacje” — pomyślał Paweł. Ale nie wyprowadzał jej z błędu. Zresztą sam miał nadzieję, że jakoś się wszystko ułoży, o czwartej w Częstochowie wykupili w miejscowej „Warcie” ubezpieczenie, a dwie godziny później znaleźli się na przejściu w Cieszynie.

Oficer kontroli granicznej podejrzanie długo przyglądał się ich paszportom.

— Państwo Faltynowiczowie? — zapytał w końcu.

— Pan i panna Faltynowicz, ojciec z córką — poprawiła Dominika. — Wybieramy się na wakacje do Chorwacji.

— No, to szerokiej drogi! I miłego urlopu.

\*

— Jaa–cek! — głos ojca, brzmiący jak wojskowa komenda, oderwał Gremlina od komputera. Na miękkich nogach wszedł do dziennego pokoju. Po wezwaniu, wydanym tym tonem, nie mógł spodziewać się niczego dobrego. Od lat wiedział, że każde spojrzenie na jedynaka wzbudza w jego starym złość, psuje mu te rzadkie chwile, gdy wraca do domu w lepszym humorze. Irytacja, która nigdy nie zmieniała się w eksplozję — ojciec znakomicie panował nad sobą — odbijała się również na matce. Nie było dnia, aby wodząc za nią oskarżycielskim wzrokiem, nie czynił niemych wymówek: „Dlaczego mi to zrobiłaś? Czemu urodziłaś kurdupła!” Jacek miał być wysokim, postawnym młodzieńcem o dumnym wejrzeniu, a nie wypierdkiem o wiecznie spoconych rękach.

Tym razem jednak nie zaszczycił pierworodnego nawet spojrzeniem. Wyglądał na poważnie zmęczonego.

— Dzwonił do mnie ojciec Ryszarda — wycedził wolno. — O co chodzi z tym samochodem?

— Ukradli go nam! — wyjąkał.

— Gdzie, kto, jak?

— Przecież... Yogi miał wszystko opowiedzieć swojemu tacie. Nie powiedział?

— Szczeniak płacze się w zeznaniach i dlatego poproszono mnie, abym wydobył prawdę z ciebie. I wydobędę. Choćbym miał cię obdrzeć ze skóry!

Gremlin wiedział, że dla jego ojca nie był to zwrot czysto retoryczny.

— Jeśli powiesz mi wszystko szczerze, bez krętactw i po męsku, potraktuję to jako okoliczność łagodzącą. Po co szwendaliście się nocą po cmentarzu? Kto wam odebrał kluczyki...?

— No, więc...

— Nie zaczyna się zdania od „więc” ani tym bardziej od „no”!

— Bawiliśmy się, dosyć głupio. Demolka... znaczy Sebastian, chciał porwać jakąś dziewczynę...

— W celu?

— No...

— Bez no!

— Dla zgrywy.

— Nie kłam!

— Kiedy to prawda... To znaczy... Sebastian obiecywał, że potem... we trzech... na cmentarzu...

— Idiota, a jakby was poznała? Nawet ja nie wydobyłbym was z pierdła.

— Mieliśmy przygotowane maski z rajstop.

— Naprawdę wam odbiło! A własnoręcznie potrenować nie łaska? — Na to *dictum* Gremlin spurpurowiał. — Trochę cierpliwości, na osiemnastkę obiecuję ci wspólną wizytę w najlepszej agencji towarzyskiej. Mój kolega ją prowadzi. Ale mów dalej, jak doszło do utraty samochodu?

— Wszystko szło jak po maśle, gdy naraz wmieszał się ten ksiądz.

— Ksiądz, na cmentarzu? — zdziwił się ojciec.

Jego zmęczony głos nieznacznie się ożywił.

— Tak mówiła do niego ta dziewczyna, jak zapalała wóz: „Jedziemy, proszę księdza”.

— Ubrany był jak ksiądz?

— Nie. Z wyglądu przypominał bezdomnego menela, jednak to musiało być tylko przebranie. Kiedy niczym komandos rozbroił Sebastiana i ta dziewczyna wzięła nóż i chciała... Nie pozwolił jej, tylko powiedział: „Wybacz mu, albowiem nie wiedział, co czyni”.

— Ciekawe. — Czoło słuchającego fałdowało się coraz bardziej. — Domyślasz się, skąd się tam wziął?

— Nie mam pojęcia, chyba spał za trumną, w tych starych katakumbach grobowca, tych jak im... Kozielskich czy Koziemłockich...

Gremlin rzadko widywał, żeby jego stary się uśmiechał. Teraz jednak cała złość na jedynaka wyraźnie mu przeszła.

— No dobra, nie wygłupiajcie się tak więcej, chłopaki — rzekł i potargał go po czuprynie, co było pieszczotą wręcz niespotykaną. — Powiedz lepiej, co wiesz o tej małej?

— Przecież do niczego nie doszło.

— Nieważne, doszło — nie doszło. Co o niej wiesz?! — naciskał.

— Nic. Nie widziałem jej nigdy przedtem. Zgarnęliśmy ją sprzed szkoły angielskiego koło ronda Wiatraczna na Grochowie.

— Znacie jej imię?



— Jakoś nie było okazji się przedstawić.

Uśmiech ojca znikł.

— No, nie podskakuj. Może coś jednak zapamiętaliście?

— Chyba nie. Jej plecak został w samochodzie Yogiego, a samochód wcięło... Zaraz! Urwał jej się kolczyk, znaleźliśmy go przy bramie jeszcze tej samej nocy, sprawdzając, czy nie porzuciła samochodu gdzieś w okolicy.

— Masz go?

— Oczywiście, tato. — Gremlin dumnie wyciągnął rękę ze srebrnym wisiorkiem.

— No dobrze, może jednak jeszcze będą z ciebie ludzie! — ucieszył się ojciec i przygłodził własne krótkie, szpakowate włosy.

\*

W tym samym czasie, kiedy Dominika i Paweł pałaszowali obiad w restauracji u stóp pięknego zamku w Trenčinie na Słowacji, do szkoły językowej na Grochowie, czynnej mimo letniego sezonu, zapukała przystojna funkcjonariuszka komendy stołecznej, przez kolegów nazywana „Piękną Lidką”. Pokazała dyrektorce srebrny kolczyk.

— Znalazca widział, jak dziewczyna z waszej szkoły rozgląda się za czymś na trotuarze, a gdy znalazł to cacko, ona już odjechała tramwajem, więc odniósł je do nas — powiedziała policjantka.

Dyrektorka spojrzała i na jej twarzy pojawił się uśmiech:

— Ale się Dominika ucieszy! Mówiła, że to pamiątka po babci!

— Dominika?

— Jedna z naszych najlepszych uczennic. Dominika Faltynowicz, z tego, co wiem, będzie w tym roku zdawać maturę.

Lidia uśmiechnęła się i oblizwała wydatne usta.

— Czy ma pani może adres? Chętnie oddałabym jej ten drobiazg osobiście.

— To bardzo uprzejmie z pani strony. Zaraz poszukam w dokumentach...

Dwadzieścia minut później Henryk w towarzystwie Lidki i pana Leszka, w którym przypadkowy

Świadek pojmania Omegi mógłby rozpoznać barczystego sanitariusza, znaleźli się w mieszkaniu Faltynowiczów. Zastali je puste. Piersiasta sąsiadka, zwabiona przybyciem grupy nieznajomych, wychyliła głowę ze swojej klitki i ochoczo poinformowała, że Dominisia kilka godzin temu wyjechała gdzieś z tatusiem.

— Bardzo się śpieszyli — dorzuciła z własnej inicjatywy. — Pan Grzesio zachowywał się tak, jakby mnie nie poznał. A właściwie dlaczego państwo wchodzą pod nieobecność właścicieli do ich mieszkania?

Henryk machnął jej doskonale podrobioną „blachą”:

— Urząd Ochrony Państwa — rzucił. — Ale proszę nikomu o tym nie wspominać.

— Narkotyki! — pokiwała głową sąsiadka.

— Skąd to przypuszczenie?

— Ona dziennikarka, on inżynier, to co może być innego? Oględziny mieszkania pozwoliły na poczynienie kilku konstatacji. Znaleziona w łazience tubka po farbie i opakowanie od okularów kazały się domyślać, że Sulewski już nie przypomina Sulewskiego.

— Zobacz, jest dość podobny do starego Faltynowicza. Myślisz, że teraz tak wygląda? — „Piękna Lidka” wyciągnęła z biblioteczki album rodzinny i z dumą podetknęła go egzekutorowi.

W koszu na śmieci „sanitariusz”, na co dzień pomagier Henryka w doskonale prosperującej firmie ochroniarskiej, znalazł resztki co najmniej trzech folii z płytek CD.

— Dyletanci. Nawet tego nie sprzątnęli. Jak nic cztery egzemplarze — stwierdził Siwy i zaklął cicho pod nosem.

Technik usiadł przy komputerze, Lidka systematycznie przetrząsała szafy, a szef zajął się biurkiem.

Już na pierwszy rzut oka było oczywiste, że inżynier Faltynowicz należy do pedantów. Dlaczego zatem środkowa szuflada biurka była niedomknięta? Co tu mamy? Polisy AC na dwa samochody — hondę i seata, rachunki, dyplom magisterski, legitymacja NOT. Stara legitymacja PZPR. — „Został do końca!” — ucieszył się Henryk. W samym kącie spoczywały spięte gumką nieważne od dawna książeczki walutowe, parę kart stałego klienta z supermarketów, a pod nimi nieaktualne międzynarodowe prawo jazdy...

Po minucie wiedział już, czego brakuje. Paszportu. Zniknął również dokument Dominiki.

— Prysnęli za granicę! — obwieścił współpracownikom. Na poparcie swej koncepcji wyciągnął dwie podniszczone koperty z zapisami ołówkiem: 315 euro i 250 dolarów. Obie puste.

— Zawiadamiam Straż Graniczną! — zawołała Lidka. — Już dzwonię.

— Pozwól, że będę działał moimi metodami i w oparciu o moje kanały — przyhamował jej

inicjatywę. — Jeśli dobrze pamiętam, od jutra odbierasz zaległy urlop?

— Nie ufasz policji? Przecież na tego klechę prowadzi się obławę w całym kraju.

— Podejrzewam — popatrzył na zegarek — że Sulewski, jeśli się dobrze pośpieszył, może w tej chwili znajdować się już poza krajem. A nie będziemy alarmować Interpolu. Dopadniemy go po cichu. Nie byłoby nam na rękę, gdyby ich przeszukania i przesłuchania dokonał jakiś niedoświadczony gliniarz... Naturalnie nie ciebie, Lidziu, mam na myśli.

Oblizwała mięsiste wargi jak pogłaskany pies. Tymczasem Henryk wyciągnął komórkę i wykonał parę telefonów. Potem sam usiadł do komputera. Połączył się z siecią. Zdjęcie blokad i wprowadzenie odpowiednich kodów zajęło mu nie więcej niż minutę.

— Mamy ich! „Z Wartą warto” — mruknął na wpół do siebie. — Trzy godziny temu w Częstochowie wykupili ubezpieczenie dla dwóch osób i zieloną kartę na hondę. — Bezzwłocznie znalazł się na serwerze Straży Granicznej. Po chwili zdobył kolejną informację. Dominika i Grzegorz Faltynowiczowie o godzinie 18.19 przekroczyli granicę państwa.

— Jeśli dobrze grzeją, mogą być już w Austrii — zauważyła spoglądająca mu przez ramię funkcjonariuszka.

— Nie sądzę, by przekroczyli szybkość. Bardziej od naszego pościgu, o którym nie mają zielonego pojęcia, mogą obawiać się przypadkowego zatrzymania przez miejscową policję. Sulewski pewnie podejrzewa, że skontaktowaliśmy się z Interpolem.

Stary ubek nie mylił się. Ksiądz i dziewczyna, wyjąwszy dwa krótkie przystanki, przejechali do tej pory skrawek Czech i pokonali w poprzek Słowację. Po jedenastej wieczorem dotarli do Bratysławy. Dominika proponowała nocleg w starym hotelu na kempingu „Złote Piaski”. Chciało jej się spać, była głodna i marzyła o gorącej kąpeli. Sulewski odmówił:

— Nie poczuje się bezpiecznie, póki nie opuścimy dawnych granic „bloku”!

Tymczasem Henryk zamknął się w łazience (nie, żeby nie miał zaufania do partnerów, ale nie lubił rozmawiać przy świadkach) i połączył się ze starym znajomym z Wiednia. Od pewnego czasu nie robili już ze sobą interesów — Jeremi wyrósł na potęgę środkowoeuropejskiej mafii — pozostał jednak dług wdzięczności za dawniejsze sprawy. Odebrała żona, ale „Austriak” już po chwili znalazł się przy telefonie.

— Jerry — zagaił pieszczotliwie Henryk. — Jest sprawa. Chciałem cię prosić o drobną przysługę.

Długie „taak” z drugiej strony mogło oznaczać zarówno gotowość wyświadczenia tej przysługi, jak również pewną rezerwę. Ciągnął więc dalej:

— Lada moment granicę od strony Bratysławy może przekroczyć dwójka Polaków. Małolata i towarzyszący jej ksiądz po cywilnemu.

— Jada kręcić reklamę Benettona? — zapytał z wrodzonym poczuciem humoru Jeremi. Henryk nie

podtrzymał żartobliwego tonu.

— Nieważne, co będą robić. Masz ciągle swoich ludzi na granicy?

— Mam ich wszędzie — zabrzmiało krótko i chełpliwie.

— A tu może chodzić tylko o dwa przejścia.

— Raczej tak. Po starej przyjaźni zależałoby mi na możliwie dyskretnym zatrzymaniu tej parki. Powód zawsze się znajdzie. Szczegółowa kontrola celna. Brak apteczki albo gaśnicy...

— W porządku, moi ludzie znają się na rzeczy. Tylko co potem?

— Co ja cię będę uczył. Jakies ustronne miejsce i niech czekają na mnie. Żadnych działań. Powtarzam. Żadnej przemocy.

— Ty to masz, człowieku, zdrowie. Emeryturka, rozkręcona firma i chce ci się jeszcze bawić w takie sprawy?

— Czasem trzeba. Mam nadzieję, że się jutro zobaczymy?

— Już mrozę wódeczkę.

Rozłączyli się i Siwy zwrócił się do swojej asystentki.

— Zarezerwuj mi na jutro rano lot do Wiednia, może być biznesklasa. Albo czekaj! Kup również bilety dla siebie i Leszka. Może będę potrzebował wsparcia.

Przytuliła się do niego z pełnym oddaniem w oczach. Czuł, że jest wilgotna i podniecona... Naprawdę: kobietom tak niewiele potrzeba — odrobiny prawdziwego mężczyzny.

Chwilę romantycznego uniesienia zmaćcił przytłumiony głos, wydobywający się gdzieś z pawlacza:

— Mam dysk!

— Szybko znalazłeś!

— To dyletanci — skrzywił się eksgliniarz. — Tylko na tej jednej książce nie było kurzu...

— Pozostały zatem do odnalezienia jeszcze najmniej trzy CD — pomyślał Henryk. W tym momencie zaświergotała jego komórka.

— Co jest, Jerry? — zapytał, rozpoznając numer na wyświetlaczu.

— Krewa! — warknął mafioso. — Za późno mnie zawiadomiłeś. Dziesięć minut temu przejechali przez Petrzałkę. Są już w Europie. Następna granica z kontrolą to Maroko.

— O, kurwa!

— Nie łam się, stary! Mój człowiek już kończy służbę i jedzie za nimi... Nie mogli ujechać daleko. Wysyłam też chłopców z miasta. Przed Wiedniem na pewno ich złapiemy. *Over.*

„Anioł im pomaga czy diabeł?” — pomyślał Henryk, wyłączając komórkę. Jego współpracownicy patrzyli wyczekująco. — Posprzątać tu! — mruknął. — Nie mam jeszcze pomysłu, co powiedzieć Faltynowiczom!

Sam nie zamierzał pozostawać dłużej w tym mieszkaniu. Czekał go kolejny ciężki dzień, toteż postanowił się dobrze wyspać. Profesjonalnie, bez koszmarów, zwidów i wyrzutów sumienia.



# Wtorek

Zgubili się zaraz za Petrzałką, już po austriackiej stronie granicy. Być może sprawiło to zmęczenie Pawła, a może upór Dominiki, która twierdziła, że doskonale zna skrót, którym omijając Wiedeń da się wyskoczyć na autostradę pod Wiener Neustadt i gnać prosto do Włoch.

Tak czy owak zmylili drogę i w środku smolistej nocy znaleźli się w nieznanym terenie, pełnym asfaltowych drózek, z których jednak żadna nie prowadziła do głównej drogi.

Co gorsza Sulewskiemu również kleiły się oczy, zjechał więc na pobocze i wysiadł z samochodu. Dominika wyszła za nim. Mrok nocy potęgowały niskie chmury, kryjące księżyc i gwiazdy. Panowała głęboka cisza, czasem ozwał się jakiś odporny na insektocydy świerszcz. Ksiądz uszedł parę kroków, oddychając głęboko.

— Patrz tam w dole! Jakieś światełka — zawołała dziewczyna. — Może da się tam przenocować?

Faktycznie, zaraz za pagórkiem rozłożyła się wioszczyna, z ledwie kilkudziesięciu domów, ale niemieckim zwyczajem zbudowana na kształt małego miasteczka z chodnikami, równym brukiem i oknami tonącymi w kwiatkach. Miejscowy Gasthaus był wprawdzie zamknięty na głucho, ale w głębi uliczki, ponad napisem „frei Zimmer”, jarzyła się lampka. Paweł zastukał do drzwi.

Gospodyni, chuda jejmość, przywitała ich miło i stwierdziła, że ma jeszcze jeden pokój z dwoma pojedynczymi łóżkami za 40 euro, z wliczonym w cenę śniadaniem. Ksiądz nie był w nastroju do targowania, postawił samochód między dwoma wysłużonymi volkswagenami i z niewielkim bagażem — wszystkiego jeden plecak i podróżna torba — weszli na górę. Dom zbudowany był na planie kwadratu, w środku, wokół małego podwórka, biegł na wysokości pierwszego piętra ganek. Gospodyni pokazała im pokój z widokiem na ulicę.

— Ale cichy. To boczna droga — zapewniła. Po czym dodała: — Śniadanie podajemy od siódmej.

— Chyba pośpimy dłużej — zawołała Dominika i pierwsza wskoczyła do łazienki.

Wyszła po kwadransie, zaróżowiona od prysznic, w jakiejś nieprawdopodobnie krótkiej koszulce, ledwie zakrywającej dość przezroczyście majtki, i to pod warunkiem, że nie wzruszała ramionami.

— Mogę spać pod ścianą? — zapytała. Skinął głową. — A co by było, gdyby było jedno *double bed*? — uśmiechnęła się szelmowsko.

— Spałabyś na fotelu.

Kiedy powrócił w okropnej, przypominającej więzienny uniform pidżamie starego Faltynowicza („tata uznaje tylko takie pidżamy!”), dziewczyna już spała.

Poprawił koc, potem wyjął mały metalowy krzyżyk podróżny, wbił go w ziemię doniczki, uklęknął między łózkami i modlił się długo i żarliwie. O szczęśliwe zakończenie podróży, o siłę dla oparcia się pokusom i za duszę Marii. Dziś odleglejszą od niego bardziej niż kiedykolwiek.

\*

Obudził się o piątej, jak w latach seminarium. Zdziwiło go to. Miał w sobie biologicznego koguta, pozwalającego budzić się o dowolnej porze, i mógłby przysiąc, że nastawił go na siódmą. Może sprawiło to światło, wlewające się przez okno, może obecność pięknej dziewczyny, jej zapach, fluidy, równy oddech... Dominika rozkopała się we śnie, koszulka podwinęła się tak wysoko, że widać było cały brzusek i nieprzyzwoicie cienkie majteczki. Przykrył ją kocem, a potem wyjrzał przez okno. Osada za dnia sprawiała wrażenie jeszcze przyjemniejsze niż nocą. Małe, na ludzką miarę domki, kwiaty na balkonach i spokój. Cisza. Może nawet za duża. W okolicy było sporo drzew, zaraz za domami ciągnęły się pola, a jednak nie słychać było żadnego ptaka.

Zmieniło się jeszcze jedno. O północy na uliczce parkowało, wliczając ich hondę, siedem samochodów, teraz doliczył się dziewięciu. Przysięgłby, że wcześniej nie było białego BMW ani czarnej furgonetki — mercedesa. Nie budząc dziewczyny, wziął jej aparat i za pomocą zoomu odczytał tablice rejestracyjne BMW. Wiedeńskie! Jacyś zapóźnieni turyści?

I dlaczego milczały ptaki? Wychowany w małym miasteczku, pamiętał poranne trele, które cichły, kiedy pojawiał się kot..

Jakiś cień przemknął korytarzem za mleczną szybą. Paweł znieruchomiał. Zaraz potem usłyszał cichutki syk i ujrzał końcówkę rurki, wystającą spod drzwi. Gaz?!!

Błyskawicznie przytknął do twarzy poduszkę i bezszelestnie wsunął się do łazienki. Nie obudził Dominiki — gaz z pewnością był tylko usypiający. Gdyby chciano ich zabić, już by to zrobiono. Okienko łazienki wychodziło na ślepa ścianę sąsiedniego budynku. Otworzył je bezszelestnie, na szczęście pracowita Austriaczka naoliwiła zawiasy. Ostrożnie wysunął się na zewnątrz i stanął na gzymsie. Opodal biegła linka piorunochronu. Nie zastanawiając się długo, czy wytrzyma, błyskawicznie wciągnął się na dach, potem podpełzł aż do komina. Teraz już mógł rzucić okiem na wewnętrzne podwórko.

Wypatrzył dwóch. Stali na galerijce po obu stronach drzwi wiodących do ich pokoju. Ubrani w sportowe dresy, na twarzach mieli maski przeciwigazowe. Zapewne czekali, aż środek zacznie działać. Potem zobaczył trzeciego. Był niski, krępy, o wyglądzie bułgarskiego zapaśnika albo boksera, na co mógł wskazywać płaski, najwyraźniej wielokrotnie złamany nos. Stał na czatach w bramie prowadzącej na ulicę. Trudna sprawa — miał przeciw sobie trzech, i choć nie widział broni, niewątpliwie uzbrojonych. Zastanawiał się nad ewentualnymi skutkami podniesienia alarmu. Ale zaraz porzucił ten pomysł. Wątpliwe, czy powstrzymałoby to bandziorów, a ucierpieć mogli postronni mieszkańcy. No i Dominika. Cała nadzieja, że maski ograniczały bandytom nie tylko słuch,



ale i widoczność. Podważył klapę w dachu i przedostał się na strych, a stamtąd na gospodarczą klatkę schodową. Nic nie było pozamykane. Co za kraj! Jeśli dobrze obliczył, drzwi kuchenne znajdowały się naprzeciw bramy, zaraz za plecami „Bułgara”.

Otworzył je. Niestety, w tym momencie zapaśnik się odwrócił. Na widok mężczyzny w pidżamie w jego oczach pojawiło się zdumienie. Paweł grzmotnął go pięścią w splot słoneczny. Cios powinien zabić nawet goryla. Ale Bułgar tylko się skrzywił, jakby ukąsił go giez, i kontratakował. Nieprawdopodobnie długie łapska, przypominające odnóża pająka, pochwyciły księdza, a masa ciała przygwoździła go do ziemi.

„No, to po mnie!” — pomyślał Sulewski, czując, jak mocarne ramiona duszą go niczym muchę. Szamotał się, kopał — na próżno. Czerwona, nabrzmiała z wysiłku twarz zapaśnika z jadowitym uśmiechem przybliżała się do jego twarzy.

„Zaraz odgryzie mi nos!” — pomyślał, próbując znaleźć cokolwiek do obrony. Wreszcie jedna wolna ręka księdza namacała w kieszeni pidżamy jakiś twardy przedmiot. Chwycił go i dźgnął w potężne podbrzusze. Bułgar zaskowyczał. Rozluźnił chwyt Paweł uderzył ponownie. Napastnik puścił. Ostatnim uderzeniem Sulewski walnął go „ze łba”, rozgniatając i tak pokiereszowany nos, potem oburącz uderzył w uszy. I poprawił w szyję. Tamten padł. Na dłuższy czas powinien mieć dosyć. Paweł dopiero teraz z niejakim przestachem dostrzegł narzędzie, które umożliwiło mu obronę — mały metalowy krzyżyk z zaostrzonym końcem, który służył mu do modlitwy w podróży.

— Wybacz mi, Chryste, że do tak podłych spraw Cię używam!

Jak dotąd obaj kompani, zaaferowani swoim zadaniem, nie zareagowali na odgłosy walki. Być może nawet do nich nie dotarły. Wyjrzał na dziedziniec. Wszystko jasne, akurat w tym momencie wchodzili do apartamentu. Chwilę później już bez masek znosili po schodach bezwładną dziewczynę. Podczas walki z Bułgarem ksiądz wymacał broń i teraz wyciągnął mu ją spod pachy. Była to stara dziesięciostrzałowa beretta z pełnym magazynkiem. Kiedy niosący Dominikę bandyci znaleźli się na dziedzińcu, wyskoczył prosto na nich z okrzykiem *halt*. Upuścili dziewczynę na niewielki płachetek murawy. Niechętnie podnieśli ręce.

— Wolałbym was nie zabijać — powiedział szkolną niemczyzną — więc nie zmuszajcie mnie do tego.

Ich przestraszone twarze wykazywały pełne zrozumienie i gotowość do współpracy. Prawdopodobnie nie byli zawodowymi mordercami.

— Macie kajdanki? — zapytał.

Skinęli głowami. Po chwili, skuci ze sobą wokół metalowego trzepaka, nie stanowili dla nikogo najmniejszego zagrożenia. Dopiero wówczas zobaczył, że w całym obejściu nikt nie śpi. Gospodyni i goście z twarzami rozplaszczonymi na szybach przypatrywali się z przestachem rozgrywce.

Wreszcie Austriaczka odważyła się wychylić nos.

— Chciałam zadzwonić na policję, ale telefon nie działa. Musieli go uszkodzić.

— Nie ma sprawy, nie będę zgłaszał napaści — oświadczył Sulewski. — Pani sama może to zrobić.

Mimo zapewnień gospodyni, że chętnie poda im śniadanie wcześniej, postanowił nie zostawać ani minuty dłużej. Przebrał się, zapłacił za nocleg i wziął na ręce ciągle nieprzytomną Dominikę. Ledwie to zrobił, spod garderoby dziewczyny wypadła płytka CD. Błyskawicznie przyklęknął, schował plastikowy krążek do kieszeni kurtki i ruszył do samochodu. Odchodząc, zapytał gospodynię o drogę na Wiedeń. Tłumaczyła mu chwilę, a on słuchał z uwagą, kiwając głową, chociaż zamierzał udać się dokładnie w przeciwnym kierunku.

\*

Samolot wylądował we Wiedniu z czterdziestominutowym opóźnieniem, co już mocno Henryka zdenerwowało. Oczekujący w sali przylotów Jeremi — przez współpracowników, z racji potężnej postury i okazałego kałduna zwany Schaboszczakiem, nie miał szczególnie radosnej miny.

— Nie znalazłeś ich? — domyślił się egzekutor.

— Gorzej. Jechali bocznymi drózkami i dopiero nad ranem mojej ekipie udało się ich namierzyć niedaleko granicy, w Gattendorf.

— I co?

— Nic nie wspominałeś, że twój księżulo to jakiś pieprzony supermen. O mało nie ukatrupił Feriduna, a dwóch jego pomocników przykuł ich własnymi kajdankami do trzepaka. Teraz nie wiem, jak ich wydobyć z łap miejscowej policji.

— Ty? Od kiedy masz kłopoty z policją, Schaboszczak?

— Czasy się zmieniają — Jeremi popadł w melancholijny ton. — Coraz trudniej prowadzić interesy.

— Wiesz, gdzie teraz mogą być moi uciekinierzy?

— Zapewne gdzieś na autostradzie numer dwa.

— Zapewne? — zdziwił się egzekutor. — Nie wiesz dokładnie? To już drogówka nie może odwalić za ciebie roboty?

— Trochę to skomplikowane. Moi ludzie w policji dostali ostatnio takiego pietra, że coraz trudniej idą przerzuty. A za byle przysługę żądają takiego szmalu...

— Słowem — olewasz mnie?!

— O co mnie posądzasz, Heniu! Wysłałem z Wiednia jeszcze jedną ekipę. Ale dotąd nie natrafili na twoją parkę. Grzeją zdrowo. Będą czekać na zbiegów koło starego przejścia granicznego w Villach.

— O ile tamtędy pojedą. Księżulo dał dowody, że nie jest głupi.

— Nigdy nie lubiłem czarnych. Ale jeśli nie skorzystają z autostrady, musieliby pchać się przez góry.

— Widać, że muszę zająć się tym osobiście. Załatw mi bilet do Klagenfurtu! Ale już!

— Teraz? To niewykonalne, samolot do Klagenfurtu właśnie odleciał, a następny jest za cztery godziny.

— Kurwa!

— To akurat ciągle mogę załatwić. Jedną albo dwie...

— Lepiej zorganizuj mi awionetkę albo helikopter.

— A masz na to szmal? Bo u mnie akurat z gotówką krucho... No? Sam widzisz. Ale nie łam się, za godzinę jest rejsowy lot do Wenecji. Jeśli mojej ekipie nie uda się zatrzymać tej parki wcześniej, ty i twoi ludzie wyjadą im naprzeciw.

— Ejże, Schaboszczak? A skąd wiesz, że zabrałem swoich ludzi?

— A co to, nie znam ciebie, Heniu? Czyli jak? Dla całej trójki Wenecja? Świetne miejsce na krótkie wakacje.

\*

Tuż po południu prowadzona przez Sulewskiego honda Faltynowiczów minęła Graz i przeciskała się przez masyw Alp. Faltynowiczówna, przykryta kocem na tylnym siedzeniu, ciągle spała. Parę razy próbował ją obudzić, ale mamrotała tylko niewyraźnie coś, czego ksiądz nie mógł zrozumieć. Jej stan trochę go niepokoił, tym bardziej że nie znał powodu tak długiej śpiączki. Co ją sprawiło: gaz czy zmęczenie? A może jedno i drugie? Jednak kiedy minęli Klagenfurt i poniżej autostrady rozbrzysk rozległy zalew Wörther See, Dominika obudziła się.

— Gdzie jesteśmy? — spytała całkiem już przytomna.

— Przejechaliśmy większą część Austrii.

Ziewnęła, przeciągnęła się i stwierdziła:

— No, to przespałam mnóstwo widoków!

— I jedną małą potyczkę.

— Potyczkę?!

Pokrótkie opowiedział jej o incydencie w Gattendorfie. Dość oględnie, a mimo to pożałował swej szczerości. Po raz drugi od spotkania na cmentarzu zauważył w jej oczach strach.

— Chcieli nas uspić i porwać? — zapytała.

— Najprawdopodobniej.

— A potem przesłuchać, zabrać płyty i zabić? — nadrabiała miną, ale głos jej drżał.

— Niekoniecznie od razu zabić — próbował ją uspokoić. — Pozbawieni płyt nie bylibyśmy dla nich niebezpieczni.

— Tylko tak mówisz, żebym się nie martwiła — siąknęła nosem. — Jednego nie potrafię zrozumieć: jak trafili na nasz ślad?

— Istnieje mnóstwo możliwości.

— Na przykład, że to ja donoszę?

— Że mimo charakteryzacji rozpoznał nas pogranicznik albo zarejestrowała mnie jakaś kamera, kiedy szukałem toalety w Cieszynie...

— Albo to paskudne babsko z „Warty” podkablowało. Wpatrywała się w ciebie tak, jakby chciała cię połknąć!

— Sama widzisz. Ale teraz uciekliśmy im daleko.

Nieco uspokojona, przebrała się, prosząc tylko, aby nie zerkał we wsteczne lusterko.

— Nie mam najmniejszego zamiaru!

Na krótki postój zatrzymali się przy sporym Resthofie. Obok była stacja benzynowa, sklepy, parking. Śniadanie lub raczej wczesny obiad, wizyta w toalecie i pobieżna kosmetyka zajęły im nie więcej niż pół godziny. Dziewczyna przy okazji jeszcze raz zmieniła ubranie, twierdząc, że choć lubi klimatyzację, to czasami jest jej jednak za chłodno. Toteż koszulkę polo zastąpiła bluzka z długim rękawem, a spódniczkę wytarte dzinsy. Krążąc po sklepie, Sulewski rozglądał się dyskretnie. Nie zauważył cienia inwigilacji. Nikt się nimi nie interesował. A może nie znał się na tym. Na rozjeździe pod Villach Dominika podniosła krzyk, że źle jadą, gdyż drogowskazy wskazują drogę na Italię w zupełnie innym kierunku.

— Spokojnie, dziecinko — uspokoił ją — na wszelki wypadek, gdyby nie zaniechali pościgu, pojedę inną drogą.

— Dłuższą?!

— Dłuższą, trudniejszą, ale mam nadzieję, że bezpieczniejszą. I bardziej malowniczą.

— Myślisz, że nas nadal ścigają?

— Jestem tego pewien, choć nie mam pojęcia, na ile ich wyprzedziliśmy.

Tak był zadowolony ze swej przezorności, że zupełnie nie zauważył beżowej terenówki, która od dłuższego czasu trzymała się trzy, cztery auta w tyle, i w ostatniej chwili skręciła za nimi na Spittal.

\*

Schaboszczak nie przyznał się Henrykowi, że w pościg za uciekinierami wysłał jeszcze trzecią czteroosobową ekipę pod wodzą Borysa, czterdziestoparoletniego weterana SMIERSZ-u. Przyczajeni na małym leśnym parkingu poczekali na granatową hondę z polską rejestracją, a następnie dyskretnie siedli jej na ogonie.

Czy była to nielojalność Jeremiego? Mafioso uważał, że skoro jego partner z Warszawy nie mówi mu wszystkiego, to on może zrewanżować się pięknym za nadobne. Współpracowali od lat. Poza interesami jednak nie łączył ich żaden stosunek służbowy. Rosnące imperium Jeremiego — choć wywodzące się z tajnych służb i odpowiednio skumane z austriacką policją — było przede wszystkim interesem prywatnym. I Schaboszczak wolał, by takim pozostało.

Początkowo zamierzał jedynie wyświadczyć przysługę kumplowi z SB. Postawa księdza i determinacja, z jaką Henryk go tropił, obudziła jednak ciekawość wiedeńskiego *Taufpate*.

Co się za tym kryje? — kombinował. Polityka, pieniądze? Jakies stare, ciemne interesy wykluczył, oboje ścigani zdawali się zbyt młodzi, aby można poważnie brać pod uwagę taką ewentualność. Poza tym mężczyzna był księdzem. Oczywiście bywało, że przypadkowi ludzie wchodzili w drogę mafii i wtedy należało ich usunąć. Sam miał na sumieniu parę takich „nieprzewidzianych, smutnych incydentów”. Ale wtedy inscenizowało się najczęściej nieszczęśliwy wypadek drogowy, samobójstwo, zadławienie, utonięcie lub banalny zawał. Wówczas talenty Henryka były wykorzystywane w pełni.

Tym razem jednak Siwy nie występował w klasycznej roli egzekutora. Chodziło mu o pojmanie zbiegów żywcem. Czyżby chciał z nich wydobyć jakąś informację? Tylko jaka informacja mogła być w dzisiejszych czasach warta aż tak wielkiego zachodu?

A może mieli przy sobie COŚ, coś, na czym Henrykowi, a raczej jego mocodawcom, zależało szczególnie? Rozważając tę kwestię, przypomniał sobie, że jeden z uczestników nieudanego porwania, zresztą Polak, wspomniał o dysku CD, który wypadł dziewczynie spod nocnej koszuli. Jakież nagrania chowa się tak intymnie? Michaela Jacksona? Madonny? Intuicja i długoletnia praktyka podpowiadała mu, że może w zasięgu jego rąk znalazł się hit, gwarantujący właścicielowi wielkie pieniądze albo wielkie kłopoty. A może i jedno, i drugie.

Wracając z lotniska, zadzwonił do Borysa, przykazując, aby po zatrzymaniu poddał księdza i towarzyszącą mu panienkę szczegółowej rewizji i zabezpieczył wszelkie znalezione przy nich rzeczy.

— *A patom, magu...?* — zakończył zdanie dwuznaczny rechot.

— *Padazdi.* Najpierw ja ich przesłucham.

Niezwykłe zadowolony z siebie, skręcił w Gurtel, odszukał kontrolowaną przez zaprzyjaźnioną „rodzinę” restaurację i zamówił sobie Wiener Schnitzel ze schabu, największy, jaki mieli.

\*

Po tunelu za Knoten pojawiły się naprawdę spore góry. Droga na Plöckenpass, kręta i stroma jak wszyscy diabli, wymagała sporego wysiłku od kierowcy. Silnik zajeżdżonej hondy wył na niskich biegach, grożąc, że lada chwila odmówi posłuszeństwa. Trzymający się z tyłu Borys skrócił dystans do zaledwie dwóch aut i spokojnie czekał, kiedy Polacy przystaną. Gdyby mógł ich po prostu zabić! Ileż możliwości dostarczała ta malownicza droga pośród przepaści. Rosjanin dysponował gamą precyzyjnych uderzeń, z których każde groziło śmiercią lub kalectwem.

Tymczasem flagi powiewające w miejscu starego przejścia granicznego i przydrożne tablice wskazywały, że znaleźli się już na ziemi włoskiej. Na pierwszej stacji benzynowej Dominika jak zwykle skręciła do toalety, a Paweł poszedł do sklepiku kupić jakieś kanapki. Z obiema rękoma zajętymi kawą i torbami z jedzeniem stanął przed drzwiami, mając nadzieję, że nadchodzący od strony parkingu rosły blondyn w bejsbolówce mu otworzy. I rzeczywiście otworzył, ale nim Sulewski zdążył mu podziękować, ujrzał wycelowaną w siebie lufę sig sauera 226.

— *Nie biezpakojsia* — powiedział blondyn z uśmiechem, zdradzającym pewne ubytki w uzębieniu.

Już zamierzał cisnąć mu w twarz gorącą kawą, gdy coś twardego wbiło mu się w plecy.

— *Bitte ruhe!* — usłyszał za uchem.

Zaraz potem z damskiej toalety dobiegł pisk i po chwili wyłoniło się stamtąd dwóch mężczyzn, prowadząc między sobą bladą jak ściana Dominikę.

— Ależ, panowie — usiłował zagadać po niemiecku ksiądz — musiała zajść jakaś okropna pomyłka.

— *Malczy!* — warknął Rosjanin, po czym półszepsem poinformował, że jakikolwiek głupi ruch może zakończyć się śmiercią.

Zaprowadzili ich do terenowego dodge'a i wsadzili do środka. Skuli im ręce. Jako trzeci na tylne siedzenie wpakował się krostowaty Niemiec, do którego zwracano się Rudi. Rosjanin siadł z przodu obok kierowcy o wąskiej twarzy Araba czystej krwi. Czwarty, niewyróżniający się niczym szczególnym Austriak, zabrał kluczyki Sulewskiemu i wsiadł do hondy.

— Co chcecie z nami zrobić? — zapytała drżącym głosem Dominika.

— Nie twoja sprawa!

Najbardziej zadziwiające było, iż nikt z kilkunastu turystów, kręcących się po parkingu, nie zauważył błyskawicznej operacji. A może nie chciał zauważyć?

Bandyci nie pozwolili im rozmawiać ze sobą i nie odpowiadali na pytania. Toteż więźniowie mogli jedynie milcząco przyglądać się bajkowym pejzazom Dolomitów i czekać. Ledwo wyjechali ze stacji, Borys wyciągnął komórkę. Po niemiecku zdał meldunek „dwie paczki bez uszkodzeń”, potem chwilę słuchał. Zakończył krótkim „*charaszo*” i odłożył komórkę we wgłębienie obok ręcznego hamulca.

Dominika czuła, że za moment zsika się ze strachu, który walczył w niej z obrzydzeniem. Napierający na nią Rudi śmierdział ohydnie potem, papierosami i ogólnie zgnilizną. W dodatku gapił się jej beczelnie w dekolt. Co gorsza, parę razy przymilnie kładł rękę na jej udzie. Strącała ją ze wstrętem.

Ksiądz siedział z zamkniętymi oczami i wydawał się drzemać. A może się modlił? Albo zbierał siły. Jeśli tak, nie dawał tego po sobie poznać. Wyglądał na pogodzonego z losem. Dominika nie. Cały czas zastanawiała się, co na ich miejscu zrobiłby bohater kina akcji. Nawet mając skute ręce. Równocześnie starała się zapamiętać drogę. Zauważyła, że w miejscowości Tolmezzo, zamiast ku autostradzie, skierowali się w głąb gór. Ich celem mógł być, sądząc po drogowskazach, znany kurort Cortina d'Ampezzo, jednak po przejechaniu sześćdziesięciu kilometrów, w miejscowości Vigo di Cadore, skierowali się w boczną, niesłychanie krętą drogę. Po paru minutach skręcili z niej w stromo idącą pod górę żwirówkę. Stanęli przed jakimś rozległym gospodarstwem. Nikt ich nie witał, tylko gdzieś z głębi domu dobiegł okrzyk *Saluto!*, za budynkiem ujadał pies, a wiatr niósł zapach pieczonego mięsiwa. Dominika, mimo strachu, poczuła się głodna.

— Wychodzić — zakomenderował Borys. Gramolili się powoli. Na prawo krostowaty Rudi, na lewo ksiądz... Dominika, wiedzona nagłym impulsem, chwyciła w skute dłonie nokię Borysa i wepchnęła pod mankiet.

Zaprowadzili ich do niewielkiej kamiennej komórki, służącej być może za mieszkanie sezonowych robotników, stały tam bowiem dwa łóżka, a światła dostarczało niewielkie okienko bez szyb.

— CD! — rzucił krótko Borys, a Rudi wyciągnął łapy o splekanych, przyżółconych paznokciach.

— Niech trzyma ręce przy sobie! — krzyknęła dziewczyna.

— Moje CD jest w torebce!

Rosjanin wyjął je z taką miną, że spodziewała się, iż na podobieństwo bohaterów Marka Twaina potwierdzi jego autentyczność zębami. Nie próbował.

— Muszę do toalety! — powiedziała tonem oznajmującym.

— Ostatnim razem nie daliście mi nawet zrobić siusiu.

— Zaprowadź ją, Ali, i nie spuszczaaj z oka — powiedział szef do „beżowego”. Ku wyraźnemu niezadowoleniu Rudiego, który chętnie osobiście zająłby się dziewczyną, Arab zaprowadził ją do wiekowej wygodki położonej u stóp winnicy. Miał wielką ochotę wejść za nią do środka, ale zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Na wszelki wypadek obszedł budynek, sprawdzając możliwości wyjścia. Nie było nawet okienka. Tymczasem Dominika wyciągnęła z rękawa telefon i zaczęła zmusznie wystukiwać SMS. Wracając, upuściła w trawę obok samochodu zdobyczny aparacik. W samą porę, bo zaraz potem Borys zaczął gorączkowe poszukiwania. Wreszcie zadzwonił do siebie i po dźwięku odnalazł go koło dodge'a.

— Upuściłeś, ofermo! — wrzasnął na Araba. — Żeby mi to było ostatni raz!

\*

Henryk, siedzący w samochodzie, zaparkowanym na *area di servizio* opodal krzyżówki autostrad pod Palmanovą, odległą ledwie dwadzieścia kilometrów od wybrzeża Adriatyku, odczuwał coraz większy niepokój. Wprawdzie cierpliwość była jego drugą naturą, bo jako zawodowy łowca potrafił całymi dniami czekać na ludzką zwierzynę, tym razem jednak denerwował się, nie mając żadnej pewności, czy zwierzyna wyjdzie mu na strzał.

Z przerzuconej ponad autostradą kładki Lech i Lidka kolejną godzinę obserwowali na zmianę niekończący się potok aut z północy. Nigdzie jednak nie wypatrzyli granatowej hondy z polską rejestracją, która jadąc nawet w żółtym tempie powinna pojawić się już parę godzin temu.

„Przywarowali gdzieś jak zając w bruździe albo wybrali okrężną drogę.”

Coraz bardziej nie podobało mu się także zachowanie Schaboszczaka: od dwóch godzin mafioso nie odbierał jego telefonów. Zadzwonił nawet do „przykrywkowej” firmy, ale tam również nie mieli pojęcia, gdzie podziewa się boss. Czyżby coś kręcił? Już na lotnisku w zachowaniu Jeremiego wyczuł, że coś jest nie tak...



„Przecież nie może znać stawki? Chociaż kto wie, to wyjątkowy cwaniak. Palcem go nie zrobili.”

Tymczasem z kładki zadzwoniła Lidka.

— Szefie, co robimy? Zaczyna się zmierzchać i za chwilę nie odróżnimy mikrobusu od tracka...

— Dobra, zawracamy — mruknął niechętnie. Nie podobała mu się konieczność zmiany planów. Ale skoro „Austriak” zawiódł, nie miał innego wyjścia.

Przechwycenie zbiegów nie powiodło się. Pozostawało jedynie zanocować pod Wenecją, a potem samolotem polecieć do Rzymu i tam zrealizować wariant awaryjny.

Zawodowiec pokonany przez amatora! To nie mieściło się w głowie! Jeszcze raz zadzwonił do Jeremiego. Ten nadal nie odbierał. Zastanawiał się, czy już pora na telefon do pułkownika. Postanowił jednak poczekać. Pułkownik chwilowo nie mógł mu w niczym pomóc.

Wynajęli trzy pokoje w dużym, tanim hotelu nieopodal lotniska. Na ścianach pyszniły się reprodukcje najwybitniejszych dzieł renesansu. Leszek wybrał pokój z *Moną Lizą*, nad łóżkiem Lidki wisiał autoportret Rafaela, a u Henryka można było podziwiać *Święto Wiosny* Botticellego. Mistrz sportretował tam młodziutką Simonettę Vespucci, przedwcześnie zmarłą kochankę Wawrzyńca Wspaniałego, tę samą, która pozowała mu do *Narodzin Wenus*. Według opisu Jacka przypominała bardzo Dominikę Faltynowicz. Siwy nie znał się na malarstwie, ale na wszelki wypadek sprawdził, gdzie trzeba. Sam nie widział aż takiego podobieństwa, ale też dysponował jedynie zdjęciem legitymacyjnym i paroma fotkami z albumu. Na wszystkich „polska Wenus” była ubrana i w odróżnieniu od tej renesansowej uśmiechnięta. Ale czy taki zdeklarowany pedał jak Sandro B. mógł namalować uśmiechniętą kobietę?

Nie wiedzieć czemu na myśl o uciekinierce doznał erekcji. Szkoda, że będzie musiał ją zabić. Mógłby wprowadzić najpierw... Ale miał zasady — nie współżył nigdy z ofiarami. Za dużo komplikacji.

Zresztą pocieszył się łatwo. Po kwadransie zapukała do niego Lidzia.

Nie było to szczególną niespodzianką. Ich romans trwał już od paru miesięcy, przynosząc obu stronom wiele nie tylko zawodowej satysfakcji. Policjantka pod każdym względem była fachowcem wysokiej klasy. Szybko pozbyli się ubrań, a następnie, używając nomenklatury łyżwiarskiej, przeszli cały zestaw układów akrobatycznych, zaczynając od jazdy obowiązkowej, przez dowolną, aż do szybkiej. Cały układ zakończyli istną spiralą śmierci, kiedy Lidka, skowycząc w absolutnym orgazmie, wisiała przerzucona przez poręcz fotela, włosami dotykając ziemi.

— Kończ, kończ!

Niestety podczas kulminacyjnej ewolucji, zasługującej u każdego obiektywnego sędziego łyżwiarskiego na pełną szóstkę, zawibrowała komórka. Henryk błyskawicznie wrócił do rzeczywistości. Puścił funkcjonariuszkę, która padła bez tchu na dywan, a sam nagi, spocony, z obrzmiałą twarzą rzucił przez zęby:

— Słucham.

— Gdzie ty się, kurwa, podziewasz? — zabrzmiał lekko zachrypnięty głos pułkownika.

— Jestem w Wenecji i czekam jak chuj po prośbie na jakąkolwiek wiadomość... — zrewanżował się równie dosadnie. — Jerry strefnił. Zgubił trop. Co gorsza, nie mam pojęcia, gdzie jest.

— No to posłuchaj! Pół godziny temu na posterunek policji w Rucianem przybiegli śmiertelnie przerażeni państwo Faltynowiczowie.

— Jebał to pies!

— Czekaj... Otrzymali esemesa od córki, która, zamiast przebywać w Zakopanem, jest, tu ci zacytuję: „we Włoszech, porwana przez gangsterów. Trzymają nas w jakimś gospodarstwie, na skraju winnicy, trzy kilometry na północny — wschód od Vigo da Cadore. Kocham was. Dominika”.

— Ja pierdołę!

— Możesz przez chwilę nie przeklinać? Starzy, podejrzewając jakiś kawał córeczki, najpierw zadzwonili do domu, a ponieważ nikt nie odbierał, do sąsiadki, ta zaś opowiedziała im, że Dominika z jakimś osobnikiem, podobnym do starego Faltynowicza, wzięła wóz i odjechała. Wspomniała też o wizycie jakiejś trójki podającej się za funkcjonariuszy UOP-u. Ich rysopisy dziwnie mi kogoś przypominały. Będę się musiał zdrowo nagimnastykować, żeby nic z tego nie przeciekło do mediów.

— No i co dalej?

— Policja obiecała się tym zająć. Drogą służbową. Jutro zadzwonią do ambasady, pojutrze ambasada zwróci się do karabinierów... Do tego czasu, mam nadzieję, sprawa będzie załatwiona.

— Oczywiście.

— Domyślasz się, kim są porywacze?

— Ludzie Schaboszczaka. Wiesz, że musiałem skorzystać z ich usług, a oni, zdaje się, chcą upiec na naszym ogniu własnego schabowego. Przewidyj mi jeszcze raz tego ese-mesa.



## Z wtorku na środę

Noc nadeszła szybko, a wraz z nią wyroiły się stada nietoperzy, które na podobieństwo czarnych myśli szybowały wokół domostwa. Dominika i Paweł, skuci kajdankami, mogli jedynie przysłuchiwać się odgłosom bankietu, podczas którego mafia austriacko–turecko–rosyjska bratała się z autochtoniczną. Wraz z toastami i śpiewami dolatywały spoza domu tak smakowite zapachy pieczenia, że głód skręcał Dominice kiszki.

Dopiero koło jedenastej Borys ulitował się nad więźniami i przyniósł im resztki z grilla. Pod maleńkim okienkiem ich komórki bezustannie dyżurował mało kontaktowy Ali. Ze skutymi rękoma Dominika cały czas krążyła po niewielkiej celi: jedenaście kroków wzdłuż, osiem wszerz. Przepatrzyła wszystkie kąty w poszukiwaniu czegoś, co od biedy mogłoby posłużyć za broń. Znalazła jedynie koło od taczki, rozsypujący się w rękach trzonek łopaty, złamaną wędkę bez haczyka, rozbity dzbanek... Denerwowało ją zachowanie Pawła. Jeszcze kilkanaście godzin temu, jak sam opowiadał, zachował się jak supermen, a teraz biernie, wręcz żałośnie siedział na pryczy i się modlił.

Zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi ani na dziewczynę, ani na to, co działo się na zewnątrz. Z tego, co zrozumiał z dialogu dwóch tubylców, idących odpryskać się za komórkę, wynikało, że „do rana ktoś przyjedzie po jakiś dysk”

„A potem?”

„Chłopaka do piachu, a z dziewczyną dadzą się nam najpierw trochę pobawić”.

Słowa przejęły go grozą, ale nie dał niczego po sobie poznać. Mając ręce skute na plecach, musiał zjeść kawałki baraniny z miski jak pies. Dziewczyna chciała mu pomóc, ale odparł, że da sobie radę. Zjadł mięso, przeżuł nawet chrząstki i powrócił do wcześniejszych medytacji. Dominika nie wytrzymała:

— Modlisz się? — wybuchnęła. — Do kogo? Gdzie jest ten twój cholerny Bóg? Dlaczego nas opuścił? Wpadliśmy jak śliwka w kanalizację, a ty nawet nie próbujesz nic zrobić!

— A co twoim zdaniem powinienem zrobić? — zapytał spokojnie. — Sam przeciw czterem sprawnym, międzynarodowym bandziorom i kilku Włochom? Mam się na nich rzucić z gołymi rękami, w dodatku skutymi...?

— Każdy na twoim miejscu próbowałby coś zrobić.

— Toteż robię.

— Co?

— Myślę.

Zamilkła. Naburmuszona usiadła na pryczy. W samej rzeczy, co można było zrobić w równie beznadziejnej sytuacji? Ale w czym może pomóc modlitwa? Nie słyszała, żeby ostatnio komukolwiek, nawet najbardziej wierzącemu, udało się przeniknąć mury czy chodzić po wodzie. Z każdą chwilą uświadamiała sobie, jak niewielkie mają szansę. Na razie żyli, bo ktoś pragnie ich przesłuchać. Co jednak będzie potem? Księżda zabiją na bank, ale co z nią? Może tylko zgwałcą. Na samą myśl oblewała się zimnym potem i czuła ból w dołku. Po jasną cholere wdała się w tę awanturę? Pociągała ją tajemnica, przygoda, przystojny ksiądz. Miało być zajebicie i cool. A tymczasem? Zamiast paradować po Krupówkach, groziło jej, że dokona żywota w jakiejś cuchnącej baranim moczem komórcie...

— Masz spinkę do włosów? — odezwał się naraz Paweł.

— Mam. A bo co?

— Wspominałem ci już, że wychowałem się na podwórku w małym miasteczku. Pod zaborem było to miejsce, gdzie karnie osiedlano warszawskich przestępców. Złodziejskie umiejętności przechodziły tam z ojca na syna. Dzięki kolegom z osiedla bardzo wczesnie zdobyłem sprawność małego kasiarza, małego włamywacza...

— Potrafisz otworzyć kajdanki? — zapytała z niedowierzaniem.

— Spróbuję.

Serce zabiło jej mocniej.

— A co potem?

— Zobaczmy najpierw, jak rozwinie się ich zakrapiana uczta. Podejrzewam, że ktoś zluzuje Alego. Czuję, że nasz stróż też by się napił, chociaż muzułmanin. Zobaczmy, kto obejmie wartę.

Podeszła do Pawła i zrzuciła mu skute dłoń za głowę.

— Przepraszam...

Pocałowała go, muskając jedynie kącik ust, bo w ostatniej chwili odsunął głowę. Jej stwardniałe sutki zetknęły się na moment z szeroką piersią Sulewskiego...

— Dasz mi wreszcie tę spinkę? — powiedział opryskliwie. — Włóż mi ją do ust. Nie tym końcem. Teraz zbliż kajdanki... Bliżej!

Po paru minutach miała wolne ręce. Później przez dobry kwadrans próbowała, według dokładnych wskazówek, rozpiąć jego kajdanki. Udało się.

Potem nałożył jej ponownie niedomknięte okowy.

— Po co to robisz?

— Dla dekoracji. W każdej chwili możesz wysunąć dłonie. Półgłosem zaczął jej wyjawiać swój plan.

— Nie, nigdy się na to nie zdobędę — wyszeptała.

— Nie mamy innego wyjścia.

Jak przewidział, o północy Alego zmienił Rudi. Miał już nieźle w czubie. Zabawa po drugiej stronie domu z wolna wygasła. Na chwiejnych nogach podszedł do drzwi i zajrzał do pomieszczenia. Nie wypuszczając z ręki glocka, oświetlił latarką wszystkie kąty. Ksiądz chrapał, dziewczyna siedziała pokornie na pryczy.

— Nie śpisz? — zapytał.

Niewyraźna dykcja potwierdzała, że jest nieźle nawalony.

— Boję się spać — odpowiedziała, błogosławiąc dodatkowe lekcje niemieckiego, dzięki którym potrafiła jako tako porozumieć się w tym języku.

— Nie ma czego. Nic wam nie zrobimy. Zwłaszcza tak ładnej dziewczynie...

— Myślisz, że jestem ładna?

— Klasa! — mlasnął językiem.

— Ty też jesteś fajny, wiesz? — powiedziała zalotnie. — Może usiądziesz koło mnie. Pogadamy...

— Nie da rady — mruknął. Dygotał z podniecenia, ale zachowywał czujność. Borys ostrzegwał go przed zbytnim zbliżaniem się do Sulewskiego. Nawet skutą, ksiądz mógł być niebezpieczny.

— To możemy wyjść na zewnątrz — zaproponowała.

— Nie wolno.

— A kto to zobaczy. Wszyscy śpią. Pójdziemy za budynek, w cień — kusila, starając się nadać głosowi ponętne brzmienie.

— Naprawdę lubisz te klocki? — nadal był trochę nieufny.

— Chcesz się przekonać?

— A ten z tobą?

— To tylko ksiądz.

— Podobno każdy księżulo ma swoją gospodynię.

— Czy ja wyglądam na gospodynię?

Przestępował z nogi na nogę. Wreszcie podniecenie zwyciężyło.

— Faktycznie, chyba będę mógł wstawić się za tobą. Tylko nie próbuj żadnych sztuczek.

— Gdybym potrafiła wyciągnąć z kapelusza patrol karabinierów, już bym to zrobiła.

Zaśmiał się, szczerząc nierówne, chyba nigdy niemyte zęby. Wyprowadził ją na zewnątrz i zamknął drzwi. Noc, jak na sierpień, była dość chłodna, mimo to szalały cykady.

— Ile mamy czasu? — zapytała.

— Hans przyjdzie mnie zmienić dopiero o czwartej.

Wyszli. Rudi schował glocka za pasek i zaciągnął ją za budynek. Niecierpliwie szarpał guziki, rozpinając jej bluzkę. Usiłując pocałować, obślinił jej dekolt. Przypominał wielkiego, nieporadnego płaza i było nader wątpliwe, czy pocałunek zmieniłby go w baśniowego królewicza. Walcząc z mdłościami, udawała, że świetnie się bawi. Oswobodziła z kajdanek ręce zarzucone za jego plecy.

— Poczekaj — pierściami popchnęła go lekko na ścianę — może ja zacznę...

— Naprawdę chcesz? — nie wierzył własnemu szczęściu. Zwykle, nawet w burdelu, najgorsze raszple nie przepadały za obsługiwaniem go w ten sposób.

— Nie gadaj, tylko rozepnij spodnie.

Spełnił polecenie, patrząc, jak dziewczyna opada przed nim na kolana.

— Czekał, tu są jakieś osty — powiedziała. — Przesuń się w prawo, jeszcze w prawo, jeszcze...

Spodziewał się pieszczoty, jednak nie takiej. Kiedy jego głowa znalazła się dokładnie na wysokości okienka, wynurzyły się stamtąd dwie ręce i zarzuciły mu na szyję plastikową linkę. Krzyk uwiązał bandycie w krtani.

W tym momencie dziewczyna wyrwała Rudiemu pistolet zza paska i rąbnęła z całej siły w skroń.

— Nie ruszaj się — mruknął po niemiecku ksiądz — bo uduszę!

Tymczasem dziewczyna zatrzasnęła Rudiemu kajdanki na kostkach, a potem z emocji zwymiotowała. Błyskawicznie opanowała się jednak, podniosła klucze, które podczas szamotaniny wypadły na ziemię, i otworzyła drzwi komórki. Sulewski czekał w środku, równie blady jak ona.

— Chyba za mocno mu przyłożyliśmy — wyszeptał przejęty. — Bałem się, że naprawdę będę musiał go udusić. — Tu odsunął zaimprovizowaną garotę, czyli kawałek wędkarskiej żyłki i dwa uchwyty z kawałków trzonka od łopaty.

— Nic mu nie będzie! — powiedziała. — Dla takich to normalka. Powinniśmy teraz czymś go zakneblować.

— Masz rajstopy?

— Mam.

— A mogłabyś ściągnąć...?

\*

Bankiet powoli dogasał, podobnie jak grill. Ścichły ostatnie śpiewy. Niestety wokół domu ciągle się ktoś kręcił i pomyśl, aby wymknąć się własnym samochodem był na razie niemożliwy do realizacji. Toteż Sulewski zmodyfikował swój plan.

— Uciekniemy skrajem winnic — szeptał — dotrzemy do wioski.

— Na piechotę? Złapią nas raz-dwa.

— Coś po drodze ukradnę. — Sam się sobie dziwił, jak gładko przychodziło mu myśleć o kolejnych występach.

— Potrafisz odpalić bez kluczyka?

— Bez problemu, zwłaszcza jeśli wóz jest starszego typu.

— Rozumiem, że tego również nie nauczyłeś się w seminarium.

Doszli do dróżki i już mieli ruszyć w stronę wsi, kiedy usłyszeli kroki na żwirze. Ledwie udało im się skryć w winorośli, gdy pojawiło się dwóch facetów z dubeltówkami na plecach, trajkocących w miejscowym narzeczu. Paweł znał łacinę, ale dialekt lombardzki przypominał mu ją w niewielkim stopniu. „Mówili, że trzeba się mieć na bacności” — powiedział jeden z nich. O co tu chodzi? Potem od strony zabudowań gospodarczych odezwało się szczekanie psów.

Pomysł szybkiej, łatwej ucieczki musieli na jakiś czas odłożyć.

— Poczekamy — rzekł do Dominiki. — Za jakieś dwie godziny zrobi się tu zdecydowanie spokojniej...

— A psy?

— Obejdziemy dom szerszym łukiem.



— Miejmy nadzieję, że nikt nie zechce szukać Rudiego.

— Sama słyszałaś, jak mówił, że mają go zluzować koło czwartej.

Czekali ukryci w gąszczu pachnącym dojrzałymi gronami. On czujnie reagował na każdy szmer, ona z głową ufnie opartą na jego ramieniu zasnęła. Ksiądz, którego sen też okrutnie morzył, zdołał nastawić swój biologiczny zegar na drugą i ani się zorientował, gdy też usnął.

Przebudzenie przyszło nagle. Szarpnęła nim potężna fala adrenaliny. Poderwał głowę. Na podświetlanej tarczy zegarka dochodziła trzecia. Wewnętrzny budzik znowu zawiódł! Potrząsnął lekko Dominiką.

— Najwyższy czas ruszać, mała! I tak straciliśmy godzinę.

Szli ostrożnie ścieżyną wśród podnoszących się mgieł.

Psy milczały. I naraz Paweł potknął się, a jego stopa poślizgnęła się na czymś lepkiem. Krew? Wzdłuż ścieżki leżało ciało włoskiego rozbójnika.

Przysłaniając dłonią usta dziewczyny, aby nie krzyknęła, palcem nakazał milczenie, a sam klęknął obok trupa. Ktoś niezwykle fachowo poderżnął mu gardło. Ciało następnego wartownika znaleźli sto metrów dalej, opodal starej studni. Nieznany napastnik posłużył się identyczną metodą... Kim do diabła był? Co zamierzał? Dominika zaczęła dygotać i Sulewski czuł, że za chwilę nie zapanuje nad histerią. I wtedy od strony domu padł krótki strzał. Potem seria. Nagły, bolesny okrzyk. I znowu strzały. Tym razem od strony zabudowań.

Zaskoczenie udało się nie do końca. Któż u licha zaatakował domostwo? Policja? Nie, policja nie podrzyna gardeł nawet gangsterom.

\*

Henryk i jego ludzie mieli nadzieję, że akcja przebiegnie szybko i sprawnie. Mimo przewagi liczebnej przeciwnikami byli zwykli bandyci, nie mogący równać się z profesjonalistami. Nie spodziewał się oporu. Psy połakomiły się na rzuconą im trutkę. Straż zlikwidowali szybko i bezszmerowo. To takie proste. Wystarczyło, że Lidka w pełnej krasie wynurzyła się z zarośli i gdy jeden z Włochów zagapił się na blond zjawisko, nóż Leszka załatwił sprawę. W tym czasie Siwy wyeliminował drugiego z wartowników. Nie wiedząc, gdzie trzymani są więźniowie, postanowił zaatakować dom. Wszyscy spali. Zewsząd dobiegało chrapanie. Zamek w drzwiach ustąpił bez hałasu. Leszek, zaopatrzony w noktowizyjne gogle, wśliznął się do środka. Pierwszy zginął mężczyzna śpiący na kanapie, potem miejscowa kobieta na wyrku w kuchni. Nie przewidzieli jednak, że Borys na wszelki wypadek zastawił pułapkę na pierwszym piętrze — samopał, który wystrzelił, gdy tylko zerwana została nitka, przeciągnięta w poprzek schodów. Siekańce wprawdzie nie uczyniły

większej krzywdy Leszkowi, jednak postawiły na nogi cały dom. „Cholera, tak świetnie szło!” Ostrzeliwując przeciwnika, Henryk zastanawiał się gorączkowo, gdzie też jest ksiądz i ta siksa? Może cwany Boria umieścił ich w piwnicy? Albo w którymś z pomieszczeń gospodarczych? Sprawdzi się później!

Tymczasem ogień obrońców wzmógł się. Siwy dziękował swej przezorności, że zaopatrzył się u znajomka w Mestre, hurtownika jeszcze z dawnych dobrych socjalistycznych czasów, w większą ilość broni. W tym trzy doskonałe uzi. Kto mógł przypuszczać, że przydałby się granatnik?

Tymczasem Leszek prowadził wymianę ognia na schodach, a Lidce celnym strzałem udało się zlikwidować ponurego typka o mordzie fedaina, który próbował dostać się do jednego z samochodów przed domem. Musiała przy tym przebić bak, bo w powietrzu rozszedł się drażniący zapach benzyny.

Według oceny egzekutora w domu pozostało jeszcze trzech, może czterech żywych zbirów, toteż ostrzeliwanie mogło potrwać długo, a on nie miał ochoty czekać, aż zjawią się karabinierzy.

— Kończymy! — powiedział do małego mikrofonu umieszczonego blisko ust. — Grzechotki. Na trzy rzucamy. Raz, dwa...

Odbezpieczył jeden z przygotowanych granatów i wrzucił przez okno na pierwszym piętrze. Potem przepadł do ziemi za kamiennym murkiem.

Eksplozja zatrzęsała budynkiem, ktoś zawył. Teraz obrońcy skoncentrowali ogień na kryjówce Henryka.

Kolej na Leszka. Korzystając, że ogień z góry ustał, cisnął swój granat w kierunku drzwi na piętrze. Detonacja, a potem cisza. Jeśli nie liczyć echa, które tłukąc się o ciche wzgórza, powielalo efekty kanonady.

Nagle ciszę rozdarł ryk motoru gdzieś w przybudówce na tyłach domu.

— Lidka, z twojej strony! — zawołał szef. — Uważaj na drogę!

Policjantka ledwo zdołała uskoczyć. Przestrzelone serią z kałasza wrota przybudówki rozpadły się z trzaskiem, aż posypały się drzazgi, i Borys niczym jeździec biorący przeszkodę wypadł z domu, poszybował ponad klombem, pędząc ku drodze. Wiatr rozwiewał jego jasne włosy. Przeleciał między drzewami i dopadł żwirówki. Leszek w głębi domu w ogóle go nie widział, a rzucony przez Lidkę granat wybuchł daleko w tyle za motorem i jakby dodał mu jeszcze skrzydeł.

„Wszystko muszę zrobić sam!” — pomyślał Henryk i poprawiając noktowizor uniósł lekki, snajperski karabinek. Borys był już przy zakręcie, gdy zabójca błyskawicznie wycelował, instynktownie dodał poprawkę na ruch i nacisnął spust.

Trafiony w plecy Rosjanin wyrzucił w górę ręce i spadł jak zdmuchnięty. Gnany siłą rozpędu motor znikł w ciemności.

— Dobra robota, szefie — usłyszał głos Lidii.

— Dziękuję za uznanie.

\*

Uciekający ksiądz i jego towarzyszka byli oddaleni zaledwie o kilkanaście metrów od miejsca, w którym został trafiony Borys. Czołgali się spieszenie wyschniętym korytem potoku. Ponad nimi rozciągał się gaj oliwny. Motor niczym koń pozbawiony jeźdźca przeleciał jeszcze parę metrów, ostatecznie wypadł z drogi i uwiązł między oliwkami. Silnik zgasł.

W tym samym momencie jedna ze strużek benzyny, wyciekającej z rozprutego baku terenówki, dotarła do miejsca, gdzie rozsypały się resztki żaru z przewróconego grilla. Ognista zmija błyskawicznie dotarła do samochodu. Ekspłodował bak, a burza ognia w krótkiej chwili wypełniła podwórze. Na wpół oślepiiony Henryk zerwał gogle, uskakując jak najdalej. Dwie, może trzy sekundy i w ogniu stanęła honda... Następnie płomienie ogarnęły ganek, okiennice i dach budynku.

Sulewski na moment zamarł z przerażenia, gdy rozpoznał doskonale oświetloną twarz siwowłosego zabójcy. Bez chwili namysłu wykorzystał zamieszanie. Podniósł przewrócony, ale wyglądający na zdatny do jazdy motor i szybko przepchnął go poza zakręt.

— Dominiko! — syknął, widząc, jak dziewczyna wybiega na drogę i pochyła się nad ciałem martwego bandziora. — Zwariowałaś!

— Nie zostawię dysku!

Po chwili z odzyskanym CD-ROM-em siedziała już na motorze, który jedynie siłą rozpędu toczył się po stromiznie żwirówki w kierunku osady. Oślepieni pożogą zabójcy nie mogli zobaczyć, co dzieje się za zakrętem. Zresztą po kilkudziesięciu metrach Paweł włączył silnik. Zaskoczył gładko. Ujechali w ciemności jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy nagle na poboczu przed nimi zamajaczyła jasna plama. Ksiądz zwolnił. Na skraju drogi stała biała lancia, sądząc po nalepce, pochodząca z wypożyczalni Avisy w Wenecji. Nie gasząc silnika, zeskoczył z siodełka, najpierw strzelił w opony samochodu, a dla pewności wpakował jeszcze kulkę w chłodnicę.

— Teraz mogą sobie nas ścigać!

I ruszył z kopyta kierując się na południe, już z włączonymi światłami, które jakimś cudem ocalały.

Dopiero po paru minutach Henryk zorientował się, że motor Borysa zniknął, choć ciało leżało nadal na drodze.

— Leć po nasz wóz — zawołał do Lidki.

Rozejrzał się wokół i spostrzegł stojącą na uboczu komórkę o niedomkniętych drzwiach. Wpadł do środka i w kącie na barłogu zobaczył nieprzytomnego, związanego i zakneblowanego faceta.

Mimo smrodu wydzielanego przez Rudiego wyczuł bardzo słaby zapach perfum kobiety. Jeśli nawet Dominika i Paweł tu byli, to opuścili komórkę parę godzin temu.

— Załatwili strażnika, choć byli skuci! No, no! Spryciarze!

Wróciła Lidka. Była wściekła.

— Zniszczyli nam auto, szefie — zameldowała — i co gorsza, idzie tu chyba z pół wsi.

— Co robimy? — Leszek zmienił magazynek w swoim uzi.

— Po pierwsze, zachowujemy spokój — odparł Siwy.

Odczekał chwilę, a kiedy pierwsi wieśniacy znaleźli się w obejściu, wyjął legitymację i unosząc ją w górę, zawołał głośno po włosku:

— Interpol. Sekcja do walki z narkotykami. Rozejść się!



# Sobota

Okolo południa obszerne wnętrze bazyliki Santa Croce wydawało się doskonałym miejscem schronienia przed upałem, który lepką duchotą zaległ nad Florencją. Grupki turystów, szukając ochłody, krążyły po przestronnych nawach, przystając na chwilę zadumy przed grobowcami największych florentczyków: Michała Anioła, Galileusza, Dantego, Machiavellego. Marmury nagrobków przydawały im dostojęstwa, a zarazem w swoisty sposób zrównywały ze sobą, pozostawiając jedynie magię nazwisk i renomę geniuszu, odzierając zaś z ludzkich ułomności — żądry władzy, homoseksualizmu czy kontrowersyjnego charakteru. Posiadacze biletów mogli nadto przejść przez spalony słońcem wirydarz z paroma rachitycznymi drzewkami do miejscowego muzeum i zatrzymać się w ogromnej, prawie pustej sali, której główną ścianę pokrywał gigantyczny fresk Taddea Gaddiego, przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, a powyżej krzyż Chrystusowy, rozkwitający niesamowitym „drzewem życia”, na którym w charakterze owoców dzieła odkupienia rozmieszczono świętych i proroków. Patrząc na ów niezwykły obraz, pod ciężarem siedmiu wieków, jakie upłynęły od jego powstania, każdy nie pozbawiony refleksji widz musiał czuć się małym, nieważnym śmiertelnikiem. Zapewne takim uczuciom uległa para młodych ludzi o wyglądzie hipisów, która przycupnęła cicho na jednej z dalszych ławek. On, postawny blondyn o twarzy pokrytej kilkudniowym zarostem, ona o strąkowatych, chyba od tygodnia niemytych włosach, mocno opalanej twarzy i rękach, które od dawno nie widziały manikiurzystki. Hipis wydawał się modlić, jego partnerka zaś niespokojnie rozglądała się dookoła. Skuliła się, wyraźnie przestraszona, kiedy podszedł do niej wielki mnich z siwą brodą, przypominający Świętego Mikołaja. — Witajcie, dzieci — zamruczał basem braciszek.

Trzy i pół dnia trwała już ucieczka księdza Pawła i jego młodej towarzyszki. Dzięki motorowi Borysa (który w tym czasie pukał zapewne do bram postkomunistycznego piekła) szybko pozostawili za sobą płonący dom. Najpierw przez blisko godzinę pędzili przed siebie, kierując się na południe, potem Sulewski porzucił główną drogę na rzecz krętych górskich ścieżek. Oddaliwszy się o jakieś kilkadziesiąt kilometrów, znaleźli niewielki lasek i przespali się do rana.

— Co teraz? — To były pierwsze słowa Dominiki po przebudzeniu. — Jedziemy wprost do Watykanu?

— Nie byłoby to zbyt roztropne. Będąc na miejscu naszych wrogów właśnie tam bym się zaczął. Póki jesteście w drodze, trudno nas namierzyć.

— Jesteś pewien?

— W Polsce, gdzie udało im się poszczuć na mnie policję, takiej pewności bym nie miał, ale tutaj... Gdyby mogli skorzystać z usług miejscowej policji, nie szukaliby pomocy kryminalistów, jak to zrobili w Austrii.

— Tu też mogą.

— Nie za bardzo. Wiadomość o krwawej łaźni, jaką sprawili tutejszym gangsterom, z pewnością

się roznieście. I prędzej sami zdrowo oberwą, niż zwerbują przeciw nam kogoś z kamocry czy n' draghetty.

— Obyś miał rację! Ale może w tym starciu wcale nie chodziło o nas. Może to była jakaś lokalna wendeta.

Energicznie pokręcił głową:

— Zdecydowanie nie lokalna. Rozpoznałem szefa napastników, którzy zaatakowali naszych porywaczy.

— Mówisz o tym siwym z karabinem?

— Tak. Tego samego faceta widziałam przed kościołem krótko po zamordowaniu księdza Wacława. Podejrzewam, że ci, którzy na jego zlecenie mieli nas schwytać, domyślili się wartości CD-ROM-u i postanowili działać na własny rachunek.

— Ależ to nie ma sensu! — Dominika wydeła śliczne usteczka. — Jaką wartość mają nasze polskie tajemnice dla makaroniarzy?

— Nie widziałaś nazw plików, choćby tych o agenturze w Watykanie? A o związkach służb peerelowskich z Czerwonymi Brygadami?

— W takim razie dlaczego, kiedy oddałam im dysk, zostawili nas przy życiu?

— Pewnie czekali na przybycie jakiegoś ważniejszego szefa. I dzięki Bogu. Nie mogę tylko dojść, skąd ten Siwy wiedział, gdzie nas szukać.

Dominika wyraźnie próbowała uniknąć dalszych rozmów na ten temat. Przeciągnęła się ostentacyjnie, a następnie obwąchała swoją koszulkę.

— Chciałabym się gdzieś umyć.

— Zatrzymam się gdzieś nad rzeką...

— Żartujesz, nad rzeką?

— Absolutnie nie żartuję.

— Przecież są hotele.

— Nie będziemy z nich korzystać z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze nie wiemy, czy nie szuka nas Interpol...

— A drugi powód?

— Musimy oszczędzać pieniądze. Przede wszystkim musi wystarczyć na benzynę, na żywność...

— Bo mimo że dookoła jest mnóstwo wspaniałych sadów i winnic, to kraść, naturalnie, nie będziemy?

— Nie będziemy.

Skrzywiła się. Uważała, że ksiądz nie jest zbyt konsekwentny. Omal udusił bandytę, jak jakiś zawodowy *siccaro*, a tu proszę, miał opory przed kradzieżą owoców!

Tymczasem Paweł nie dawał za wygraną.

— A wracając do łatwości, z jaką nas namierzyli, miałbym do ciebie pytanie. Telefonowałaś gdzieś?

— Ja? — W jej głosie zabrzmiało zmieszanie. — Niby w jaki sposób?

— Widziałem, jak ukradłaś komórkę tego Rosjanina.

— Zadzwoiłam... do rodziców — powiedziała i spuściła oczy — wysłałam tylko esemesa, że nas porwano i gdzie jesteśmy. Myślałam, że to nam pomoże...

— Faktycznie pomogło. Telefon twoich rodziców był pewnie na podsłuchu. Paradoksalnie więc żyjemy dzięki twojej nieostrożności.

— Myślałam, że uznasz to za dar Opatrzności.

— To też.

— Ale nie gniewasz się na mnie?

— Nie, ale na przyszłość przynajmniej konsultuj swoje pomysły ze mną, jeśli łaska.

— Nie mam żadnych nowych pomysłów — powiedziała. — Za to jestem ciekawa, co ty zamierzasz robić dalej. Skoro nie jedziemy prosto do Rzymu...? Czy ty w ogóle zamierzasz się tam udać?

— Znam kogoś, kto może nam pomóc.

— Jesteś pewien, że ktokolwiek zechce? Że pomoże zabójcy osoby duchownej?

— Nie przypuszczam, żeby akurat on o tym słyszał. Zresztą pomógłby mi, nawet gdyby wiedział o księdzu Waławie.

— Rodzina?

— Wuj. Niedługo zadzwonię do niego.

— Zaraz, zaraz! Jeśli to twój krewny, jak w banku będzie obstawiony w pierwszej kolejności.



— Tam gdzie jest teraz, trudno byłoby go obstawiać — uśmiechnął się. — A poza tym mało kto wie, gdzie przebywa.

Wstała i otrzepała ubranie.

— Muszę do toalety — powiedziała.

Wskazał zarośla dookoła. Zaprotestowała gwałtownie.

— Nigdy mnie do tego nie zmusisz. Tam są robaki, szczypawki i kleszcze! Podjedziemy na stację benzynową. Przecież i tak skądś musisz zadzwonić — dorzuciła.

Przejechali przez park narodowy „Dolomiti Bellunes”. Zatrzymali się na dłużej nad brzegiem Piave, gdzie udało im się znaleźć ustronny zakątek, wręcz zachęcający do kąpieli. Pora sucha w Italii dobiegała końca, toteż po paru dniach deszczów w rejonie Alp koryto rzeki wypełniło się wodą. Było jeszcze dość wcześnie i nad brzegiem nie napotkali nikogo. Dominika rozebrała się błyskawicznie i wskoczyła do wody. Paweł odwrócił się skromnie.

— Chodź, chodź tu — wołała, pluskając się i wyskakując na powierzchnię jak młoda syrenka o kształtnych piersiach.

— Najpierw ty się wykąpiesz, potem ja — odkrzyknął. — Ktoś musi pilnować motoru.

Przez moment panował spokój, gdy naraz rozległ się zduszony krzyk.

Gdy dobiegł do brzegu, Dominika znajdowała się niedaleko, ale jej obracająca się głowa i ręce to znikwały, to pojawiały się ponad wodą.

— Wir, wir! — krzyknęła i znów zniknęła w głębinie.

Nie wahał się ani chwili i tak jak stał, w ubraniu, skoczył do rzeki. Paroma uderzeniami ramion dotarł do miejsca, w którym pod powierzchnią unosiły się jasne włosy. Schwycił ją i pociągnął. Młóćąc wariacko ręką, wypłynął na płyciznę. Nie odzywała się, wisała na rękach bezwładna i ciężka. Uniósł ją jak piórko, ułożył na brzegu. Pochylił się, a wtedy ramiona topielicy pochwyciły go, a usta odnalazły usta...

Odskoczył jak oparzony. Dominika wybuchnęła śmiechem.

— Ale cię nabrałam! Żadnego wiru nie było!

Przez chwilę wyglądał, jakby miał ochotę ją zbić. Opanował się jednak, ściągnął tylko przemoczone łachy i z głową do przodu dał nura przed siebie. Też chciał się umyć.

I ochłonać.

Aż do stacji benzynowej nie odezwał się słowem. Nie zareagował, kiedy trzymająca go w pasie dziewczyna powtórzyła parokrotnie:

— Przepraszam, przepraszam. Więcej nie będę.

Za trzecim razem brzmiało to już naprawdę żałośnie. Ale pozostał niewzruszony. Po przybyciu na miejsce zamknął się w kabinie telefonicznej i rozmawiał z kimś dobre trzy minuty.

— Dodzwoniłeś się? — zapytała, gdy znów znaleźli się na motorze. Bez słowa skinął głową. — I co, pomoże nam?

— To nie takie łatwe. Nie mógł podejść do telefonu.

I znów jechali w milczeniu. W odróżnieniu od śmigania autostradami, bocznymi drogami podróżuje się przez Włochy zdecydowanie ciekawiej, choć dłużej. W osadzie pod Vicenzą zobaczyli wiejski pogrzeb, w Arzignano trafili na festyn, mogli też obserwować, jak pora sjeisty kompletnie wyludnia małe, prowincjonalne miasteczka.

Około szóstej Paweł zatelefonował ponownie i humor trochę mu się poprawił.

— Dodzwoniłeś się? — spytała dziewczyna. Przytaknął.

— I co, pomoże nam?

— Tak, spotkamy się z nim w sobotę we Florencji.

— Dopiero w sobotę? Ty chyba całkiem zwariowałaś. Co my będziemy robić do sobory?

— Mniej więcej to samo, co do tej pory.

— Spać w rowach, myć się w rzece, a ty będziesz się na mnie co chwila obrażał?

Musiał zareagować.

— Ja się nie obrażam, Dominiko. Tylko chciałbym cię prosić, abyś na przyszłość zaprzestała swoich eksperymentów.

— Eksperymentów?

— A jak inaczej nazwać twoje prowokacyjne działania? Bez przerwy sprawdzasz, jakie wrażenie robią na mnie twoje wdzięki. Na ile poważnie traktuję swoją służbę, swoje przysięgi...

— Ciekawa byłam tylko, czy jesteś mężczyzną!

— Jeśli męskość polega na tym, żeby przy pierwszej okazji rzucać się na kobietę, to rzeczywiście oblałem ten test. Czy ty naprawdę chcesz, żebym zachował się tak, jak te szczeniaki na cmentarzu? Czysty seks, żadnych uczuć, odrobina relaksu i po sprawie? O to ci chodzi? A może tylko o sprawdzenie, czy księżuło wierzy w zasady, które głosi, czy tylko udaje?

Dłuższą chwilę stała ze spuszczoną głową.

— Masz rację — powiedziała w końcu. — Nie o to mi chodzi. Przepraszam. Więcej nie będę.

Kolację zjedli w małej, taniej pizzerii, przeznaczonej chyba głównie dla miejscowych. Nikt z personelu nie władał żadnym językiem poza włoskim, a na kawałku pola, przeznaczonym na parking, nie zauważył ani jednego samochodu z obcą rejestracją. Daleko w dole migały światła Werony, od stuleci światowej stolicy zakochanych. Po sprawdzeniu stanu finansów Sulewski uznał, że mogą pozwolić sobie na butelkę czerwonego wina.

— Opowiesz mi o tym swoim wuju — zaproponowała Dominika. — Jest księdzem?

— Był. Parę lat temu złożył śluby zakonne i przebywa w klasztorze. Bardzo dużo mu zawdzięczam... Dzięki jego talentom pedagogicznym mały łobuziak Pawełek nie zszedł na złą drogę. Wtedy Ignąłem do niego instynktownie, teraz wiem, że tkwiła w nim siła przekonywania, moc logicznych argumentów, a jednocześnie żar jakiś, mistyczna charyzma, coś, co zjednywało mu nie tylko umysły, ale przede wszystkim serca. Sądzę, że takie właściwości cechują prawdziwych świętych...

— Mówisz o nim, jakby umarł.

— Bo umarł. Prawie...

— Możesz wyrażać się jaśniej, bo na razie słyszę same zagadki? Co to znaczy — prawie umarł?

Sulewski uniósł do góry kieliszek wypełniony purpurowym płynem i popatrzył przez niego na Dominikę. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominała Marię.

— Alkohol! — powiedział cicho. — Koło pięćdziesiątki zaczął pić. Najpierw tylko trochę, potem praktycznie nie trzeźwiał. Msze odprawiane po pijaku, delirka. Co jakiś czas, na krótko, mocne postanowienia poprawy i znów nawrót... W końcu przyjaciele umieścili go na specjalnym odwyku dla księży. Później po zwolnieniu z obowiązków duszpasterskich przeszedł do zakonu o zaostrowym rygorze dla podobnych jak on... Jest tam od lat. Dlatego aby mógł wyjść i się z nami zobaczyć, musimy czekać aż do soboty.

— Wiadomo, dlaczego zaczął pić? — zapytała cicho.

— Kto to wie? Nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałem. Mamie też się nie zwierzał. Bardzo różne powody kierują człowiekiem. Cierpienie, samotność, świadomość starzenia się, przemijania...

— Ale mówiłeś, że był praktycznie kandydatem na świętego.

— Bywa, że i dąb pęknie tam, gdzie trzcina tylko się ugnie.

Przenocowali w jakiejś opuszczonej szopie na szczycie wzgórza. Trzeba przyznać, że Dominika dotrzymała słowa. Owinięci kupionymi w supermarkecie kocami spali przytuleni... To znaczy Dominika spała, bo Paweł długo nie mógł zasnąć. Czuł bicie serca dziewczyny, łomot własnego i było mu dobrze, lekko, tak lekko, że gdy wreszcie nadszedł sen, dusza księdza oderwana od ciała krążyła ponad Weroną, gdzie na placach tańczyły nagie cienie kochanków ze wszystkich krajów świata.

Wczesnym rankiem ruszyli na południe. Mieli mnóstwo czasu i żadnego powodu, żeby się spieszyć. Aby nie prowokować losu, omijali autostrady i naszpikowane kamerami centra handlowe. Dominika ubłagała jednak Pawła, by mimo ryzyka zjechać do centrum Werony. Chciała zobaczyć dom Julii Capuletti.

— Przecież to tylko legenda. Ani ona, ani Romeo nigdy nie istnieli...

— Ale jaka piękna legenda... Poza tym ścigający są przekonani, że chcemy jak najszybciej przekazać dalej dyski, i nawet im do głowy nie przyjdzie, że zamiast się kryć, będziemy zwiedzać jak prawdziwi turyści.

— Może i racja...

Znaleźli się więc tam, na małym podwórku, pod ażurowym balkonikiem, na który przed wiekami wspinał się Romeo. Dominika nuciała cicho norwidowskie *Nad Kapuletich i Montekich domem...*, Paweł jednak nie uległ nastrojowi chwili. Cały czas rozglądał się, czy nikt ich nie śledzi.

— Powiedz — zapytała dziewczyna, kiedy kwadrans później przeciskali się przez barwny, pełen kramów z pamiątkami i kolorowych parasoli plac — dlaczego te największe miłości prawie zawsze są tragiczne? Czemu tak rzadko kończą się jak w bajce: „i żyli długo i szczęśliwie”?

— Czy ja wiem? Tragizm porusza czytelnika, a happy end trąci banałem. Któż zainteresowałby się losami Romea i Julii, gdyby przeżyli, pobrali się, mieli czeredę dzieci? Romeo robiłby interesy, a Julia się roztyła...

— Sądysz, że nie mogliby się dalej kochać?

Na moment stanął mu przed oczami ostatni sen Marii.

— Zapewne — odparł. — Zestarzeliby się i w końcu banalnie umarli. A tak są nieśmiertelni.

— Czyli może warto rzucić wszystko na szalę, przeżyć tę jedną jedyną chwilę, a potem niech wali się świat?

Zadrzał. Słyszał już kiedyś podobne słowa.

— Widzisz — powiedział, starając się ukryć wzruszenie. — Tego się nie wybiera, to się czasami ludziom zdarza. Albo nie.

Z Werony podążyli do Mantui, następnie przez Parmę i Lukkę dotarli do Pizy. Po drodze odwiedzili maleńkie, uroczne San Gimignano, dzięki swoim niezwykle wysokim wieżom przypominające krawiecką poduszczkę z powbijanymi igłami. O zmierzchu dotarli do Sieny, gdzie przemocowali, by następnego dnia okrężną drogą przez Arezzo zawrócić ku Florencji. Początkowo Dominika, choć nadrabiała miną, kuliła się na widok każdego patrolu policji. Jednak dwójka zakurzonych wędrowców na motorze, w przepisowych kaskach (znaleźli je, a jakże, pod siedzeniem) ani razu nie wzbudziła najmniejszego zainteresowania włoskich carabinieri. Może mieli wyjątkowe szczęście albo też nikt nie rozesłał za nimi żadnych listów gończych. Pomimo że wzmianki o bandyckich porachunkach pod Vigo di Cadore trafiły do większości popołudniówek, twarze dwójki Polaków ani żadne informacje o ich udziale w incydencie nie pojawiły się w gazetach.

Może zresztą sprawa Sulewskiego nie zainteresowała Interpolu? Dominika zadzwoniła do przyjaciółki matki i przekazała wiadomość, że jest cała i zdrowa, esemes o porwaniu był zaś jedynie głupim żartem, a w ogóle bawi się świetnie i wkrótce zadzwoni. Miała nadzieję, że to rodziców uspokoi.

Jaki to miało wpływ na ścigających, nie wiadomo, w każdym razie zarówno ksiądz, jak i dziewczyna, przekonani, że uszli prześladowcom na dobre, z dnia na dzień czuli się pewniej. Co nie znaczy, że nadmiernie prowokowali los.

Odwiedzając II Duomo w Arezzo, Dominika zwróciła uwagę na wysokiego przystojnego Azjatę, który z zapalem fotografował fasadę bazyliki.

— Widziałeś? — nerwowo pociągnęła Sulewskiego za rękaw — znów tu jest.

— Kto?

— Ten Japończyk z cyfrówką. Widziałam go wczoraj na Il Campo w Sienie. Też fotografował jak opętany.

— Daj spokój. Wszyscy Japończycy z aparatami są do siebie podobni.

— Ale rzadko mają metr osiemdziesiąt wzrostu.

— Jeśli nawet to ten sam facet, to oznacza wyłącznie, że podąża typowym szlakiem turystycznym... A poza tym, gdyby chciał nas zatrzymać, już dawno by to zrobił.

W tym momencie żółtoskóry mężczyzna nieoczekiwanie do nich podszedł. Zdrętwieli.

— Przepraszam, czy mógłby pan zrobić mi zdjęcie? Na tle tego pomnika — zagadnął.

— Naturalnie — odparł Sulewski.

Strzelił fotkę i natychmiast oddał aparat. Mężczyzna podziękował, ale wyraźnie chciał podtrzymać rozmowę.

— Jedziecie państwo do Florencji? — zapytał.

— Nie, do Cortony — skłamał bez zmrużenia oka ksiądz.

— Cortona? — zdziwił się amator fotografii. — Nie słyszałem o tej miejscowości.

— Urocze zabytkowe miasteczko w drodze nad Jezioro Trazymeńskie, niesłusznie pomijane przez turystów — wyrecytował Sulewski ze swadą zawodowego cicerone.

— Ach tak! Muszę się tam wybrać — powiedział Azjata i ukłoniwszy się, odszedł w stronę kościoła.

— Nie podoba mi się ten facet! — mruknęła Dominika.

— A ja zauważyłem, że zrobiłaś na nim wrażenie — zaśmiał się Paweł. — Pożerał cię wzrokiem.

— Takim wyglądem nie zainteresowałabym nawet kloszarda!

— Może akurat lubi brudne, spocone białaski.

Po przybyciu do Florencji pozostawili motor na parkingu, ciągnącym się wzdłuż szerokiego, dwupasmowego bulwaru nad brzegiem Arno, i prawie biegiem dotarli do kościoła Santa Croce na pięć minut przed umówionym spotkaniem.

Brat Albert, bo takie imię przybrał w zakonie wuj Pawła, najpierw serdecznie wyściskał siostrzeńca, potem to samo zrobił z Dominiką. Przygarnął ją z siłą starego, ale jarego niedźwiedzia, aż od tych czułości zatrzeszczały jej żebra. Paweł z trudem rozpoznał w potężnym tęgim mężczyźnie dawnego szczupłego, charyzmatycznego księdza, a tym bardziej chudego jak kościotrup upiora, trzęsącego się pod szpitalną kroplówką. Albert zaprowadził Dominikę i Pawła do niewielkiego pokoiku, w sam raz nadającego się do zwierzeń.

— Mówcie, co się dzieje, dzieciaki — rzekł. — Z tonu tego ancymona wynika, że wpadliście w niezłe tarapaty.

— Opowiem wszystko jak na spowiedzi — oświadczył Sulewski — pod jednym warunkiem. Nie przerwie mi wuj ani słowem.

— Dobrze.

Oczywiście łatwiej było obiecać niż dotrzymać. Opowieść zrobiła na Albercie wielkie wrażenie. Nieraz w dramatycznych momentach podrywał się, machał rękami, otwierał usta jak karp albo skubał się w policzek. Dominika, słuchając po raz kolejny całej historii, nie mogła uwierzyć, że sama w tym wszystkim uczestniczy.

Wreszcie relacja dobiegła końca. Mnich nie zareagował od razu. Zdawało się, że przetrawia otrzymane informacje. Nie komentował, nie zadawał pytań, nie podawał w wątpliwość opowieści. Wyglądało, że ufa siostrzeńcowi bezgranicznie.

— Jak mogę ci pomóc? — zapytał półgłosem.

— Chcę pozbyć się tych dysków. Przekazać je w pewne ręce. Zdeponować w bezpiecznym miejscu. Ich kopie powinny potem trafić do Episkopatu i jakiegoś urzędu od bezpieczeństwa. Moglibyśmy wówczas spokojnie oddać się w ręce polskich władz.

Albert zamyślił się.

— Znam paru ludzi z kręgu biskupa pomocniczego Florencji, ale... Nie. Mam lepszy pomysł. Przed paru laty poznałem prałata z kurii rzymskiej, Vittorio, leczyl się podobnie jak ja. Tyle że z lepszym rezultatem. Teraz jest pewnie co najmniej biskupem.

— Włoch?

— W połowie. Matkę ma Polkę. Jego ojciec pracował przed laty we włoskiej ambasadzie. Mówi po polsku równie dobrze jak my, choć z uroczym, południowym akcentem. Spróbuję go odnaleźć. Zabierze mi to pewnie trochę czasu... — urwał i spojrzał na nich. — A wy gdzie się zatrzymaliście? Sądząc po waszym wyglądzie, pewnie nigdzie?

Skinęli głowami.

— Mogę załatwić wam nocleg w domu pielgrzyma, albo, jeśli wolicie, poza miastem... Rodzina jednego z moich klasztornych braci odziedziczyła obszerny dom pod Regello, jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Zaciszna okolica. Z tego, co wiem, stoi pusty, bo dopiero przymierzają się do wynajmowania go turystom. Zaraz tam zadzwonię. A jeśli chodzi o Vittoria, zawiadomię was, kiedy tylko nawiążę kontakt

— Tylko nikomu ani słowa.

— Synu, po co ta mowa! Mówisz do starego konspiratora.

\*

Dominika miała ogromną ochotę zwiedzić Florencję, pójść na Piazza della Signoria, zobaczyć miejsce, w którym spłonął Savonarola, zanurzyć się we wspaniałych galeriach Uffizi i Pitti.

— Będzie na to czas — hamował ją ksiądz.

— Kiedy?

— W powrotnej drodze. Kiedy będziemy mieli już to wszystko za sobą.

— Za sobą? Wierzysz, że to kiedykolwiek się skończy?

— Jestem tego absolutnie pewien.

Wierzył w to, co mówił, czy, co bardziej prawdopodobne, tylko ją uspokajał?

Pożegnawszy się z Albertem, bocznym wejściem opuścili Santa Croce i skierowali się ponownie na nadbrzeże.

Zbliżając się, Dominika odczuła niewyraźny niepokój, z każdą chwilą przeradzający się w pewność, że motocykli jest tam jakby mniej. Motor zniknął.

— Musieliśmy postawić go gdzie indziej — powiedział Sulewski, choć i jego oblał zimny pot.

— Jestem pewna! Zostawiliśmy go tutaj, pod tym drzewem! — upierała się dziewczyna.

Dwa razy obiegli dookoła cały parking, zanim ostatecznie upewnili się, że pozostali bez środka transportu. Dominika skłonna była dopatrywać się w tym działania mrocznych sił, lecz ksiądz zwrócił uwagę, że wszystkie inne pozostawione tam motory i skutery posiadały różne zmyślne zabezpieczenia. Florencja zaś nie od dziś cieszyła się opinią jednego z tych miast, które przyciągały złodziei jak magnes opiłki.

— Padliśmy ofiarą własnej łatwowierności! — powiedział, podsumowując w myśli straty: ubrania, koce, płaszcze przeciwdeszczowe, mapa Włoch, latarki i trochę żywności. Na szczęście zabrali ze sobą pieniądze i bezcenne dyski.

— I co teraz? — usta dziewczyny skrzywiły się w podkówkę. — Jutro wieczorem mieliśmy się spotkać z twoim wujem...

— Spoko. Dotrzemy tam jeszcze dziś przed wieczorem.

— Jak?

— Stopem.

Ustawili się przy drodze wylotowej z miasta, wypatrując wozów z rejestracją spoza Florencji. Jako kandydaci „na łebków” nie wyglądali zbyt zachęcająco, bo zatrzymał się dopiero dziesiąty wóz, srebrzysty ford mondeo, na numerach wskazujących Rzym jako „port macierzysty”.

— Znowu się spotykamy — usłyszeli i gdy kierowca opuścił szybę, ze zdumieniem zobaczyli wysokiego Azjatę z Arezzo.

Dominika miała ochotę rzucić się do ucieczki, ale Sulewski, krzepiąc się myślą o pistolecie ukrytym w chlebaku, śmiało postąpił do przodu.



— Jadę do Rawenny — trajkotał mężczyzna — i z przyjemnością państwa tam podrzucę.

— Bardzo dziękujemy, ale wybieramy się znacznie bliżej — odparł Paweł.

— Jeśli trzeba, dla miłego towarzystwa mogę nadłożyć parę mil...

— Nie trzeba — przerwał mu ksiądz. — Jeśli wysadzi nas pan przed supermarketem w Pontassieve, będziemy zachwyceni.

— W porządku.

Skąd przyszedł mu do głowy ten supermarket? — zastanawiała się Dominika, sadowiąc obok kierowcy, ale prawie natychmiast spostrzegła na poboczu ogromny billboard, reklamujący wspomniany coop. Ksiądz zajął miejsce z tyłu, dzięki czemu miał kierowcę na oku. Żółtkowi po prostu nie zamykały się usta. W planie miał zwiedzenie Rawenny, później San Marino i powrót przez Urbino do Rzymu.

— W poniedziałek koniec urlopu. Muszę wrócić do pracy — zakończył.

— Pracuje pan w Rzymie? — zapytała dziewczyna.

— Tak, w filii agencji.

— Prasowej?

— Naukowo-badawczej. Ale... nie przedstawiłem się — zreflektował się — Thomas Cheng.

— Dom... Donna Kowalska — improwizowała. — A to mój brat, Piotr.

— Bardzo mi przyjemnie.

— A ta pańska firma — do rozmowy włączył się Sulewski — to przedsiębiorstwo japońskie?

— Amerykańskie! Z Waszyngtonu. Ale współpracujemy z agendami Unii Europejskiej. Realizujemy wspólny program „Entomologia w wielkim mieście”.

— Czyli robactwo? — domyśliła się Dominika.

— W dużym uproszczeniu. Badamy nowe uwarunkowania symbiotyczne poszczególnych gatunków, ich zdolności adaptacyjne w wielkim mieście, a także wpływ insektów na choroby cywilizacyjne, alergie, nowe formy zakażeń... I jeszcze jedna poprawka. Nie jestem Japończykiem. Moi rodzice przed trzydziestu laty przyплыnęli do USA z Korei. Na stałe mieszkam w Baltimore. Byli państwo może w Baltimore?

W oddali zamajaczył zjazd pod supermarket. Cheng podwiózł ich na sam parking i żegnając się, wręczył dziewczynie firmową wizytówkę ze słowami:

— Jeśli będziecie państwo w Rzymie albo w Baltimore, proszę do mnie zadzwonić.

— Nie omieszkamy — rzekł Paweł, a gdy srebrzysty samochód oddalił się, powiedział z przekąsem: — Spodobałaś się temu dżentelmenowi.

— On mi też. Jest, jak na Azjatę, całkiem przystojny. I w dodatku nie wygląda na zaprzysięgłego zwolennika celibatu — dorzuciła szyderczo.

Dalszą podróż odbyli już w zdecydowanie mniej komfortowych warunkach. Najpierw do Figline dostali się rozklekotaną ciężarówką do transportu kurczaków na rzeź, później skorzystali z uprzejmości parki wieśniaków, którzy podrzucili ich do samego Regello niemiłosiernie wysłużonym alfa romeo.

Casa Claretti, kompleks zabudowań stanowiący ongiś centrum większej posiadłości, stał w pewnej odległości od drogi, osłonięty cienistym gajem.

W dawnych stajniach i magazynach trwały prace remontowe, zapewne przerwane na okres weekendu. Jedynym stałym mieszkańcem rezydencji była stara, półgłucha klucznica, mówiąca trudnym do zrozumienia dialektem. Zaprowadziła ich do pierwszego odnowionego apartamentu, składającego się z obszernego salonu, z przepastnym kominkiem i belkowanym sklepieniem, niedużej łazienki i sypialni wyposażonej w wielkie małżeńskie łóżce. Resztę budynku czekały dopiero prace adaptacyjne. Na parterze czynna była tylko niewielka ubikacja z natryskiem.

Kiedy Dominika brała kąpiel, Sulewski mimo zmęczenia obszedł cały, częściowo ogrodzony siatką teren. W jego północnej części znajdował się obszerny staw, służący zapewne niegdyś jako zbiornik wody, napędzającej pobliski niewielki młyn. We wschodniej części posiadłości ciągnął się spory sad, na końcu którego stało kilka ruder, zamieszkanych przez parę wielodzietnych rodzin. Od południa, tuż za kępą drzew, rozpościerało się rozległe pole, przylegające do lokalnej drogi. Wreszcie od zachodu, obok dawnego warzywniaka, zobaczył uliczkę małych domków, które z bliska okazały się rzędem uli, wokół których pracowicie uwijały się pszczoły. Dalej był już tylko las i w oddali wzgórze z prowadzącą do nich drogą. Wszędzie panował spokój i cisza, jeśli nie liczyć żabich chórów znad stawu.

Gdy wrócił, Dominika już spała. Porozrzucana na kamiennej posadzce garderoba jednoznacznie wskazywała, że spała nago. Przewyciężając senność, zdobył się jeszcze na wypranie swoich i jej ciuchów. Zasnął natychmiast na skórzanej kanapie przed ogromnym, pustym kominkiem.



# Niedziela

Mimo dość wygodnej kanapy i panującego wokół spokoju, a może właśnie dlatego, Sulewski spał marnie. Najpierw dławili go koszmary, w których roilo się od postaci bez twarzy, kalekich zwierząt, przerażających ruin, przerywane powracającym jak refren obrazem wielkowiejskiej ulicy, wypełnionej tłumem ludzi, ściganych brudnoszarym tumanem jakiejś gigantycznej eksplozji. Nie potrafił nazwać tego miasta, ale wydawało mu się dziwnie znajome.

Po raz pierwszy ocknął się, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno. Wielki dom tonął w mroku. Jedynym dźwiękiem dochodzącym z zewnątrz było pohukiwanie sowy. Sowy? A może snajpera, dającego znać swoim kompanom, że właśnie zajął stanowisko?

Pólnagi, jedynie w slipach, z pistoletem w ręku obszedł całe pięterko, nie zapalając światła, potem wymknął się na podwórze. Doszedł aż do drogi, następnie zatoczył szeroki łuk koło stawu aż do uli. Nikogo. Wreszcie jakiś czujniejszy pies sąsiadów poczuł jego obecność, zaszczekał, dołączył drugi... Uspokojony psią serenadą, zawrócił i starając się nie wpaść na rusztowania wokół budynku spichrza, dotarł do drzwi.

Zamknięte! Przysięgłby, iż zostawił je uchylone. Czyżby ktoś?... Strach zjeżył mu włosy. Odbezpieczył broń i szarpnął gwałtownie za kłamkę. Wejście stanęło otworem. Tuż za drzwiami zobaczył białą zjawę.

— Nie strzelaj, to ja! — zawołała Dominika, owinięta jedynie w prześcieradło. — Poczułam przeciąg, zobaczyłam, że cię nie ma...

Zaryglowali wspólnie oba zamki.

— Sprawdzam całą okolicę — rzekł uspokajająco do dziewczyny. — Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Wracaj do łóżka!

— Na pewno jest ci wygodnie na tej kanapie? Może się zamienimy? Jestem trochę mniejsza.

— Nie trzeba, jest mi bardzo wygodnie.

Cmoknęła go w policzek, a może tylko w ucho i zniknęła w sypialni. Wyciągnął się na swoim legowisku, ale nadal nie mógł zasnąć. Dopiero gdy niebo za oknem pojaśniało, zapadł w sen, tym razem bez zwidów i strachów.

Obudziły go smakowite zapachy. Dominika już wstała, ubrała się w lekko wilgotną bieliznę, na którą zarzuciła prześcieradło, próbując za pomocą kilku agrafek upiąć je niczym rzymską togę. Na elektrycznej kuchence w korytarzu usmażyła jajecznicę. Do tego podała ser i dorodne pomidory, które o świcie przyniosła stara klucznica. Dokładnie o dziewiątej pojawił się obwoźny piekarz, na stole zółcił się więc zachęcająco chlebek, jak się później okazało, pieczony bez soli, *ergo* całkowicie pozbawiony smaku.

Mimo to oboje spałaszowali śniadanie z apetytem, potem, nie mając nic lepszego do roboty, zwiedzili cały kompleks zabudowań gospodarczych od kompletnie zrujnowanego dworu po mały młyn za stawem, próbując odgadnąć, jakie przeznaczenie miały w przeszłości pozostałe obiekty. — To prawdopodobnie była stajnia, to wozownia, a to chyba obora — Sulewski oglądał ściany, zachwycał się ciesiołką, metalowymi okuciami z zamierzchłych czasów, wyobrażając sobie ludzi żyjących tu dawnymi laty z ich dramatami, miłościami, marzeniami. — Masz pojęcie, że rodzina Clarettich rezydowała w tych stronach od trzynastego wieku? — spytał w pewnej chwili. — Czy można wyobrazić sobie jakiś ród w Polsce, zamieszkujący bez przerwy w jednym miejscu od czasów świętej Kingi i Bolesława Wstydlivego?

— Uważasz, że to ma dziś jakieś znaczenie? — Dominika pogłaskała wielką kławkę w kształcie głowy smoka. — Z tego, co mówił twój wuj, wynika, że familia w prostej linii wymarła, ostatni z Clarettich przebywa w klasztorze, a dalsi krewni kombinują wyłącznie, jak zmienić gospodarstwo w przynoszący zyski pensjonat.

— Uważasz, że przeszłość nie ma znaczenia? — zdziwił się. — Nie interesują cię dzieje własnej rodziny?

— Historia jako nauka oczywiście bardzo mnie interesuje, zwłaszcza historia sztuki, ale rodzinna genealogia? Gdybym jeszcze była potomkiem królów albo hetmanów, to kto wie. Ale w moim przypadku ojciec pochodzi ze wsi. Jak to się mówi, „pierwsze pokolenie”: robi wszystko, żeby zapomnieć, skąd nasz ród.

— Wstydzi się chłopskiego pochodzenia?

— Wstydzi się tej czeredy obiboków, pijaków, drobnych cwaniaczków, którzy zostali „na gumnie” i w dodatku oszwabili go przy podziale ojcowizny.

— A rodzina twojej mamy? Też nie utrzymujecie kontaktu?

— Mama pochodzi z małego miasteczka, gdzie zawsze patrzono krzywo na jej dziennikarskie aspiracje, a kiedy podczas studiów zamieszkała ze starszym o dwadzieścia lat rozwodnikiem, wyklęto ją.

— To był twój ojciec?

— Tata był trzecim czy czwartym sponsorem jej studiów. Ale o czym tu mówić? Czasem mama wyśmiewa się z taty, że jej rodzina miała nawet jakiś herb, a on może się najwyżej pieczętować świńskim kopytkiem.

Spacerkiem doszli do stawu, gdzie w szuwarach Paweł wypatrzył małą łódkę, która nie wyglądała na dziurawą.

— Popływamy? — zapytał.

— Najpierw dokończymy ten temat. A ty, wielebny, znasz ze swej rodziny kogoś starszego od dziadków?

Uśmiechnął się szeroko.

— Można powiedzieć, na mnie kółko się zamyka. Jak w przypadku Clarettich. Pierwszego Pawła Sulewskiego znalazłem w *Liber Chamorum* Nekandy Trepki.

— *Liber Chamorum*? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

— Siedemnastowieczny autor tej książki za punkt honoru przyjął wytropienie wszystkich Polaków jego doby, bezpodstawnie podających się za szlachtę.

— I jest wśród nich Sulewski?

— Jest. „Księży pomiot spode Sandomierza, któren pod panem Żółkiewskim służywał, a powiadają, iże pod Cecorą poległ, chodź widziano go w Carogrodzie między bisurmany, jak kitajką frymarczył. Ostawił synków dwóch, bękartów z mieszczką Kramerową, z których jeden arendę pod Zawchostem wziął, a drugi od powietrza w 1623 roku pomarł.”

— Umiesz na pamięć całą swoją genealogię?

— Akurat ten tekst zapamiętałem, choć nie mam żadnych niezbitych dowodów, że ów syn księdza z nieprawego łoża był moim protoplastą.

— Poza nazwiskiem?

— I imieniem. Paweł był w mojej rodzinie osobliwie popularny. Tak nazywał się mój dziadek i prapradziadek. I rzeczywiście wywodzili się z okolic Sandomierza.

— Tylko co ci po tej wiedzy? Czy byli wśród nich wielcy wojownicy, biskupi, artyści?

— Raczej notoryczni pechowcy. Praprapradziadek Ignacy zginął jako ochotnik w powstaniu listopadowym pod Wawrem. Prapradziadka Pawła chłopcy piłą rżnęli podczas rabacji galicyjskiej w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym, ale jakoś na jednej nodze uciekł z żoną i dziećmi do dalszej rodziny pod Biłgoraj. Syn jego, Antoni, poszedł w las z Langiewiczem, co przypłacił utratą majątku, szlactwa i wywózką na Sybir, gdzie wiele lat później urodził się mój dziadek. Rocznik tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty!

— Paweł?

— Jakżeby inaczej. Ten był najlepszy i chyba najbardziej pechowy. Ze sto razy ród powinien na

nim wygasnąć. Najpierw służył w armii carskiej w Azji Środkowej, po rewolucji znalazł się w polskiej dywizji syberyjskiej, po jej rozbiciu przedarł się do Chin, gdzie próbował szczęścia w interesach. Podobno z powodzeniem. Jednak na pierwszą wiadomość o odrodzeniu państwa polskiego rzucił wszystko, zaciągnął się na węglowiec i płynąc dookoła Afryki, przybył do Polski. Zdążył jeszcze w sierpniu dwudziestego roku, w parę dni po „cudzie nad Wisłą”, odnieść ranę w bitwie z niedobitkami korpusu Tuchaczewskiego pod Chorzalami... Co gorsza — oceniam to, patrząc z perspektywy wnuka, który mógł nigdy się nie urodzić — jego doświadczenia życiowe sprawiły, że postanowił nigdy się nie żenić.

— Ale, jak widać, złamał postanowienie?

— Los zdecydował za niego. W październiku trzydziestego dziewiątego roku aresztowany w Lidzie przez Sowietów uciekł z transportu i przedostał się do Generalnej Guberni, gdzie oczywiście działał w konspiracji.

— I tam, zgaduję, usidliła go twoja babcia?

— Nie tak prędko. Wytrwał jeszcze parę lat w kawalerskim stanie. Dopiero w czterdziestym czwartym... Babcia była sanitariuszką, która pielęgnowała go, kiedy z oddziałem śpieszącym na odsiecz Powstaniu dostał się pod silny ogień z moździerzy... Nie zdążyli wziąć ślubu, mój tata urodził się już po tym, jak wiosną zabrało dziadka NKWD. Babci nigdy nie poinformowano oficjalnie o jego dalszych losach. Wiele wskazuje, że rozstrzelano go w jednej z tajnych egzekucji w lesie pod Falenicą...

Sulewski umilkł. Widać było, że z pasją opowiadana historia trochę go zmęczyła.

— Jak się ma taką przeszłość, to warto szukać przodków — skomentowała z lekką zazdrością Dominika. — Ale jeśli dynastie tworzą głównie pańszczyźniani chłopci albo niewarcsi pamięci mieszczenie...

— Początkowo, zanim zacząłem zbierać wspomnienia, rozmawiać z babcią, tak samo myślałem o moich protoplastach. Ojciec był niczym niewyróżniającym się belfrem w szkole podstawowej, konformistą, który chyba nigdy w życiu nie postawił się swojemu szefowi. Do czynu obudziła go dopiero „Solidarność”...

— Jednego w takim razie nie mogę zrozumieć, dlaczego mając tak wspaniałych antenatów, postanowiłeś zostać księdzem, nie mieć dzieci? Zakończyć genealogię?

— Mam jeszcze brata. Ryśka.

— A tego mi nie mówiłeś.

— Co tu mówić? Osiemnaście lat temu wyjechał do RFN-u, został azylantem. Tam się ożenił.

— Czyli, tak czy owak, koniec wspaniałej polskiej sagi rodzinnej.

— Do niedawna i ja tak myślałem, ale się pomyliłem. Od roku jego najstarszy syn, Paweł, ma się

rozumieć, chodzi do gimnazjum we Wrocławiu. Ryszard planuje kupno działki na Mazurach... No, ale dajmy spokój opowieściom i sprawdźmy lepiej, czy tą łódeczką da się pływać.

Łajba jakoś nie zatoniła, a kawałek deski zastąpił od biedy wiosło. Udało się przepłynąć parę metrów wzdłuż brzegu, kiedy kurz unoszący się nad drogą i warkot nadjeżdżającego samochodu zmusiły ich do zmiany planu.

Błyskawicznie dobili do małego pomostu. Paweł polecił dziewczynie pozostać w cieniu młyna, a sam, kryjąc się między krzakami, pobiegł w stronę zabudowań.

Stary, poobijany fiat, zdradzający wyraźne sadomasochistyczne skłonności swoich użytkowników, dojechał do posiadłości i stanął koło spichrza. Z jego wnętrza wygramolił się, ocierając pot z twarzy, brat Albert. Był sam.

— Witaj, wuju! — powiedział Paweł.

— Udało mi się załatwić wszystko szybciej, niż myślałem. Vittorio potraktował moje zaproszenie poważnie.

— Co mu powiedziałaś?

— Tyle, żeby zainteresować, za mało, żeby zdekonspirować. Zje moi przyjaciele weszli w posiadanie dokumentów niezwyklej wagi dla Kościoła w Polsce. Że grozi im wielkie niebezpieczeństwo... Wiktor wyraził zainteresowanie materiałami i obiecał, że przyjedzie tu jutro osobiście.

— Poinformowałaś go o naszej kryjówce? — zaniepokoił się Sulewski.

— A czy ja jestem taki dureń, na jakiego wyglądam? — zachnął się zakonnik. — Umówiłem się z nim jutro o piątej na stacji w Figline... Macie coś do picia, bo strasznie się zgrzałem?

— Może być piwo?

— Nie podpuszczaj! — wuj pogroził mu palcem. — Od lat nie miałem alkoholu w ustach. Zero tolerancji! I wiesz, że mi z tym dobrze. Daj mi zwykłej wody! Ale, bym zapomniał — podszedł do bagażnika. — Przywiozłem trochę wiktuałów, spaghetti, mięsko, przyprawy. Ugotuję wam pyszny obiadek. A i jeszcze to! — Wydobył płaską, srebrzystą walizeczkę. — Pożyczyłem laptopa, żeby *monsignore* mógł sprawdzić, co naprawdę zawierają te wasze dyski. Wprawdzie Pismo powiada: „Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli”, ale zawsze Wiktor może okazać się niewiernym Tomaszem.



Kiedy Albert wspomagany przez Dominikę zajął się przygotowaniem posiłku, Pawła ogarnęła nieprzeparta chęć bliższego zapoznania się z rewelacjami zapisanymi na dysku. Podłączył laptopa, wsunął krążek do stacji dysków, otworzył menu... Mnogość plików sprawiła, że jak fredrowski osiołek, któremu „w żłoby dano”, wahał się przed wyborem. Może w pierwszej kolejności poznać rzeczywistych zleceniodawców zabójstwa ojca Jerzego? Rozgryźć tajemnicę transformacji totalitarnej PZPR w odnowioną socjaldemokrację? A może wgłębić się w listę konfidentów Służby Bezpieczeństwa w Episkopacie? Najechał kursorem na tę ikonę. I zawahał się.

Czy naprawdę chcę to wszystko wiedzieć? Cóż poza zaspokojeniem ciekawości dałaby mi taka wiedza? Co innego Watykan, konferencja plenarna Episkopatu, to ich obowiązek i za parę dni materiał stanie się ich własnością, ocenią go, wyciągną wnioski. A ja? Przeżyję dreszcz emocji. A potem? Stracę tylko wiarę w ludzi. Znienawidzę kilka kolejnych autorytetów... — Wisząca nad klawiaturą ręka opadła na stół. — „Nie! Poczekam.”

Obiad zjedli w ogrodzie. Albert nagotował furę spaghetti, polał pysznym sosem własnego pomysłu, posypał parmeza — nem.

— Niebo w gębie! — oceniła Dominika. — Gdzie ksiądz nauczył się tak pysznie gotować?

— Cóż, jako osoba z gruntu grzeszna, rezygnację z picia postanowiłem powetować sobie obżarstwem. Też grzech, ale mniejszy.

Po posiłku dziewczyna podała kawę Pawłowi i herbatę Albertowi.

Ten zaproponował wspólne odmówienie różańca.

— Beze mnie! — Dominika podniosła się, zbierając szklanki i spodeczki. — Swoją drogą jednego moglibyście nauczyć się od buddystów. U nich przynajmniej modlitwy klepią poruszane wiatrem młynki, nie absorbując ludzi. Oszczędza się dzięki temu masę czasu, który można wykorzystać na coś pożytecznego.

— Faza buntu! — poinformował wuja Sulewski.

— Nie! To nie żaden bunt ani przekomarzenie się, tylko zdecydowana, świadoma niereligijność — zaprzeczyła Dominika, zastygając z tacą w rękę. — Po prostu jestem trzeźwą racjonalistką i nawet gdybyście obaj przeszli spacerkiem tam i z powrotem po taflę jeziora, poszukałabym fizycznego wytłumaczenia tego zjawiska.

— Przebywając jakiś czas temu w Gargano u ojca Pio, widywałem dużo większe cuda — odparł niezrażony jej deklaracją mnich.

— Ślepi odzyskiwali wzrok, a głusi słuch?

— Też. Ale to nie były największe fenomeny.

— A jakie? Lewitacja, przenikanie ścian?

— Obserwowałem przemiany ludzkich serc. Niedługo po mnie przybył tam fałszywy mnich z Ameryki, w istocie niedoszły ksiądz wyrzucony z seminarium za rozpustę, korespondent brukowej gazety. Miał zdemaskować *padre*, ośmieszyć go. Pio rozgryzł go natychmiast, w długiej, szczerzej rozmowie opowiedział mu całe jego dotychczasowe życie, nie pomijając wszelkich niegodziwości, i przebaczył.

— Widać miał znakomity wywiad.

— Może. Prawdziwy cud, o którym chcę mówić, zdarzył się potem. Redaktor doznał nawrócenia, porzucił dotychczasowe życie. Umarł wiele lat później, pracując jako wolontariusz wśród trędowatych w Bangladeszu.

— Gratuluję! Wasz SzeF ma naprawdę zaskakujące poczucie sprawiedliwości. Zamiast pokarać Amerykanina, gdy ten był zły, zrobił mu kuku, kiedy chciał być dobry! Cóż za niekonsekwencja, a może starcza złośliwość? Czy potraficie mi wytłumaczyć, dlaczego już tak jest w tym waszym Kościele, że wybrani obrywają najcięższe manto, są krzyżowani, cierpią choroby, sami się umartwiają... Z marketingowego punktu widzenia trudno o gorszą propagandę.

— A jednak chętnych nie brakuje — powiedział cicho Paweł.

— Wątpiących też nie — przerwał mu Albert i odwrócił się do Dominiki. — Wcale niełatwo zostać dobrym chrześcijaninem. Albowiem kiedy człowiek poradzi sobie z cierpieniami ciała, przewycięży ułomności duszy, przychodzi najcięższa próba. — Czy wiesz, dlaczego zacząłem pić? — powiedział nieoczekiwanie i nim zdążyli zareagować, wyrzucił z siebie: — Straciłem kontakt z Bogiem!

Sulewski zachłysnął się kawą, a Dominika posłała mu triumfujące spojrzenie. Mnich nie zwrócił na to uwagi.

— Dziwne, prawda? Charyzmatyczny pasterz, wzorowy proboszcz, rekordzista, jeśli idzie o ilość powołań w parafii, a tu pewnego dnia... Nic. Tylko że trzeba zapytać, co to sprawiło?

— Co?

— Własna pycha!

— Nie bardzo rozumiem — rzekł Paweł.

— Pycha! Pramatka wszystkich grzechów — powtórzył zakonnik. — Za łatwo mi szło. Od najmłodszych lat czułem ogromną więź z Bogiem. Jego obecność była dla mnie czymś prawie namacalnym, wydawało mi się, że potrafię przekazywać Jego myśli. Kiedy zatapiałem się w modlitwie, naprawdę zbliżałem się do Wszechmogącego. I to wrażenie z latami wzrastało. Czułem się niekiedy tak, jakbym otrzymał zastrzeżony numer telefonu do raję, i to bez pośrednictwa sekretariatu... — Na moment umilkł, zbierając siły do wypowiedzenia kolejnych zdań. — Aż tu pewnego zimowego dnia, chyba w niedzielę, na krótko przed Świętami — sam nie wiem, jak to się stało, choć analizowałem rzecz po tysiackroć — przestałem Go czuć. Tak jakby abonent zmienił

numer. Przestał do mnie mówić. Wszedłem na ambonę, a w głowie miałem pustkę, w sercu sople lodu.

— Podobne uczucie opuszczenia pojawia się u wielu mistyków — zauważył Sulewski.

— Ale nigdy tak nagle. W jednej chwili stałem się pozbawioną daru wieszczona Kasandrą. Oczywiście łudziłem się, że to chwilowe. Szukałem rady u spowiednika, poszedłem do psychiatry, modliłem się coraz więcej i coraz gorliwiej. Wreszcie sięgnąłem po używki.

— Spodziewałeś się znaleźć Stwórcę na dnie kieliszka?

— Zabijałem pustkę. To na początku pomagało. — Na chwilę przerwał, uniósł szklanekę i siorbnął letnią herbatę. — Nikomu o tym nie mówiłem, ale w dzieciństwie miałem sen. Szedłem mroczną doliną, bojąc się straszliwie, choć nie wiedziałem czego, gdy naraz ujrzałem przed sobą słup jasności. I usłyszałem głos: „Nie lękaj się, idź za mną”. I to wystarczyło. Poszedłem! Ten głos odzywał się we mnie latami, wprawdzie nigdy nie tak głośno, a nawet gdy milczał, czułem, że jest... Aż do tamtej niedzieli. Pijąc, ja, stary, głupi facet, łudziłem się, że to powróci. Nic nie powróciło. Wtedy zacząłem się bać. Pomieszania zmysłów, utraty wiary... Koniec pewnie znacie.

— A nie lepiej było dać sobie z tym spokój? — wtrąciła Dominika.

— Spokój? Z czym?

— Z wiarą, z Bogiem? Znaleźć sobie kobietę, założyć rodzinę. Tysiące ludzi nie wierzy i jest im dobrze.

— Ale ja nie przestałem wierzyć w Boga! — wykrzyknął Albert. — Straciłem jedynie poczucie, że On we mnie wierzy, że zostałem przez niego wybrany.

— A teraz jest ksiądz zadowolony z zamknięcia w klasztorze? — dziewczyna nie zamierzała mu odpuścić.

— Tak. Odzyskałem spokój.

— A swoją dawną moc?

Zwiesił głowę na piersi.

— Nie tracę nadziei, że może kiedyś powróci. Paweł podszedł do wuja i uściskał go mocno.

— Pomódlmy się za to. Pospacerujmy. Tak tu ładnie dookoła...

Kiedy obaj duchowni zniknęli na ścieżce między cyprysami, Dominika odczekała chwilę, pobiegła na górę i pochyliła się nad laptopem.

Około czwartej skwar wcale nie zmalął, rzecz można — wydawał się większy niż w południe, bo rozgrzane mury Amphitheatrum Flavianum, jeszcze przypiekane przez słońce, już oddawały nadwyżki ciepła. W cieniu było odrobinę znośniej, ale i tak koszule kleiły się do ciał turystów, dając wyobrażenie, co czuć musieli gladiatorzy, walczący o życie na arenie Koloseum, nawet jeśli w czas letnich upałów naciągano nad ogromny cyrk płócienny dach. Dla postronnego obserwatora dwaj mężczyźni w letnich sportowych strojach, którzy spotkali się opodal gigantycznej budowli, mogli wyglądać na rozmówanych w antyku turystów, dyskutujących półgłosem w jakimś barbarzyńskim języku o starożytnych technikach walki.

Mimo zaawansowanego wieku pułkownik trzymał się krzepko, jak za swoich najlepszych lat. Był rozluźniony, zrelaksowany jak pretorianin, który dobrze wyspał się po służbie.

W przeciwieństwie do szefa Henryk wyglądał jak pretorianin trzymający wprawdzie fason, lecz niepewny wyniku rozgrywki. Prosta operacja za sprawą serii niewiarygodnych wręcz przypadków przemieniała się w łańcuch niepowodzeń, jakby sam diabeł, albo co gorsza anioł, mącił im szyki. Zbiegowie zniknęli jak kamień w wodę, nie pojawili się w okolicy Watykanu.

A i wezwanie przez szefa też nie zapowiadało niczego dobrego. Tymczasem pułkownik, który nadszedł od strony Forum Romanum, rzekł bez wstępów:

— Mam wreszcie lepsze wiadomości. Zlokalizowaliśmy obiekt, tym razem nie sfuszeruj sprawy.

— Gdzie oni są? — źrenice Henryka rozszerzyły się jak u drapieżcy.

— Pod Florencją. Jutro będą twoi. Chcesz jeszcze paru ludzi?

— Załatwię tę sprawę sam, do końca! To kwestia mojego honoru...

Od strony parkingu nadciągała hałaśliwa wycieczka Azjatów. Pułkownik pociągnął zabójcę w bok. Za nic nie chciał, aby razem znaleźli się w obiektywie jakiegoś Kitajca. Nawet przypadkiem.

Dopiero gdy się pożegnali, szef mógł zrzucić maskę dobrego samopoczucia. Denerwował się. Mimo pewności ostatecznego sukcesu. Za daleko zabrnęli. Na dobitkę, odezwał się Alosza. Alosza, o którym krążyły słuchy, że zginął przed paru laty w tajemniczej katastrofie lotniczej nad Syberią. Co gorsza, Rosjanin zachowywał się tak, jakby wiedział, że coś w ich interesach śmierdzi. Czy mógł wiedzieć o ucieczce „pamiętacza”? To prawda, nie zarzucił pułkownikowi niczego wprost. Pytał o zdrowie, o interesy... A potem wymienił ot tak, od niechcienia, kryptonim pewnej operacji, o której stary pracownik bezpieczeństwa nieomal już zdołał zapomnieć, i parę innych, tak głęboko zakonspirowanych, że nawet obszerne akta enerdowskiej Stasi nie mogły się poszczycić ich posiadaniem.

— Nikt nic nie wie — upewniał go polski oficer. — Paru ludzi być może zna niektóre szczegóły,

ale nikt nie złoży z nich całości, nie rozgryzie, nie zagrozi ujawnieniu roli twojego...

— Milcz! Nikt nie wie i niech tak zostanie. Gdyby jednak wypłynęła choć jedna z tych spraw, osobiście wyrwałbym ci serce i wysłał twojej wnuczce.

Pułkownik wiedział, że Alosza nigdy nie żartuje.

— Spokojnie, jutro będzie po kłopotcie.

\*

Gdyby Dominika była chłopcem albo przynajmniej urodziła się dobrych parę lat wcześniej, studiowanie zawartości dysku przyprawiałoby ją o dreszcze i wypieki na twarzy, gwarantując bezsenność na parę następnych nocy. A tak, choć była panienką inteligentną, kolumny cyfr i nic nie mówiących nazwisk serdecznie ją znudziły. Tym bardziej, że Omega nie przejawiał literackiego talentu formatu Grishama czy Forsytha. Wyliczał daty, fakty i osoby pedantycznie, ale bez epickiego polotu. Pliki poświęcone finansom byłej partii komunistycznej i jej tajnych służb, przepływowi kwot, złota, diamentów, papierów wartościowych, a także tajnym kontom, splitom, transferom i przepierce wymagały wiedzy biegłego księgowego. Operacji legalnych nie sposób było odróżnić od nielegalnych, a zrozumienie przez profankę fachowych terminów wymagałoby odpowiedniego słownika. Jedyne wnioski, jakie jej się nasunęły, były mało odkrywczym — u początku polskiej transformacji przekreślono masę pieniędzy.

Z kolei w pliku poświęconym jednemu z głośniejszych zabójstw politycznych próżno by szukać prostego stwierdzenia, kto, kogo i z jakich powodów. Tym bardziej, że zdarzyło się to w okresie, kiedy dawne struktury bezpieczeństwa załamały się lub przeszły do konspiracji. Toteż przebieg zbrodni mógł być jedynie rekonstrukcją. Obdarzony fotograficzną pamięcią Omega odtworzył zniszczone dokumenty, zapisy rozmów, zaszyfrowane meldunki, błędy w śledztwie i manipulacje. Jednak pełnej rekonstrukcji mógłby dokonać dopiero sąd. Wymieniane nazwiska przeplatały się z inicjałami, kryptonimami lub ksywkami. Szczególnie często pojawiała się tam imię, a może pseudonim „Alosza”, wskazujące na obcą inspirację zbrodni. Na podstawie tego materiału prokurator nie miałby wątpliwości, dlaczego zamordowano byłego premiera i jaki udział mieli w tym jego dawni przyjaciele. Dominika nawet nie wiedziała, że w Aninie doszło do jakiegoś mordu.

Rozczarowana i lekko znudzona dotychczasowym materiałem otworzyła plik z danymi osobowymi czołowych postaci „tajnej historii”. Szczególnie zainteresował ją tam zbiór „Wykonawcy” z licznymi odsyłaczami do zabójstw, pobić, prowokacji. Serce zabiło jej mocniej, gdy natrafiła na Henryka T., pseudonim „Egzekutor”. Wiele wskazywało na to, że miała w ręku CV siwego zabójcy, który ich ścigał. A kiedy przeczytała jego rysopis poczuła, jak zasycha jej w ustach. Doszła do wniosku, że informacje na jego temat mogą okazać się dla nich bezcenne, przestudiowała je więc starannie.

Henryk Tomal vel Tomielewicz alias Tomkowski urodził się w roku 1945 we Lwowie (ZSRR). W roku 1956 został repatriowany z matką i siostrami do Polski. Doskonały zawodnik w wieloboju, strzelaniu, sportach walki. Ochotniczo w LWP od siedemnastego roku życia.

Iloraz inteligencji — 157. Pierwsze bojowe doświadczenie zyskał w trakcie inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, działając w oddziale do zwalczania podziemnych radiostacji. Potem krótko był w Wietnamie i misja łącznikowa, a następnie zadania specjalne na Zachodzie, w składzie personelu jednej z większych ambasad.

Obciążało go kilka spektakularnych zabójstw — wszystkie bez wyjątku uznane oficjalnie za nieszczęśliwe wypadki. Był wśród nich zawał serca znanego opozycjonisty (krótko po wypiciu spreparowanej kawy) i odpadnięcie od ściany w Alpach emigracyjnego działacza, zadławienie własnymi wymiocinami artysty w podrzędnym hoteliku i przedawkowanie narkotyku przez kuriera podziemnych wydawnictw. W dwóch wypadkach ofiary przeżyły, ale pozostały kalekami. W roku 1980 Henryk znalazł się w grupie specjalnej, mającej rozprawić się z gdańskim MKS, a w latach 1981–83 przebywał na praktyce w Afganistanie...

Od opisów okrucieństw, których się dopuścił, dziewczynę rozboleła głowa. Czytała jednak dalej:

Po powrocie do kraju pod koniec lat 80. działał w zakonspirowanym komando „0”, specjalnej komórce do eliminacji opozycji. Miał na koncie likwidację trzech działaczy podziemia, studenta i dwóch księży. W roku 1989, nie czekając na weryfikację w resorcie, przeszedł na zasłużoną emeryturę. A dwa lata później założył prężną firmę ochroniarską.

Być może Omega przeczuwał, że Tomal będzie jego głównym przeciwnikiem, bo sporo miejsca poświęcił ulubionym technikom działania Egzekutora, a także jego wizerunkowi psychologicznemu. Henryka, pozbawionego motywacji ideologicznych, cechowała obsesja na punkcie własnego profesjonalizmu. Miał osobowość psychopatyczną i przy najmniejszym niepowodzeniu nie panował nad sobą. Nie przeszkadzało mu to w posiadaniu rodziny (żona stomatolog, syn licealista), terroryzowanej w granicach normy.

W działaniu był doskonały i niezniszczalny jak robot. Żelazna kondycja, ponadprzeciętnie rozwinięte zmysły dotyku, wzroku, węchu, słuchu... Dopiero na końcu biogramu udało się Dominice odnaleźć słaby punkt tego cyborga.

Kolację zjedli dość późno, a gdy utrudzony całym dniem Albert udał się na spoczynek w jedynym łożu, które wspaniałomyślnie odstąpiła mu dziewczyna (później Paweł miał legnąć n boku wuja, zwalniając miejsce na kanapce w salonie), Dominika zaproponowała spacer. Kiedy Paweł się opierał, użyła przekonującego argumentu:

— To przecież nasza zielona noc! Podaruj mi te pół godziny.

Sulewski ustąpił, choć na wszelki wypadek zabrał ze sobą broń. Poszli ścieżką ku wzgórzom, potem dalej na przelaj. Było ciepło, nawet komary nie wykazywały szczególnej aktywności. Bezchmurne niebo, pełne gwiazd, jakby większych i bardziej lśniących niż u nas, wydawało się nieomal na wyciągnięcie ręki.

Kiedy przechodzili przez jakiś murek, podał jej dłoń. Przeskoczyła jak kozica i już nie puściła jego ciepłych palców. Nie wyszarpywał ich, ale wyczuła, że jest skrępowany.

— Myślisz, że to się jutro skończy? — zapytała.

— Powinno. Kiedy płytka znajdzie się w odpowiednich rękach, nasza rola kurierów dobiegnie końca.

— A co będzie z nami?

— Wrócimy do dawnego życia. Ty do szkoły, ja do swej parafii.

— Sądziś, że to możliwe? Że dadzą nam spokój?

— Kiedy zawartość dysku przestanie być tajemnicą, to oni będą mieli kłopoty, nie my. Poza tym ochroni nas Kościół...

— A my, oboje? — powtórzyła.

— Co my?

— Zobaczymy się jeszcze?

— Zawsze będziesz miłym gościem w moim kościele.

— Nie rozumiesz, Pawle — zatrzymała się tak gwałtownie, że zderzył się z nią, i aby nie upadła, musiał ją przytrzymać. — Ja pytam o nas.

Znów poczuł jej ciepło i oddech przy uchu.

— Nie ma żadnych nas, Dominiko. Jesteś ty i jestem ja. Osobni ludzie, przypadkowo zaplątani w jedną sprawę.

— Egzaltowana smarkuła i bezgrzeszny sługa Boży?

— Żebyś wiedziała, jak grzeszny — westchnął.

— A zatem jeden grzech więcej, jeden mniej...? — jej śmiech zrobił się kusicielski.

— Powinniśmy chyba wracać — delikatnie odsunął ją od siebie. — Robi się tak ciemno, że możemy pobłądzić.

— A ty za nic nie chciałbyś pobłądzić, prawda?!

Nie odpowiedział. Zawrócił. Z ociąganiem poszła za nim.





# Poniedziałek

Następny dzień rozpoczął się leniwie, wręcz nudnie. Wreszcie można było odespać całe nagromadzone zmęczenie, stresi i lęki. W tunelu, którym uciekali, ukazało się światelko. Wedle zapewnień Alberta zaprzyjaźniony hierarcha miał nie konsultować z nikim swego przyjazdu, toteż ryzyko wpadki wyglądało na minimalne. Najpotężniejszy nawet przeciwnik nie potrafiłby kontrolować setek ludzi pracujących w Watykanie. A jeśli nawet ktoś śledziłby akurat tego, a nie innego *monsignore*, mnich zaplanował, że zamiast wyjść z pociągu na parking przed stacją, przejdą pieszo, ścieżką dla kolejarzy, na drugą stronę torów, gdzie będzie czekał jego fiat. Prawdopodobieństwo błyskawicznego złapania przez ścigających taksówki byłoby w tamtym miejscu równe zeru. Na wszelki wypadek Vittorio miał kupić bilet do samej Florencji.

— A jeżeli mimo tych wszystkich zabezpieczeń zauważę cokolwiek podejrzanego, po prostu go tu nie przywiozę — zakończył opis swego planu zakonnik.

Dominika spała aż do pierwszej, wuj i siostrzeniec zaś, stęsknieni za sobą, poruszali dziesiątki spraw, od tematów rodzinnych począwszy, na teologicznych kończąc. Robotnicy, którzy pojawili się o świcie, zostali przez klucznicę Alessandrę spławieni, co w połączeniu z obietnicą Alberta, iż otrzymają dodatkową stawkę za przestój, wprawiło ich w doskonały humor i potroiło obroty trattorii w miasteczku.

Tuż przed zaplanowaną na godzinę drugą mszą obaj duchowni wyspowiadali się sobie nawzajem. Sulewski nie taił niepokoju i grzesznych myśli, jakie wzbudzała w nim piękna nastolatka.

— Podoba ci się? — pytał Albert.

— Wytrzymam — odpowiedział twardo.

— To nie jest odpowiedź. Nie jest ci obojętna, prawda? Pożadasz jej?

Paweł tylko westchnął i stwierdził raz jeszcze:

— Wytrzymam. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu... Wówczas cena okazała się straszliwa.

— Myślisz o Marii Liwskiej? Obawiam się, że teraz dopiero grzeszysz, obwiniając się o jej śmierć — powiedział spowiednik. — Jak możesz przypuszczać, że Bóg, który jest miłością, ukarał was tak okrutnie za jedno przedmażeńskie zbliżenie? A że nie zdecydowałeś się na seminarium, tylko na wojsko? Miałeś prawo wyboru. Gdyby Pan Nasz kierował się mściwością i odwetem, balibyśmy się Go, zamiast Go kochać.

— Zgrzeszyliśmy — opuścił głowę jeszcze niżej. — Ja wielokroć ciężej niż ona.

— Bóg nie odtrąca ludzi, którzy wierzą i myślą o przyszłym małżeństwie.

— Dlaczego więc mi to zrobił? Czy potrafisz podać chociaż jeden powód?

— A dlaczego tyle lat pozwolił mi grzęznąć w nałogu? Nie wiem. Nie należy mierzyć Go naszą miarą... Zawierzmy Mu.

Koło drugiej Paweł odprawił zaimprovizowaną mszę, posługując się naczyniami, jakie znalazł w domu, zwykłym chlebem i winem. Dominika odmówiła uczestnictwa w nabożeństwie.

— To byłoby nieszczerze — powiedziała. — Nie chcę, abyście wyciągnęli fałszywe wnioski, że udało się wam nawrócić zbłąkaną owieczkę.

— Brzydzisz się kłamstwem? — zapytał Albert. — A właściwie dlaczego?

— To chyba jasne. Jest podłe, obrzydliwe, niskie...

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Jeżeli kłamstwo może przynieść korzyść, oszczędzić kłopotów, czemu się nim nie posłużyć?

— Ksiądz żartuje?

— Nie, kochanie! Staram się tylko być logiczny i konsekwentny. Chrześcijanin nie kłamie, bo w Dziesięciorgu Przykazaniach, powierzonych przez Boga Mojżeszowi, jest powiedziane: „Nie mów fałszywego świadectwa”. Jeśli przyjemny ateistyczny światopogląd i uznamy, że Pismo Święte to tylko baśń, legenda albo mit, a my jesteśmy jedynie obdarzoną świadomością nagą małpą, wówczas powinniśmy jako ludzie zdecydować się na prawa obowiązujące wśród zwierząt, na walkę o byt w imię zachowania gatunku. Dlaczego mamy nie zabijać, nie kraść, nie parzyć się przy każdej nadarzającej się okazji? Co nas powstrzymuje?

— Prawo i kultura.

— Prawo można zmienić. Przegłosować, że zło jest dobrem. A kultura rzecz zmienna: co jeszcze w pokoleniu naszych ojców uchodziło za nieobyčajne, dziś jest poczciwą konserwatywną normą. Pozbądźmy się poczucia grzechu, a prawo stanie się martwą literą, ograniczającą się jedynie do kwestii „złapią czy nie złapią”.

— To samo osiągnęliście przedtem, strasząc piekłem.

— Dość dawno temu. Dziś silniejszego motywu dostarcza wiara, że złymi uczynkami obrażamy Boga, lekceważymy Jego dobro, a krzywdząc innych, krzywdzimy Jego dzieci.

— Ładnie to brzmi — Dominika zmarszczyła brewki, myśląc intensywnie nad ripostą. — Ale z tego wypływa tylko jeden wniosek: ludzie stworzyli Boga na swój obraz i podobieństwo, chcąc, aby świat był lepszy.

— Marks wymyślił ten slogan sto pięćdziesiąt lat temu. Tylko po co miałby być lepszy? Po co mielibyśmy chronić słabych, okazywać miłosierdzie, wybaczać nieprzyjaciołom, rezygnować z egoizmu, jeśli jesteśmy jedynie ogniwem biologicznej ewolucji?

Dominika nie znalazła odpowiedzi. Ale na mszę i tak, konsekwentnie, nie poszła. Obserwowała ją jednak przez uchylone drzwi pustego spichrza. W przyszłości planowano wstawić tu stół do ping-ponga, bilard i barek z zimnymi drinkami.

Przed ołtarzem, który tworzyły stare drzwi ułożone na drewnianych koziółkach, zatopieni w modlitwie księży odtwarzali prastary rytuał wyznania wiary, przeistoczenia, komunii, przywołując na myśl zagubionych apostołów, ostatnich chrześcijan w zlaicyzowanej Europie. A kiedy doszło do *Ojcze nasz*, dziewczyna nagle zorientowała się, że podświadomie powtarza za nimi tekst modlitwy. Może sprawiło to prześwitujące przez gałęzie słońce, a może lekki wiaterek, który właśnie się zerwał, przynosząc zapach dojrzałych owoców z pobliskiego sadu, ale poczuła się tak dziwnie, tak dobrze, jak gdyby miała znowu osiem lat.

Bezpośrednio po mszy Sulewski pożyczył od klucznicy rower i raz jeszcze objechał najbliższą okolicę. W Regello nie znalazł zbyt wielu turystów, przeważały rodziny z dziećmi, prawie bez wyjątku Włosi. Nigdzie, wliczając w to okoliczne wzgórze z ponurą bryłą zamczyska z szarego tufu, nie zauważył niczego podejrzanego.

— Naprawdę może się nam udać... — mówił sam do siebie z narastającym zdziwieniem.

W tym czasie na stojącym w kącie podwórka grillu Dominika przygotowała szybki obiad — kielbaski z rozna.

Prawdziwą ucztę, z pieczeniem polędwicy, zaplanowali dopiero na wieczór.

Po posiłku Albert zaczął się zbierać. Wyczuwało się w nim lekkie podenerwowanie, wynikające z wagi chwili.

Trzy razy podchodził do swojego samochodu, spoglądając na zegarek, i cofał się... Żeby oczekiwanie tak się nie dłużyło, umył szyby, przetarł reflektory i wreszcie, na pół godziny przed spodziewanym przyjazdem pociągu, rzekł:

— Jeśli nie wrócę za godzinę, ukryjcie się. Jeśli wrócę, ale dam znak klaksonem, uciekajcie. Mówię to tak na wszelki wypadek. Ale jestem przekonany, że wszystko będzie w porządku.

Klepnął po przyjacielsku siostrzeńca i w chwilę potem po nim i po fiacie pozostał jedynie obłok kurzu i zapach spalin.

Paweł dorzucił nieco węgla do grilla, żeby podtrzymać ogień, i wrócił do domu przygotować się, jak mówił, psychicznie do rozmowy, Dominika zaś, dla zabicia czasu, wybrała się na spacer nad niewielki staw.

Woda, żaby i dzikie kaczki, które krążyły wśród wodnych lilii, działały uspokajająco. Czas jakiś czytała angielski kryminał, znaleziony w jednej z szafek, ale szybko zorientowała się, że koncentracja przychodzi jej z największym trudem.

Po raz pierwszy w ciągu tego szalonego tygodnia zdała sobie sprawę, że ich przygoda dobiega końca. Będzie pewnie musiała masę spraw wyjaśnić... A Paweł? Pewnie więcej go nie zobaczy.

Szkoda. Taki fantastyczny facet, chociaż ksiądz. Podobał jej się od samego początku. I drażnił. Tymi manierami świętego Franciszka, tą niedzisiejszą powściągliwością. Dlaczego jakiś mężczyzna, powieszony dwa tysiące lat temu na krzyżu, był dla niego ważniejszy niż ona? Niepojęte. Co gorsza czuła, że to, co zrazu było grą, kokieterijną prowokacją, przemienia się w coś poważniejszego. Że księżulek z dnia na dzień staje się dla niej ważniejszy, bliższy... A zarazem coraz bardziej niedostępny.

„Idiotyczna sytuacja! Jestem zakochana? Niemożliwe!”

Położyła książkę na ławeczce zacumowanej łódki, zeskoczyła z pomostu i przeszła kawałek w stronę młynówki, gdzie zauważyła skupisko przepięknych wodnych lilii. „Uwuję sobie wianek — pomyślała — może tak mu się spodoba...”

Zerwała jeden kwiat, potem drugi, po trzeci musiała wychylić się jeszcze bardziej. I chlup...

Zielona woda nie była w tym miejscu specjalnie głęboka, ale nieprzyjemnie mulista, a podmurówka młyna zbyt wysoka, żeby się na nią wdrapać. Powstrzymując klątwy, brnęła w stronę pomostu, gdy od strony drogi usłyszała warkot samochodu.

„Albert wraca!”

Chciała podbiec, ale uświadomiła sobie, że przemoczona i oblepiona mułem nie nadaje się do powitań watykańskiego hierarchy. Zwolniła.

\*

Przybyły z punktualnością godną czasów Mussoliniego pociąg Roma–Firenze, zatrzymał się w Figline zaledwie na minutę. Może na krócej. Jednak żadna z kilkunastu osób, jakie opuściły skład, nie przypominała biskupa. Nie zaniepokoiło to ojca Alberta. Brał pod uwagę taką ewentualność, choć oczywiście nie był zachwycony tą komplikacją. Umówił się z Vittoriem, że gdyby ten powziął choćby najmniejsze podejrzenie, miał udać się do Florencji i tam w pałacu arcybiskupim oczekiwać na ponowny kontakt.

Peron szybko opustoszał. Mnich westchnął, dla pewności obszedł go dwa razy, po czym skierował się ku ścieżce wiodącej przez tory. Odnalazł dziurę w płocie i narzekając na swoją tuszę, przecisnął się, a już po chwili był przy samochodzie. Otworzył drzwiczki i w tym momencie usłyszał za sobą kroki. Od strony torów zbliżał się postawny mężczyzna w biskupich amarantach. Albert zmrużył oczy krótkowidza. — Vittorio? — zapytał niepewnie. „Skąd on się tu wziął? Może wcale nie przyjechał pociągiem?”

Paweł usłyszał nadjeżdżający samochód jeszcze wcześniej niż Faltynowiczówna. Czekał na klakson, ale się nie doczekał. Wyrzwał ostrożnie, ale gdy zobaczył przez szybę biskupie amaranty, uspokojony zbiegł po schodach.

Biskup wysiadł już z wozu i szedł w jego kierunku, drzwiczki od strony kierowcy zasłaniały krzewy.

Fala gorąca zalała Sulewskiego, kiedy pod szatą duchownego rozpoznał siwego zabójcę. Sięgnął po broń.

— Nie radzę — spoza domu wyłoniła się szczupła, jasnowłosa agentka z wymierzonym w Pawła automatem. Uzbrojony był również kierowca, postawny osiłek. Ani śladu Alberta. — Rzuć to! — syknęła blondynka.

— Niech będzie pochwalony — powiedział przyjaźnie Henryk, ruszając w stronę Sulewskiego. W jego ręku metalicznie połyskiwał luger z tłumikiem. — Góra z górą się nie zejdzie...

Scenę zmaciła stara klucznica, która właśnie pojawiła się na podwórku z koszykiem pełnym wiktuałów. Najpierw spostrzegła „biskupa”, potem uzbrojoną parkę. Z jej gardła wydarł się wrzask tak głośny, że Pawłowi omal nie popękały bębenki.

Suchy szczęk tłumika przeciął krzyk staruszki. Padła martwa. Równocześnie uzi Lidki dotknęło pleców księdza.

— Nie strzelaj! — krzyknął Paweł i upuścił zdobycznego glocka.

— Tak już dużo lepiej — skomentował Henryk, a zwracając się do swych pomagierów, rzucił: — Znajdźcie dziewczynę. A my tu sobie z dobrodziejem poczekamy...

Jak tropiące ogary rozbiegli się po obejściu. Mężczyzna wpadł do domu, Lidka zniknęła między zabudowaniami.

— Jak to zabawnie splatają się nasze ścieżki... — kontynuował zabójca. — Miałeś dużo szczęścia. Powinieneś zginąć już wtedy, w kościele... Oszczędziłoby to nam wielu kłopotów.

Sulewski, usiłując opanować dygot, spojrzał mu prosto w oczy.

— Musisz zabijać, co? — zapytał.

— Tylko z konieczności. Nic osobistego. Mam nawet dla księdza sporo uznania. Z niejednym profesjonalistą uporałem się szybciej. Są jednak pewne reguły... i stawiane mi wymagania. Nie mówiąc o mojej opinii zawodowej, która w ostatnich dniach poniosła spory uszczerbek.

Barczysty pomagier wybiegł z domu.

— Nie ma ani jej, ani CD — meldował, zaglądając tymczasem do komórek wokół podwórka i do mikroskopijnej łazienki — ale zostawiła w sypialni swoje rzeczy, kosmetyki, bieliznę...

— Pomóż Lidzi jeszcze raz przeszukać teren. Szczeniara nie ma prawa się wymknąć. Zobaczcie w sypichrze, we wszystkich szopach...

— Tak jest!

— O czym to mówiliśmy — Egzekutor zwrócił się do Sulewskiego, z którego ani na chwilę nie spuszczał oka.

— O twoich zbrodniach.

— Wolę nazywać je egzekucjami. Jestem żołnierzem... Myślisz, że rąbnąłbym kogoś tylko dlatego, że pokazał mi język?

— Nie jestem pewien.

— I dobrze główkujesz. Gdyby było to do czegoś potrzebne...

— Na co więc czekasz? Zabij mnie.

— Chcę mieć was tutaj razem i upewnić się, że dostałem wszystkie dyski. Poza tym... możemy porozmawiać. Niczego nie jesteś ciekaw?

— Jak nas tu znalazłeś?

Zabójca zastanawiał się przez chwilę.

— Nie domyślasz się? Nigdy nie przyszło ci do głowy, jak cennym informatorem może być księżulo z niezbyt piękną przeszłością, którego grzeszki są naszą wspólną tajemnicą?

Paweł zwiesił głowę. „A więc nawet Albert zdradził...” Nie znaczyło to jednak, że porzucił wszelką myśl o obronie. Starał się trzymać blisko ciągle dymiącego rozna. Gdyby tak udało się chwycić misę z żarem i sypnąć nim napastnikowi w oczy...

Tymczasem Lidka i Leszek powrócili prawie równocześnie, na ich twarzach perlił się pot.

— Nigdzie jej nie ma — powiedziała funkcjonariuszka, a jej partner dorzucił:

— Brak też motoru, którym nam zwiali.

— Ciekawe...

Sulewski starał się ukryć zdumienie. „Nie wiedzą o kradzieży motoru we Florencji? Czyżby Albert

zapomniał podzielić się tą informacją? I gdzie znikł ten były opój?”

— Ciekawe — powtórzył Siwy. — Mam nadzieję, że ksiądz nam to wytłumaczy.

— Nic nie powiem — odparł Paweł, zastanawiając się, gdzie może być teraz Dominika.

— Widzę, że preferujemy wariant męczyński — zakpił Henryk. — Trudno. Co wybierasz jako pierwsze do przestrzelenia? Kolana czy jaja? A może mam nakarmić cię tymi węgielkami...?

Paweł udał przerażenie większe niż to, jakie go ogarniało. Gdyby tak udało się pozbyć tej dwójki zbirów...

— Pojechała do miasteczka na zakupy — wyrzucił z rezygnacją. — Zostawcie ją. Oddam wam ten CD-ROM, ona nie orientuje się nawet, co na nim jest...

— Najpierw znajdziemy tę pannicę. Leszku, weź wóz i rozejrzyj się po okolicy. A ty, Lidka, sprawdź świeże koleiny jednośladów na wszystkich okolicznych ścieżkach...

— Może lepiej zostanę z tobą. To niezły cwaniak — wskazała na księdza.

— Myślisz, że nie poradzę sobie z tym sługą Bożym? Dobra, na wszelki wypadek przywiążcie go do tej ławki. Nie chciałbym, żeby ta sikoreczka dała nogę.

— W szopie widziałem jakiś rower! — podrzucił idący w stronę fiata osiłek.

— O właśnie, Lidziu, weź go i objeżdź wszystkie okoliczne dróżki, a potem sprawdź krzyżówkę przy szosie. Tak na wszelki wypadek, gdyby ta mała rozminęła się z Leszkiem.

\*

Wrzask starej Włoszki, potem stłumiony wystrzał i okrzyk Pawła „Nie strzelaj!” sprawiły, że błoto i mętna woda całkiem przestały przeszkadzać Dominice. Starając się nie poruszać mułu bardziej, niż to konieczne, ukryła się pod pomostem. I czekała. Gdyby Lidka znalazła się wcześniej nad stawem, zauważyłaby z pewnością zmaconą wodę i domyśliła się kryjówki dziewczyny. Minęło jednak dziesięć minut, zanim jej sprężyste, obute w adidas-y stopy zadudniły na pomoście. Bezcennej pomocy dostarczyło również stadko kaczek, które chyba za sprawą świętego Franciszka podpłynęło akurat w rejon młyna. Przez moment agentka obdarzyła zainteresowaniem łódkę i leżącą w niej książkę, ale suchy sznur i równie sucha, służąca za wiosło deska wskazywały, że łajba dawno nie była używana. Lidka oddaliła się niechętnie.

Jeszcze kilka minut trwała prowadzona podniesionymi głosami rozmowa napastników, potem do Dominiki dotarł odgłos odjeżdżającego auta i potępińczy zgrzyt łańcucha dawno nieoliwionego roweru. Słyszała, jak bocykl krąży wokół gospodarstwa, powoli oddala się stronę głównej drogi i



cichnie w oddali. Pomysł zrodził się w jej głowie, kiedy umierając ze strachu, kulila się pod drewnianym pomostem. Miała niewiele szans, że się uda, ale postanowiła zaryzykować. Oczekała jeszcze dobrą chwilę, potem pod osłoną łódki popłynęła do brzegu. Wczołgała się w krzaki. Powolutku ściągała obrzydliwie przemoczone ciuchy... Poszukała wzrokiem łopaty, która jeszcze wczoraj stała oparta o ścianę młyna.

\*

Paweł czuł podświadomie, że Dominika jest gdzieś niedaleko, nie miał jednak pojęcia, gdzie się ukryła i co zamierza. Może szukała pomocy u sąsiadów albo próbowała zawiadomić policję? Po irytacji Egzekutora orientował się, że i dla niego upływający czas stanowi niebagatelny problem. Henryk palił papierosa za papierosem, starannie chowając pety do blaszanego pudełka.

— Oświeć mnie, jeśli łaska — zagaił ksiądz. — Jak ludzie stają się kimś takim, jak ty?

— Zawód dobry, jak każdy inny — usłyszał w odpowiedzi. — Wymaga określonych predyspozycji, profesjonalizmu...

— I żadnych wątpliwości?

— Gdybym był naturą wątpiącą, wybrałbym karierę filozofa.

— A sumienie?

— Nie znam takiego pojęcia.

— Rozumiem, że w Boga też nie wierzysz?

— Tu cię zaskoczę. Wierzę! — Tym razem zaciągnął się wyjątkowo głęboko. — Wierzę, ale na swój sposób. W prapoczątek, w jakąś energię, siłę sprawczą całego tego bajzlu. Tyle że nic z tego dla nas, śmiertelników, nie wynika. Życie wieczne, odkupienie... to już nie dla mnie. Jest tylko tu i teraz! Natomiast gdyby bliżej zająć się Sprawcą — wskazał tłącym się papierosem niebo — i sporządzić portret psychologiczny na podstawie jego czynów, to wyszłoby nam, że jest to wyjątkowo złośliwy, zgryźliwy staruszek, socjopata, o fatalnym poczuciu humoru, który igra z nami jak maniak gry komputerowej.

— Tylko tyle?

— Starczy. W życie pozagrobowe nie wierzę, a na tym padole płaczu zamierzam przebywać jeszcze ładny kawał czasu...

— Jak Bóg da! — wtrącił ksiądz.

Przez moment miał wrażenie, że zabójca zgasi mu papierosa na policzku. Ten jednak zaśmiał się tylko:

— Ja, nie twój Bóg, rozdaję tu karty.

Naraz umilkł i zerwał się na równe nogi. Również do uszu Sulewskiego dotarły jakieś nieokreślone dźwięki, najpierw trzaski, potem odgłosy szybkiego biegu i coś jeszcze, trudnego do zidentyfikowania...

Henryk sięgnął po broń. Zza domu wypadła Dominika. Półnaga, w brudnej, przyklejonej do ciała bieliźnie, biegła prosto w kierunku Henryka, ignorując broń w jego rękę.

— O, kurwa! — wrzasnął Tomal. Twarz wykrzywił mu grymas, jakby zobaczył diabła. Rzucił broń i śmiertelnie przerażony pobiegł w stronę domu. Hałas za plecami Dominiki przeszedł w dziwne zawodzenie tysiąca małych instrumentów. Wkrótce wyłoniła się wielka chmura wściekle brzęczących owadów.

„Pszczoły — przemknęło księdzu — dziewczyna rozwalila ule!”

Nadal jednak nie rozumiał, co się dzieje. Jego oprawca, nie odwracając głowy, biegł ku schodom prowadzącym na piętro. Najwyraźniej nie zauważył niepozornych drzwiczek do ubikacji. Dominika nie popełniła tego błędu. Wpadła do WC i zatrzasnęła za sobą drzwi. Puściła prysznic.

Część roju, zdezorientowana, zawisła przy drzwiach, większość jednak pognała za ruchomym celem. Tymczasem zabójca był już niedaleko drzwi i pewnie uszedłby żądłom, gdyby nie pośliznął się na ostatnim stopniu.

— Neeee! — ryk godny zranionego żubra wypełnił podwórze. Rój opadł na niego szarozłotym deszczem. Daremnie próbował znaleźć miejsce, gdzie mógłby się skryć.

Furia owadów nie ustępowała. Paweł z niepokojem myślał, że teraz przyjdzie kolej na niego. Tymczasem wietrzyk zmienił kierunek i dym z grilla otulił księdza tak, że żadna z pszczoł nawet na nim nie usiadła.

Cięty bez ustanku Henryk próbował jeszcze parę razy się podnieść, ale udało mu się jedynie dotrzeć do drzwi. Nie miał już sił, by je otworzyć. Próbował też, nie wiedząc czemu, ściągnąć ubranie. Charczał przy tym przeraźliwie, a ciałem jego zaczęły wstrząsać drgawki. Po pięciu minutach stracił przytomność.

Pszczoły tymczasem uspokoiły się i zaczęły odlatywać. Sulewski przewrócił się razem z ławką i łamiąc ją na kawałki, oswobodził się z więzów. Wspiął się po schodkach. Podniósł broń i odebrał dysk bezwładnemu zabójcy. Ten, pokłuty setkami żadeł, wyglądał straszliwie.

— Możesz wyjść — powiedział ksiądz, stukając w drzwi. Dominika wolno wyszła z toalety. Mimo zimnego prysznica jej twarz, ramiona i uda naznaczone były wieloma coraz bardziej puchnącymi śladami ukąszeń. Jednak zdawała się zupełnie tym nie przejmować.

— Omega miał rację! W swoim testamencie wskazał nam jedyny słaby punkt tego łotra — uczulenie na jad pszczeli. Już jedno użądlenie mogło zakończyć się wstrząsem anafilaktycznym. Po tylu ukłuciach jest już chyba martwy.

— Ale skąd ci przyszły do głowy pszczoły?

— *Księga dżungli* Kiplinga. Mowgli i jego sposób na rude psy dekańskie — odpowiedziała.

\*

Ledwie w spiżarni Alessandry Pawłowi udało się odnaleźć butlę z octem i kilka pastylek wapna, mogących wedle jego nikłej wiedzy medycznej złagodzić skutki rozlicznych użądleń, gdy zelektryzował ich zgrzytliwy dźwięk rowerowego łańcucha.

— Wracają! Daj pistolet tego drania! — poprosiła Dominika, a widząc wahanie w oczach Sulewskiego, dorzuciła: — W pięcioboju nowoczesnym byłam najlepsza w szermierce i strzelaniu z pistoletu... Ty masz swój — wskazała leżące na stole glocka.

Lidka nie miała pojęcia, co zdarzyło się na podwórzu. Wracała poruszona informacją, otrzymaną od właściciela domku przy skrzyżowaniu. Przysięgał, że w ciągu ostatnich dni w Casa Claretti nie pojawił się żaden motocykl. Podniecona tą wiadomością porzuciła wszelką czujność...

Dwa, a może trzy strzały oddane z zaskoczenia zwały ją z roweru. Ranna w prawe udo, z przestrzeloną ręką, zwijała się z bólu. Bezskutecznie próbowała sięgnąć po broń.

— Nawet o tym nie myśl — ostrzegł ją ksiądz, wychodząc zza kolumny. Był bardzo blady, jakby zaraz miał zwymiotować. — Nie ruszaj się — dodał.

— Co za różnica, i tak mnie zabijesz! — syknęła.

— Mylisz się. Ja nie dobijam rannych.

— To szlachetne, choć wysoce nieostrożne... — funkcjonariuszka próbowała ironizować. Odłożyła jednak broń, którą Paweł posłał kopniakiem w krzaki.

— Ona ma rację. — Z zarośli wynurzyła się Dominika, której wprawdzie prawe oko już ginęło w rosnącej opuchliźnie, lewe jednak, jak tego przed chwilą dowiodła, zachowało niesamowitą celność. Uniosła lugera. — Skróćmy jej cierpienia.

— Wykluczone. Przynieś prześcieradła i sznur, trzeba zrobić jej opaskę uciskową... Oberwała w tętnicę. Widzisz? Krew sika jak z fontanny.

— Może ja ją opatrzę?

— Lepiej nie. Panienska potrafi zabić nawet jedną ręką. Weź również mój pistolet i uważaj na nią. Nie podchodź za blisko. Celuj tak, abym nie znalazł się na linii strzału, i w razie czego... nie wahaj się...!

Atoli „piękna Lidka” nawet nie próbowała zrobić niczego głupiego. Jak ciężko ranne zwierzę, z przymkniętymi oczami, pozwoliła zatamować sobie krew. Przy okazji ksiądz obejrzał inne obrażenia. Druga kula, prawdopodobnie wystrzelona przez Dominikę, naruszyła ścięgna ręki i kość przedramienia, jakimś cudem otarła się tylko o żebra, złościąc bruzdę na jasnym ciele policjantki. Ale ta rana wyglądała na powierzchowną. W czasie zabiegów Lidia leżała bezwładnie, od czasu do czasu pojękiwała, lecz kiedy opatrywanie dobiegło końca, rzuciła ciche „Dziękuję”.

Leszek nadjechał kilka minut później i też niczego nie podejrzewał. Gdy wygramolił się z auta, natychmiast ujrzał dwie wycelowane w siebie lufy. Instynktownie sięgnął po broń, lecz Dominika była szybsza. Trafiła go w żołądek.

Unieszkodliwiwszy zbirów, postanowili jak najszybciej opuścić gospodarstwo. Nie uzyskali odpowiedzi na pytanie o los ojca Alberta. Leszek skowyczał, że umiera, i błagał o lekarza. Paweł cisnął Lidce skonfiskowaną Henrykowi komórkę, a gdy wezwała pogotowie, zabrał aparat i rzucił daleko do stawu. „Tak na wszelki wypadek”.

Musieli uciekać, byle dalej. Potwornie opuchnięta Dominika słaniała się na nogach.

Kiedy stary fiat opuścił Casa Claretti, Lidka, nie przejmując się skowytami kolegi, poczołgała się w kierunku schodków. Mimo bandaży przebytą drogę znaczyła krwawa smuga.

Henryk Tomal *vel* Tomielewicz *alias* Tomkowski leżał jak martwy. Twarz i szyję pokrywał jeden wielki obrzęk, powietrze z największym trudem przenikało przez krtań i tchawicę. Agentka podwinęła sutannę i zębami rozerwała nogawkę jego spodni. Obok noża i zapasowego telefonu znalazła w skórzanym futerale strzykawkę z antidotum. Hydrocortizon wzbogacony jakimiś szczególnymi dodatkami.

Prawdopodobnie było już za późno. Zastryk dożylny mógł poskutkować w ciągu pierwszych piętnastu minut. Teraz paraliż ogarnął całe ciało. Musiała jednak spróbować. Nożem rozcięła ubranie, obnażając pierś. Wybrała odpowiednie miejsce, wbiła strzykawkę prosto w serce i nacisnęła tłoczek.

— Musisz przeżyć, stary draniu! — mruknęła.

W tym momencie Henryk przestał oddychać.

— Nie, skurwielu, tego mi nie zrobisz! — krzyknęła. Spróbowała masażu serca i sztucznego oddychania. Jednak ściśnięta krtań nie dopuszczała powietrza do płuc. Pozostała jeszcze tylko tracheotomia! Szybko rozmontowała strzykawkę, nożem przebiła gardło szefa, wprowadziła do tchawicy poniżej krtani zaimprovizowaną rurkę i wdmuchnęła przez nią powietrze, potem, przenosząc cały ciężar ciała na zdrową rękę, napała na mostek i jeszcze raz, i jeszcze...





## Z poniedziałku na wtorek, z wtorku na środę

Opona strzeliła nieoczekiwanie, na szczęście dopiero po półgodzinnym rajdzie, gdy grzali na oślep bocznymi drogami.

— Jeszcze to! — Paweł zjechał na pobocze, gdzie wylot jakiejś innej bocznej, rzadko uczęszczanej drogi stwarzał naturalną zatokę. Według mapy znajdowali się gdzieś koło Monteverachii, miejsciny położonej sporo na południe od Florencji.

Sytuacja wyglądała marnie. Stan Dominiki pogarszał się z minuty na minutę. Wprawdzie, jak twierdziła, nie była uczulona na uządlenia, jednak przy takiej ilości ukłuc organizm nie potrafił poradzić sobie z toksynami. Odczuwała dreszcze i duszności, biła od niej wysoka gorączka, a puls miała tak przyśpieszony, że obawiał się o jej serce. Co pewien czas zapadała w krótkie drzemki, ale już po chwili zrywała się nagle, bredząc coś bez sensu o słupach ognia i ludziach spadających z nieba. Ocet i wapno niewiele pomogły.

A teraz koło. Prawdopodobnie i tak wkrótce stanąłby z innego powodu. Nie mógł wytrzymać coraz dotkliwszego smrodu, dolatującego z bagażnika. Obszedł wóz i podniósł klapę. Fetor, jaki buchnął ze środka, okazał się niczym w porównaniu z widokiem. W bagażniku skurczony i skrępowany leżał wuj Albert. Martwy. Spod knebla wylewały się wymiociny, a zawartość jelit przesiąkła przez ubranie.

Poza urazem głowy nie znalazł ani śladów postrzału, ani charakterystycznej „wisielczej bruzdy” na szyi. Nic nie wskazywało również, żeby poddany był jakimkolwiek torturom. Najprawdopodobniej wieziony po bezdrożach mnich po prostu się zadławił albo jego stare serce nie wytrzymało szoku.

Czy żył jeszcze, kiedy fiat powrócił do Villi Claretti? Czy gdyby Paweł od razu zajrzał do kufra, udałoby się uratować wuja? Dotknął jego twarzy. Była zimna. Zauważył też objawy *rigor mortis*. Więc chyba jednak umarł trochę wcześniej. Lecz nadal parę rzeczy wyglądało niejasno. „Skoro Albert nas zdradził, dlaczego zabójcy zabili swego informatora? Przestał im być potrzebny? Nie ufali mu? A może wcale nie zamierzali go zabijać, może w ostatniej chwili ogarnęły go wyrzuty sumienia i nie chciał współdziałać, więc woleli się zabezpieczyć, kneblując go, by nie ostrzegł?” Wersję, że nie zdradził, odrzucił jako nierealną. Ktoś musiał dać cynk Tomalowi, a przede wszystkim wskazać drogę do Villi Claretti.

Poruszając ciało, zauważył brak zapasowego koła. Zabójcy musieli się go pozbyć, bo inaczej wielki mnich nie zmieściłby się do bagażnika. „Jeszcze lepiej!”

Zatrzasnął klapę, ukląkł i modlił się przez chwilę. Dominika mamrotała coś półprzytomnie przez sen.

Modlitwa nie przyniosła ulgi. Zupełnie nie wiedział, co robić. Zdobyć skądś koło i jechać dalej z trupem? Dokąd? Do Rzymu? A jeśli, zanim dotrą do Vittoria, dziewczyna umrze? Na samą myśl przerażenie jak lodowy nóż sięgnęło do najdalszych zakątków jego trzewi. Nasuwała się oczywiście koncepcja najprostsza: porzucić wóz, wezwać pogotowie, które zabraloby Faltynowiczównę do

najbliższego szpitala, a samemu podążać dalej, choćby autostopem.

Odrzucił ten pomysł. Prędzej czy później mocodawcy pościgu dowiedzą się od pozostawionych przy życiu zbirów o przebiegu wydarzeń. Pierwszą rzeczą, jaką zrobią, to przeszukanie szpitali. Dopadną Dominikę. Fakt, że dysk wcześniej znajdzie się w bezpiecznym miejscu, nie ocali jej życia.

Czując suchość w ustach, sięgnął do kieszeni po gumę do żucia. Jego palce natrafiły na prostokątny kartonik. Wizytówkę Thomasa Chenga — entomologa, który ich podwoził. Oświeciła go jak błyskawica myśl: agencja Koreańczyka zajmowała się wprawdzie głównie szkodnikami, ale pszczoły, jakby nie było, również należą do owadów. Mógłby przynajmniej udzielić jakiejś rady, podać nazwy koniecznych leków. Uniósł kartę na wysokość oczu. Adresy: rzymski, amerykański... Był też telefon komórkowy. Prawdopodobnie ich spławi, co jednak szkodziło zaryzykować?

Przypomniał sobie o mijanej przed chwilą stacji benzynowej, zakręcił i nie przejmując się, że jedzie praktycznie na feldze, po paru minutach dotoczył się na miejsce. Zaparkowawszy wóz w cieniu jakichś przepelnionych śmietników, by nikt nie zwrócił uwagi na odór wydobywający się ze środka, wszedł do kabiny telefonicznej i wybrał numer. W pierwszej chwili Koreańczyk wydawał się zaskoczony, nie bardzo pamiętał o ich spotkaniu na szosie, dopiero przypomnienie bazyliki Santa Croce rozjaśniło mu w głowie.

— Ach, pamiętam, brat z siostrą? Jesteście już może w Rzymie?

— Nie, nie... Zdarzył się nam wypadek. — Próbując zachować spokój i pomijając szczegóły, opowiedział o licznych pszczelich uządleniach. Przekonany był, że zaraz usłyszy: „A co to mnie obchodzi?” czy „Proszę zgłosić się do najbliższego szpitala”. Toteż przeżył miłe zaskoczenie, kiedy zamiast uników padło fachowe pytanie:

— Ile może być tych uządleń?

— Kilkanaście, może ponad dwadzieścia. Dziewczyna jest półprzytomna, majaczy...

— Co z oddychaniem?

— Nie najgorzej, ale puls i te dreszcze...

— Gdzie się znajdujecie?

— W połowie drogi między Florencją a Arezzo. Konkretnie? Koło Montevarchi, na bocznej drodze... Dzwonię ze stacji benzynowej Agipa.

— Zostańcie tam — w głosie Koreańczyka zabrzmiał ton człowieka przyzwyczajonego do szybkich decyzji.

— Może nam pan poradzić, jakie środki powinienem nabyć...

— Zamiast radzić, spróbuję pomóc. Nasz ośrodek pod Tivoli dysponuje niewielkim oddziałem klinicznym, zajmującym się zwalczaniem zwierzęcych toksyn...



— Tivoli? Ale to przecież gdzieś za Rzymem.

— Nie tak daleko, jakby się wydawało. Moja firma dysponuje helikopterem. Mam nadzieję — sprawnym. Jeśli uda mi się złapać dyrektora... Proszę poczekać. Zaraz oddzwonię. Mam pana numer na wyświetlaczu...

Konsultacje zajęły mu niewiele ponad trzy minuty. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie czuło się zadowolenie.

— Wszystko załatwione. Przylecimy w ciągu godziny. Proszę tylko nie pozwolić jej zasnąć. A teraz niech pan, z łaski swojej, jeszcze raz dokładnie określi miejsce, gdzie się znajdujecie...

„Cud, prawdziwy cud!” — pomyślał Paweł, odkładając słuchawkę. — „Który to już w tej podróży?...”

Obawa, że Thomas Cheng może współdziałać z komunistycznymi zabójcami, zaświtała w jego głowie ledwie przez chwilę i zaraz zgasła. Gdyby Koreańczyk miał wobec nich jakieś złe zamiary, z pewnością parę dni temu nie opuściliby cali i zdrowi jego wozu.

Mimo to wolał się zabezpieczyć. Wyciągnął z samochodu Dominikę i posadził na oświetlonej ławeczce przy skraju ulicy. Dziewczyna bredziła, lała się przez ręce i mimo okrywającego ją koca dygotała. Naraz zapytała całkiem przytomnie:

— Nie opuścisz mnie, prawda? Nigdy mnie nie opuścisz?

— Nie opuszczę — odparł, tuląc ją do siebie, przekonany, że kłamstwo dla dobra sprawy bywa wybaczalne.

Znów wypowiedziała kilka zdań, których nie rozumiał, i aż nazbyt jasne pytanie:

— Czy ta twoja Maria była ładniejsza ode mnie?

— Inna. Po prostu inna.

Zasypiała. Potrząsnął nią silnie, prosząc, by mówiła.

— O czym mam mówić? O nas? O nas nie ma co mówić. Zakonnica przecież nie zostanę!

— Mów o czymkolwiek, o twoich chłopakach...

— Nie liczą się. Żaden nic dla mnie nie znaczył. Teraz, kiedy umieram, powiem ci...

— Bzdura, nie umrzesz... Przeżyłaś szok. Masz gorączkę... Przez te pszczoły...

— *Słowa jak sztuczny miód...* — zanuciła nieoczekiwanie stary przebój Agnieszki Osieckiej.

Uczepił się tego pomysłu. Piosenki! Ponad kwadrans śpiewali sobie nawzajem. Cichutko, z jak

najmniejszym wysiłkiem. Niczym doskonale zgrana para w teleturnieju „Śpiewające Fortepiany” licytowali się muzyczną pamięcią, przypominając sobie dawne utwory z młodości jej rodziców, przeboje Czerwonych Gitar, Perfektu, po nowsze: Elektrycznych Gitar, Brathanków czy Golców, w których repertuarze Dominika była zdecydowanie lepsza.

Od rozmowy z Chengiem minęło 55 minut. Jeśli Koreańczyk należał do ludzi słownych, już wkrótce powinien pojawić się helikopter. Paweł postanowił znaleźć sobie kryjówkę, z której mógłby kontrolować sytuację. Serce nakazywało mu nie rozstawać się z dziewczyną, rozsądek podpowiadał, by na wszelki wypadek móc samodzielnie kontynuować podróż.

— Zostawiasz mnie? — pisnęła.

— Tylko na krótko. Musisz polecieć sama.

— Rozumiem, sama... Mam swój dysk. Nikomu go nie dam. A ty masz?

— Mam.

— Ale potem już zawsze będziemy razem.

— Będziemy!

— Pocałuj mnie.

Nie potrafił odmówić, pocałował gorące, spierzchnięte usta, pogłaskał po głowie, po czym obszedł dookoła stację. Znalazł ciemną bramę, z której jak na dłoni widział ulicę, ławeczkę i Dominikę opatuloną kocem i znalezionym w wozie płaszczem, należącym zapewne do Lidki.

Śmigłowiec pojawił się z punktualnością rejsowego samolotu. Mimo zapadającego zmierzchu wylądował pewnie na opustoszałym o tej porze parkingu obok supermarketu. Z maszyny wyskoczyło dwóch mężczyzn z noszami. Dwaj inni, też w białych kitlach, zatrzymali ruch. Za nimi biegł wysoki Azjata. Szybko odnaleźli Dominikę. Zaskakiwała sprawność ich działania. Na moment serce podeszło Pawłowi do gardła, gdy pomyślał, że być może właśnie wpakował dziewczynę w zasadzkę. Oczekiwał dalszego ciągu: pojawienia się czarnych limuzyn, antyterrorystów i Bóg wie kogo. Jednak zamieniwszy parę zdań z Dominiką, Cheng wyraźnie nie próbował go szukać. Spieszył się, tym bardziej że zewsząd nadciągali gapie, zwabieni lądowaniem maszyny w tak nietypowym miejscu. Rozejrzał się może dwa razy, po czym wskoczył do helikoptera i zasunął za sobą drzwiczki.

Szcście nadal sprzyjało Sulewskiemu. W kwadrans po odlocie Chenga przy dystrybutorze zatrzymało się auto z dwiema zakonniami. Paweł zagadał do nich po łacinie. Siostrzyczki podróżowały do Asyżu i z przyjemnością zabrały ze sobą przystojnego księżulka, mimo iż był po cywilnemu.

Zmierzchało się. Potężne Mauzoleum Hadriana, zwane Zamkiem Świętego Anioła, za dnia przypominające kamienny tort, teraz przywodziło raczej na myśl mroczną chmurę, wiszącą ponad zakolem Tybru. Sulewski wyskoczył z samochodu młodych Niemców, którzy zabrali go spod Spoleto. Znajdował się u wylotu via delia Conciliazione. Na wprost w perspektywie jaśniały w blasku zachodzącego słońca mury bazyliki watykańskiej. Mógł naturalnie podjechać bliżej, Niemcy udawali się na sam plac Świętego Piotra, ale obawiał się agentów przeciwnika. Czuł zmęczenie po krótkim śnie w winnicy pod Asyżem i wielogodzinnej podróży autostopem. Był jednak tak blisko celu! Z telefonu opodal Zamku Świętego Anioła zadzwonił pod numer pozostawiony, na wszelki wypadek, przez wuja. Nie łudził się, że zastanie biskupa o tej porze, toteż był mile zdziwiony, kiedy już po chwili sekretarz powiedział: „Zaraz poproszę”.

Głos Vittoria zaskoczył go — nie miał w sobie nic z hieratycznego tonu, był przyjazny, bezpośredni, może jedynie nieco zbyt wysoki. Już w pierwszych zdaniach rozmówca przeszedł na polski i tylko wyjątkowo czułe ucho mogłoby wychwycić ślad obcego akcentu. *Monsignore* nie krył zaniepokojenia. Od dwóch dni nie otrzymał żadnych wiadomości od ojca Alberta... I był tym trochę zdezorientowany.

— Jak to? — zdumiał się Paweł. — Albert twierdził, że był z waszą eminencją umówiony na stacji Figline...

— Ja... w Figline? Alberto twierdził, że to wy przyjedziecie do mnie. Miał się odezwać, ustalić dokładny termin... Czekam i czekam.

Sulewski poczuł głęboki smutek. Jeśli do tej pory miał jakiegokolwiek wątpliwości co do zdrady wuja, teraz wyzbył się ich ostatecznie.

— Jestem w Rzymie. Z przesyłką. Czy możemy się spotkać? — Paweł nieomalże czuł, jak ukryte na piersi CD pali go żywym ogniem. — Mogę za parę minut stawić się w Watykanie.

— Nie, nie! — powstrzymał go biskup. — Nie możesz tu przyjść, bracie. Za dużo kamer, agentów. Ściga cię Interpol, a po wczorajszej zbrodni...

— Jakiej zbrodni?

— Dziś nad ranem w Toskanii przy jakiejś stacji benzynowej znaleziono samochód z ciałem mojego biednego przyjaciela. A w wozie, jak twierdzi policja, zebrano mnóstwo twoich odcisków palców...

— Ja go nie zabiłem, eminencjo!

— Chciałbym ci wierzyć. Alberto wspominał o pościgu, o jakimś dysku. Ma go ksiądz ze sobą?

— Mam.

— No to proponuję: spotkajmy się u mnie. Mam niewielki, zaciszny domek po północnej stronie

parku Villa Borghese, najłatwiej dojechać tam od alei Marszałka Piłsudskiego... Ja sam będę tam za jakąś godzinę. Proszę wziąć taksówkę, ale za bardzo się nie śpieszyć...

— Przyjdę pieszo.

— Może i słusznie, a na pewno zdrowo. Zajmie to pewnie ze dwie godziny. Ale skoro ksiądz sobie życzy, dobrze. Zatem za dwie godziny u mnie. I proszę uważać na siebie. Rzym to po zachodzie słońca niebezpieczne miejsce.

\*

Sulewski odwiedzał Wieczne Miasto już parokrotnie, nigdy jednak nie odbył równie długiej wędrówki o zmierzchu. Jednak wbrew obawom biskupa nikt nań nie napadł, nie obrabował, a jedyny menel, który go spotkał, i poprosił o papierosa, zadowolił się rekompensatą w postaci dwóch euro.

Idąc od Mauzoleum Hadriana, najpierw przeciął Piazza Cavour, potem poprzez Ponte Regina Margherita przekroczył Tyber i dotarł do Piazza del Popolo. Było już prawie ciemno, ale czasu pozostało jeszcze sporo, toteż wszedł do kościoła Santa Maria del Popolo i zmówił krótką modlitwę za duszę nieszczęsnego Alberta. Potem z automatu w pobliskiej pizzerii zadzwonił do pana Chenga.

Wiadomości od Koreańczyka napełniły go optymizmem.

— Nie ma żadnego zagrożenia życia. Wczoraj wyglądało to trochę groźnie, bo uządlenia skumulowały się ze zmęczeniem i napięciem psychicznym. Teraz pańska siostra śpi i wraca do sił. Parę razy przez sen dopytywała się o jakiegoś Pawła...

Sulewski uśmiechnął się, a Cheng dorzucił:

— Gdzie pan teraz jest?

— W Rzymie — odparł lakonicznie. — Mam jeszcze do załatwienia jedną sprawę, zabierze mi to najwyżej dwie, trzy godziny, a potem chętnie bym się zobaczył z Donna...

— Nie ma żadnego problemu. Jestem w mieście do późnego wieczora, potem jednak wracam do Tivoli. Mogę poczekać, aż pozałatwia pan swoje sprawy, i chętnie podwiozę. Tylko ustalmy, skąd będę mógł pana zabrać.

— Jeszcze zadzwonię!

„Czy ten facet nie jest za uprzejmy? — zastanawiał się Sulewski, odwieszając słuchawkę. — Bezinteresownie wyświadczył nam już tyle dobrodziejstw... A może zwyczajnie tak bardzo spodobała mu się Dominika?”

Poczuł w sercu cienką igiełkę zazdrości, ale usunął ją wysiłkiem woli. Sprawy sercowe panny Faltynowicz nie powinny go żadną miarą obchodzić. Przyśpieszył kroku. Posuwając się skrajem wypełnionej potokiem aut Via Flaminia, minął od zachodu kompleks ogrodów Borghese i po kwadransie dotarł do dzielnic mniej gwarnych, pełnych willi, pałacyków, zieleni.

Im bliżej wskazanego adresu, tym uliczki stawały się bardziej wyludnione i intensywniej zadrzewione, a jego ogarniał coraz większy niepokój. Wszystko układało się aż za wspaniale. Jeśli jednak biskup był śledzony, a jego telefon na podsłuchu? Skoro Albert zdradził, wiedzieli o nim wszystko. Wyeliminowanie trzech agentów nie oznaczało, że do akcji nie mogli wkroczyć inni... Każdym mijającym go samochodem mogli jechać zabójcy. Każdy przechodzień mógł się okazać fachowcem od mokrej roboty. Przyglądał się autom i parę razy odniósł wrażenie, że kilka z nich minęło go więcej niż jeden raz.

— Jestem przewrażliwiony! — szepnął do siebie. — Przecież zamiast śledzić, mogli mnie zgarnąć po prostu z ulicy.

Willa biskupa, czy raczej niewielki domek, przypominający nieco neogotycką „Żółtą Karcznię” w Wilanowie, położona była w ogrodzie i wyjąwszy dwa balkonowe okna na pierwszym piętrze, tonęła w mroku.

Paweł rozejrzał się po pustej ulicy. Wszystkie zaparkowane w pobliżu samochody miały rzymskie rejestracje, w żadnym z nich nie zauważył żarzącego się papierosa lub faceta śpiącego z głową na kierownicy.

Znalazł dzwonek, ukryty misternie wśród okuć staromodnej bramy. Zadzwoił. Najpierw z głębi ogrodu odezwało się szczekanie psów, sądząc po tonacji, krewnych potwora z Baskerville. Po paru minutach pojawił się barczysty łysek, którego postawa i krok nakazywały domyślać się emerytowanego wojaka, ani chybi odzwierny, sekretarz i ochroniarz w jednej osobie.

Majordomus odpowiedział mrukliwie na przyjazne *buona sera* i bez słowa zaprowadził Pawła do domu, gdzie mroczną sień rozświetlały jedynie staromodne kinkiety na obitych tapetą ścianach. Biskup oczekiwał go na wąskich schodach, rozszerzających się dopiero przy ostatnich trzech stopniach na parterze.

— Witaj, bracie — rzekł, ściskając mu mocno rękę. — Mariano, zamknij dokładnie drzwi, a Benedetto niech spuści psy.

Był niższy od Sulewskiego, lecz uderzająco przystojny i jak na sześćdziesięciolatka wyglądał nadzwyczaj młodo. Arystokratyczna wąska twarz, skronie oszronione siwizną, wąski nos potomka Medyceuszy i dłonie o smukłych palcach, których nie powstydziliby się finalista Konkursu Chopinowskiego. W nozdrza Pawła uderzyła woń korzennych perfum, zmieszana delikatnie z zapachem jakiegoś doskonałego tytoniu.

Sulewski poczuł się jeszcze raźniej, kiedy eminencja ujął go pod rękę i zaprowadził do niedużego, ale wysmakowanego gabinetu na pięterku, pełnego filigranowych osiemnastowiecznych mebli, z ogromnymi portretami Papieża i wizerunkiem Czarnej Madonny. Z każdym krokiem czuł większą

lekkość — nareszcie opuszczał go nagromadzony przez ostatnie dni niepokój. Stare mury emanowały bezpieczeństwem, jakie gwarantować mogą tylko wieki trwania w tradycji i niezmienności.

Na małym stoliku czekała kolacja — zimne mięsa, *frutti di mare*, sery i owoce oraz białe, schłodzone *chianti*. Zauważył tylko jeden kieliszek, widocznie gospodarz przestrzegał ścisłej abstynencji. Zanim jednak zasiedli do stołu, biskup udostępnił mu osobisty pokój kąpielowy, w którym biel marmuru na podłodze kontrastowała z pompejańską czerwienią terakoty ścian. Hierarcha zadbał o wszystko, przygotowana była nawet czysta sutanna i koloratka.

„Po raz pierwszy od dziesięciu dni będę wyglądał jak duchowny” — pomyślał Sulewski, stając pod bijącym z energią fontanny na Piazza Navona natryskiem. Chętnie skorzystałby z wielkiej wanny z hydromasażem, ale czas naglił.

Eminencja oczekiwał go, paląc cygaro przy uchylonym oknie balkonowym, za którym rozciągał się wewnętrzny ogród, dużo rozleglejszy niż ten przed domem i tak gęsty, że światła odległych latarni z najwyższym trudem przebijały się przez listowie. Na widok powracającego gościa odłożył cygaro, zamknął okno i zaciągnął kotarę.

— A teraz opowiadaj, synu — powiedział. — Nie musisz się śpieszyć, mamy mnóstwo czasu.

Opowieść zajęła księdzu około pół godziny. Jak na świętej spowiedzi nie taił niczego. Mówił więc o starym człowieku, który zaszedł do jego konfesjonału, o zdradzie Liwskiego, incydencie na cmentarzu, odbiorze CD-ROM-u...

— Ale masz go ze sobą? — po raz pierwszy przerwał mu Vittorio.

— Oczywiście — Sulewski wyciągnął złocisty krążek i położył delikatnie na blacie biurka. *Monsignore* westchnął:

— A więc przez ten drobiazg tyle zamieszania, krwi i przemocy... Zaraz umieszczę go w moim sejfie. Tam będzie bezpieczny. A tak, między nami, wiesz, co zawiera?

— Nie. To znaczy rzuciłem tylko okiem na spis plików.

— A nie korciło cię, aby poznać ich zawartość...?

— Powiem szczerze: korciło. Jednak uznałem, że jako laik nie powinienem na własną rękę rozpracowywać tych tajemnic, nie chciałem tracić zaufania do ludzi. Wolałem pozostawić to fachowcom.

— Bardzo to piękne i szlachetne. Jakbym słyszał naczelnego waszej „Gazety Wyborczej”. Ale mów, synu, co działo się dalej?

Paweł kontynuował opowieść, sam się dziwiąc, jak wiele mogło się zdarzyć w tak krótkim czasie.

— Jesteś niezwykle odważny — skomentował w którymś momencie biskup. — I wszechstronnie uzdolniony. Trzy razy wygrać pojedynki z przeważającymi siłami zawodowców!

— Raczej miałem dużo szczęścia, a może... — zawahał się.

— Proszę mówić.

— Zdarzały się takie momenty, kiedy czułem, jakby uratowała mnie ingerencja czegoś potężniejszego niż zwykły przypadek.

— Cud?

— Nie chciałbym tego tak nazywać...

Zamyślony *monsignore*, nic nie odpowiedziawszy, gładził się po podbródku.

— Zresztą — kontynuował Paweł — w wielu momentach życie zawdzięczam odwadze Dominiki.

— A właśnie, ta młoda dziewczyna... zdziwiłem się, że nie przybyła z tobą.

— Po incydencie z pszczołami jest pod obserwacją lekarzy.

— Mógłbym załatwić jej najlepszy szpital, choćby klinikę Gemelli.

— Jest pod wyjątkową opieką — tu Sulewski opowiedział o poznanym we Florencji Koreańczyku i udzielonej przezeń pomocy.

— Są jeszcze ludzie dobrej woli — skomentował biskup — ale czy jesteś pewien, że ten Cheng to na pewno naukowiec?

— Mam jego telefony, a także adres firmy w Tivoli — Paweł wygrzebał zmiętą wizytówkę i podał ją eminencji. Ten ujął ją skwapliwie, przeczytał i wyraźnie zadowolony uśmiechnął się:

— Więc mówisz, że drugą płytę ma ta dziewczyna. Nie boisz się, że trafi w niepowołane ręce?

— Nie sędzę, aby jej treść, zapisana po polsku, zainteresowała inżynierów. Zresztą dziś jeszcze się zobaczymy — Paweł urwał widząc, jak przyjacielska dotąd twarz Vittoria nieoczekiwanie zmienia swój wyraz.

— To chyba już wszystko — powiedział biskup i poruszył srebrnym dzwoneczkiem.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wkroczył łysy majordomus. W niczym nie przypominał uniżonego odźwiernego sprzed pół godziny. Z całej jego postawy wyzierała pewność siebie i siła.

— Jest pański, pułkowniku — powiedział hierarcha — chyba można również zakończyć nagrywanie. Powiedział wszystko, co chciał pan wiedzieć.

— Paweł, Paweł! — Dominika poderwała się z krzykiem, tak raptownie, że omal nie spadła z łóżka.

— Proszę się uspokoić, to tylko zły sen — czuwająca obok niej pielęgniarka powstrzymała dziewczynę przed zerwaniem się z pościeli.

— Gdzie ja jestem? — zapytała coraz przytomniej pacjentka.

— W gościnnych pokojach naszej agencji.

— To nie szpital? — chwilę wodziła wzrokiem po pomalowanych na biało ścianach, wiszącej kropłówce i szafce z medykamentami.

— Pan Cheng uznał, że tak będzie lepiej. Ze względu na pani bezpieczeństwo.

— Pan Cheng... — pamięć wracała jej coraz szybciej. — Ja... ja muszę się natychmiast z nim porozumieć.

— Obawiam się, że w tej chwili będzie to niemożliwe. Szef wyjechał do Rzymu, a komórkę ma wyłączoną. Sądzę jednak, że wkrótce sam zadzwoni.

— Wkrótce będzie za późno. Trzeba ostrzec księdza Sulewskiego. Grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Widziałam...

— Co pani widziała? — pielęgniarka poprawiła koc i prześcieradło. — Majaczenia są w pani stanie rzeczą zupełnie normalną.

Dominika zmieszana się. Sen, choć przerażający, był tylko snem. Co innego olśnienie, którego doznała tuż przed przebudzeniem. Wtedy w Regello, przerzucając bez większego zainteresowania pliki dotyczące agencji wewnątrz Kościoła katolickiego, zetknęła się ze wzmianką o kimś, kto nosił kryptonim „Titvorio”, ulokowanym bardzo wysoko w hierarchii Watykanu — wieloletnim agencie SB, i jak sugerował „Omega”, prawdopodobnie również Stasi. Wówczas nie zwróciła na to uwagi. We śnie z niewiadomego powodu ogarnęła ją pewność, że owym Titvoriem jest Vittorio — rzekomy przyjaciel ojca Alberta.

\*

Pułkownik był uzbrojony w niewielki poręczny pistolecik, pasujący bardziej do jakiejś zabójczej blondynki niż czynnego funkcjonariusza tajnych służb. Nie potrafił ukryć podniecenia. Brakowało mu najwyraźniej owego chłodu profesjonalnego zabójcy. Nic dziwnego. Od dawna wszystkie trudne sprawy załatwiał z za biurka i niechętnie zniżał się do poziomu wykonawcy. Teraz widocznie musiał



wziąć sprawy w swoje ręce.

Widok wycelowanej w Pawła broni wyraźnie zmieszał biskupa. Chyba nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy.

— Mówił pan, że chodzi tylko o dysk i nagranie, pułkowniku — wymamrotał, wyciągając pomiędzy wielkich tomów *Encyklopedii katolickiej* płaski dyktafon.

— Również o nagranie. Ale, niestety, pewne sprawy trzeba załatwiać do końca. Rozumiem, że drżysz o swoje dywany, mebelki, bibelociki... Krew i mózg ciężko schodzą z antyków — tu mrugnął do Sulewskiego i opuścił broń. — Oczywiście żartowałem. Nic się księdzu nie stanie. Tym bardziej, że nie podkusiło księdza zapoznać się z zawartością dysku.

— Jestem wolny? — zdziwił się Paweł.

— Naturalnie. Wszystko, co zdarzyło się do tej pory, wywołane było nadgorliwością moich byłych, zaznaczam: byłych, współpracowników. Oczywiście będę prosił o zachowanie koniecznej w takich momentach dyskrecji.

— Chyba nie mam wyboru — powiedział Paweł, nie wierząc w ani jedno z zapewnień łysego pułkownika. — A panna Faltynowicz?

— Nie mordujemy dzieci. Wróci do domu. Rzecz jasna dopiero za jakiś czas, kiedy pewne sprawy ucichną, pismaki zaniechają węszenia, a naszym włoskim przyjaciołom uda się przemówić do rozsądku miejscowej policji, żeby zamknęła śledztwo.

— A do tego czasu?

— Pozostanie pan w gościnie u naszego przemilego biskupa. Oczywiście z zachowaniem niezbędnych ostrożności. Eminencja lubi takich muskularnych blondasków...

— Panie pułkowniku! — zachnął się *monsignore*.

— Bez urazy, Vittorio! Przy całej doskonałości Kościoła seks to najśłabsza strona waszej perfekcyjnej organizacji. Można zachwycać się dziełami genialnych pedryłów, jak Leonardo, Michał Anioł czy Botticelli, na ścianach i sklepieniach kościołów, ale wobec własnych, współczesnych zбочków zero tolerancji. Zwłaszcza jeśli się sprawa rozniesie.

— Proszę nie słuchać — zawołał biskup. — To są oszczerstwa!

— Żyjemy w wolnym świecie. Tu nawet oszczerstwa należą do podstawowych swobód obywatelskich — zaśmiał się pułkownik. — Zresztą można powiedzieć, że eminencja jest postacią poniekąd heroiczną. Usiłował walczyć ze swoją orientacją. Klin klinem. Stąd problemy alkoholowe, odwyk... Ale dzięki swym możliwym przyjaciołom... — słowo „przyjaciołom” wypowiedział ze szczególnym naciskiem — nie przeszkodziło mu to w karierze. *A propos*, kiedy to zostaliście naszym TW: w siedemdziesiątym trzecim czy siedemdziesiątym czwartym...? Po tej aferce z ministrantem czy troszkę później?

Biskup milczał. Splótnął tylko swe arystokratyczne palce tak mocno, że pobieleły kostki.

— Mógłbym spytać o jedno? — odezwał się Paweł.

— Ależ proszę, proszę.

— Czy Albert zdradził?

— To takie ważne? Pan Bóg i tak wszystko wie.

— Jednak i ja chciałbym wiedzieć.

— Człowiek, którego wysłano, miał podać się za mojego współpracownika — odezwał się nagle Vittorio — pokazać upoważnienia. Jednak Albert był nadal nieufny. Dopiero jak połączyli się ze mną przez komórkę i ja autoryzowałem...

— No, ale co było, a nie jest... — przerwał mu pułkownik. — Napijmy się! Za tych, co już nie piją. Może mi pan nalać? — zwrócił do Sulewskiego. Gdy ten odwrócił się po butelkę, pułkownik rąbnął go rękojęścią pistoletu w podstawę czaszki.

Uderzenie nie było dość precyzyjne, dawny esbek najwidoczniej wyszedł z wprawy. Cios, który miał powalić, jedynie oszołomił Pawła. Osunął się jednak na ziemię, udając głębokie omdlenie.

— Och nie, nie! — zawołał biskup. — Nie tak miało być.

— Obiecałem, że wystrój tego wnętrza nie ulegnie dewastacji, i słowa dotrzymam — zdania wypowiedane przez oficera dobiegały Pawła coraz wyraźniej. — Potrzebuję jednak pomocy ekscelencji. Nasz przyjaciel to kawał byka.

— Co, co pan chce zrobić?

Przez półprzymknięte powieki widział, jak buty jego prześladowcy kierują się ku oknu. Usłyszał szelest rozsuwanej kotary, skrzyp otwieranego balkonu, powiew nocnego wiatru...

— Weźcie go łaskawie za nóżki, ekscelencjo.

— Wielkie nieba — w głosie hierarchy zabrzmiało autentyczne przerażenie. — Pan chce go wyrzucić przez okno, w moim domu? Ja na to nigdy nie pozwolę.

— Do roboty, cioto! Albo skoczysz razem z nim! — warknął pułkownik.

„Głupiec! To tylko pierwsze piętro, na dole jest trawnik. Przeżyję.” — pomyślał Sulewski. Esbek rozwiązał jego nadzieje.

— I jeszcze jedno. Niech czcigodny przywoła psy!

— Co? Nie myślisz chyba...

— Podobno pedały nie umieją gwizdać. Proszę mnie przekonać, że to tylko niepoprawny politycznie przesąd...

Rozległ się gwizd i gromada rottweilerów zakłębiła się pod balkonem. Zimny dreszcz przeszył Sulewskiego. Pułkownik przygotował zbrodnię doskonałą.

W sam raz na czołówki szmatławców: „Ksiądz morderca wskutek własnej nieostrożności ginie w paszczach piesków swojego rodaka!”

Nie zamierzał sprzedać tanio skóry. Kiedy esbek przerzucił go przez barierkę, uchwycił się jednego z liści akantu, zdobiącego gięte tralki, i zawisł trzy metry ponad pyskami oszalałych rottweilerów.

— O, kurwa! — wrzasnął pułkownik, usiłując kopniakiem zmiażdżyć rękę młodego księdza. Paweł jednak przewidział jego ruch i wcześniej chwycił się balkonowego wspornika tak, aby pozostać poza zasięgiem buciorów wroga. — Mój pistolet! — ryknął oficer do biskupa, jakby ów był jego ordynansem, *Monsignore* wybiegł z balkonu.

„To już koniec” — przemknęło Sulewskiemu. — „Porcja ołowiu albo psie szczęki. Decyzja należy do ciebie!”

Do głowy przyszło mu jeszcze jedno rozwiązanie. Poniżej znajdowało się szerokie okno jadalni na parterze. Gdyby tak się rozbujać... Niestety, za szybą zauważył wewnętrzną kratę... Odpada. Tymczasem pułkownik maksymalnie wychylił się przez balustradę. Szczęknął repetowany zamek. Huknął strzał. Jeden, potem drugi.

„Nadspodziewanie cichy” — pomyślał Sulewski. — „Jak trzask łamanej gałęzi. Tylko dlaczego mnie nie boli? Czyżby chybił?”

Tymczasem coś wielkiego osunęło się ponad nim i niczym kłęb szmat upadło na trawnik. Rottweilery skoczyły ochoczo. Ich charkot parę razy przebiły przeraźliwe wrzaski pułkownika. A potem zapadła cisza wypełniona jedynie odgłosami darcia materiału, szarpania i trzasku kości w mocarnych szczękach.

Sulewski podciągnął się na rękach i wgramolił na balkon. W głowie mu huczało, nogi miał miękkie. Kto zastrzelił pułkownika? Vittorio czy jakiś snajper z zewnątrz? W każdej chwili spodziewał się ataku biskupa, ten jednak siedział na kozetce i płakał.

— Zmusili mnie, zmusili! — wykrzyknął na widok księdza Pawła.

Jakaś furia ogarnęła łagodnego zazwyczaj kapłana. Jednym ciosem strącił biskupa z szezlonga, tłukąc przy okazji bezcenną chińską wazę, a potem systematycznie zaczął okładać hierarchę ciosami i kopniakami. Za ojca Alberta, za starą Alessandrę, za całą głębię zdrady. Przez moment był znów małym ulicznikiem z Mińska Mazowieckiego, biorącym brutalny odwet na swym prześladowcy.

Vittorio nawet nie próbował się bronić. Zasłaniał jedynie twarz, powtarzając cicho: „Jezu, Jezu!”.

— Wystarczy. Zabije go pan. Albo tak oszpeci, że żaden kleryk go nie pozna — usłyszał za sobą.

Odwrócił się. Drzwi balkonowe wypełniała postać Thomasa Chenga.

— Co pan tu robi? — wykrztusił zdumiony ksiądz. — I kim pan naprawdę jest?

— Porucznik Cheng. CIA — padła rzeczowa odpowiedź, poparta okazaniem legitymacji. — Mego kolegę, snajpera, pozna pan już wkrótce.

Naraz wszystko stało się jasne. Tysiąc pytań cisnęło się Sulewskiemu na usta. Jednak Cheng bardzo się spieszył. Zgarnął dyktafon, a widząc, jak gorączkowo Paweł chowa swój CD-ROM, uśmiechnął się tylko.

W międzyczasie *monsignore* podniósł się na klęczki. Pluł krwią i dyszał ciężko.

— Co zamierza pan z nim zrobić? — zapytał Sulewski.

— Ja? Nic — uśmiechnął się Thomas Cheng. — Przynajmniej na razie.

— Jak to? Po tym wszystkim, co zrobił?

— Pracujemy w dwóch różnych instytucjach, *father*. Wasze interesy dotyczą bardziej tamtego świata, my, z konieczności, zajmujemy się tym. Za jakiś czas ktoś zjawi się u eminencji i złoży mu propozycję nie do odrzucenia. Propozycję popartą nagraniem — klepnął się po kieszeni, do której schował magnetofon — i wideo. Wszystko, co działo się na balkonie, zarejestrowała nasza kamera. Zdrada, praca dla komunistów, współudział w zbrodniach, pomoc przy próbie zabójstwa... Czy sądzi pan, że *monsignore* chciałby trafić do więzienia dla pospolitych kryminalistów? Tam naprawdę pokochaliby go inaczej. Przeżyłby może tydzień.

Vittorio jęknął boleściwie.

— Rozumiem: zamierzacie go przewerbować? — domyślił się Sulewski.

— Są ładniejsze określenia. A teraz, jeśli można prosić — zwrócił się do biskupa, który z wolna gramolił się na nogi — niech eminencja raczy zawołać swego cerbera, aby zamknął psy. Powinien być zadowolony, nie będzie musiał ich karmić chyba z tydzień.

Benedetto wykonał polecenie. Sulewski, Cheng i snajper, ukryty dotąd w gęstym listowiu, opuścili przytulną rezydencję, zanim przybyła wezwana przez sąsiadów policja.



# Środa

Minęła północ. Ford mondeo bez trudu wydostał się z labiryntu krętych uliczek, docierając do okółorzymskiej obwodnicy. Prowadził Tekszańczyk Toni, szczupły zombos, skrzyżowanie Murzyna z Indianinem. Być może wchodziła w grę jeszcze bardziej skomplikowana kombinacja genów. Paweł dopiero teraz przyjrzał się prowadzącemu auto snajperowi, który celnym strzałem „zdmuchnął” pułkownika, ratując mu życie. Zresztą, jak się wkrótce okazało, nie było ono specjalnie zagrożone, gdyż Cheng cały czas siedział na dachu i kontrolował sytuację w mieszkaniu eminencji.

— Rozumiem, że interesowaliście się nami już wcześniej? — zapytał Thomasa. — Spotkanie we Florencji to nie był czysty przypadek?

— Ma się rozumieć. Tajemnicze zabójstwo księdza w Polsce czy potyczka w Austrii może uszłyby naszej uwadze, ale późniejsza prawdziwa bitwa w Dolomitach już nie. Do tego plotki w pewnych kręgach, że chodzi o jakiś CD-ROM z Polski, i nagły, trudno wytłumaczalny w czasach pokoju ruch wśród postsowieckich struktur wywiadowczych dały nam do myślenia. A już plotki o przybyciu do Włoch niejakiego Aloszy, zwanego w kołach tajnych służb „Szakalem bis”, wręcz postawiły nas w stan najwyższej gotowości.

— Chyba się z nim nie zetknęliśmy.

— I wasze szczęście, prawdopodobnie byście już nie żyli. To zabójca najwyższej klasy. Wykorzystywany ostatnio bardzo rzadko. Działa poza oficjalnymi strukturami i podobno nie popełnia błędów. Dlatego wieść o jego reaktywacji bardzo nas zelektryzowała. Zbieżność mogła być przypadkowa. Ale ja nie wierzę w przypadki. Budzenie „śpiochów” i wejście do akcji kogoś takiego, jak Alosza... Cóż mogło być takiego na waszym dysku, że zaniepokoiło najwyższych mocodawców Aloszy? Komu mogły zagrozić materiały z Polski?

— Zaraz, zaraz! — przerwał Paweł śledzący cały czas drogę. — Minęliśmy skręt do Tivoli.

— I słusznie! Nie jedziemy do Tivoli.

— Jak to, a gdzie?

— W Tivoli jest jedynie punkt badawczy prawdziwych entomologów i centralka przekierowująca rozmowy do mnie. Jedziemy do jednej z naszych siedzib.

— Gdzie?

— Tajne łamane przez poufne. Dowie się ksiądz we właściwym czasie. A wracając do naszej rozmowy, jak myślicie, kiedy was ostatecznie namierzyliśmy?

— W Sienie?

Porucznik roześmiał się.

— Grubo przed Weroną. W Sienie zacząłem się do was zbliżać. A we Florencji stało się to wręcz dziecinnie proste, zwłaszcza kiedy moi ludzie podwędzili wasz motocykl.

— To wyście go ukradli?

— Dla dobra sprawy.

— Tylko w jaki sposób udało się wam nas odnaleźć...? Myślałem, że urwaliśmy się pościgowi...

— No cóż, dysponujemy lepszymi środkami niż gangsterzy. Jak myślicie, dlaczego przez cały czas policja włoska nie zatrzymała was ani razu? Przecież musieli wiedzieć o ukradzionym motorze, znali wasze rysopisy? Otóż dyskretnie im zasugerowaliśmy, aby tylko was obserwowali, a całą resztę pozostawili nam...

— Dlaczego w takim razie nie udaremniliście jatki pod Regello?

— Podwójny pech — wyznał bez entuzjazmu Cheng. — Nic nie wiedzieliśmy o tym domu. Agent jadący za wami miał kraksę, a ten mnich zmylił nas, zamieniając się z innym zakonikiem na samochody. Przez trzy dni dostawaliśmy kota, nie mogąc was namierzyć!

— Mogliście przynajmniej oszczędzić mi tych przeżyć w domu biskupa.

— Nie bardzo, zwłaszcza że nie chodziło już o sam dysk — tym dysponujemy już od pewnego czasu — ale o doprowadzenie nas do rzeczywistych mocodawców tej afery.

— Macie dysk? — Sulewski znieruchomiał, jakby pocałował go bazyliszek.

— Proszę wybaczyć, ale kiedy zaopiekowaliśmy się panną Dominiką, pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było przekopanie płytki, ukrytej w jej majteczkach.

— To nie fair!

— Mógłbym panu o tym nie mówić, ale upublicznienie zawartych na nim informacji leży chyba w interesie nas wszystkich. Teraz jego zasobami zajmują się tłumacze i specjaliści w Langley.

— Czyli moja wizyta u biskupa była zupełnie niepotrzebna?!

— Z pańskiego punktu widzenia może niekonieczna — zgodził się Cheng. — Dla całej sprawy miała jednak kapitalne znaczenie.

— To teraz, mam nadzieję, nasza przygoda dobiega końca?

— Zapewne.

— Rozumiem też, że powiecie mi, jaki użytek zrobicie z przekazanych materiałów, no i... zadbacie

o nasze bezpieczeństwo?

Thomas zastanawiał się dłużej chwilę.

— Za mała myszka ze mnie, żebym mógł coś obiecać czy gwarantować w tej kwestii — rzekł z pewnym ociąganiem. — Decyzje są w rękach moich szefów. Mogę co najwyżej domniemywać, że kiedy tylko pańska partnerka poczuje się lepiej, zostaniecie zaproszeni za Wielką Wodę. I tam dowiedziecie się reszty.

Skęcili tymczasem z obwodnicy na Via Appia Nuova, kierując się na południowy wschód, w stronę Gór Albańskich. Jednak celem ich podróży nie okazało się ani stare lotnisko w Ciampino, ani położone nad wulkanicznym jeziorem Castel Gandolfo, letnia siedziba papieży. Zaraz za Albano skręcili w gęsty las. Przydrożna tabliczka zapowiadała Nemi i wkrótce przed ich oczyma ukazał się widok na połyskujące w blasku księżyca jezioro. Nieliczne światła dwóch wiosek zdawały się jedynie garścią świetlików na tle czarnej ściany lasu.

— Zabić króla, by zostać królem! — mruknął w pewnym momencie Cheng.

— O czym pan mówi? — zainteresował się Paweł.

— O związanym z tym miejscem pradawnym rzymskim obyczajem. Ongiś znajdował się tu święty gaj, poświęcony Leśnej Dianie. W jego centrum stało prastare drzewo, wokół którego dzień i noc krążył mężczyzna z obnażonym mieczem w dłoni. Kapłan-król i zabójca...

— Nigdy o tym nie słyszałem — powiedział ksiądz.

— Odsyłam do *The Golden Bough* Frazera — powiedział agent i Sulewski przypomniał sobie, że widział kiedyś w antykwariacie *Złotą gałąź*, ale jej nie kupił. — Ciekawa historyjka. Jeśli wierzyć autorowi, nigdzie na świecie nie słyszano o podobnym rytuale. Inna sprawa, że bogini Diana, patronka łowów i dziewic, lecz także, co za przewrotność — macierzyństwa, wszędzie jest przedstawiana jako bogini wyjątkowo okrutna.

— Ale co z owym rytuałem? — dopytywał się Paweł, zaskoczony niezwykłą, jak na entomologa i agenta CIA w jednej osobie, znajomością antyku.

— Jak wspomniałem, w centrum sanktuarium rosło święte drzewo. Jego gałąź mógł ułamać jedynie zbiegły od swego pana niewolnik. Ten czyn umożliwiał mu stoczenie walki z królem — kapłanem, a po zwycięstwie i zabójstwie poprzednika prawo do tytułu Króla Lasu.

— Aż do następnego zbiega-pretendenta?

— Tak było. I można powiedzieć, że przynajmniej reguły gry były czytelne. A nawet, w pewnym sensie demokratyczne. — W głosie Chenga zabrzmiała ironia. — Cóż, każdy władca jest poniekąd takim Królem Lasu, tyle że zamiast miecza na kandydatów do złamania gałęzi ma wojsko, policję i tajne służby. No i nie zabija się pokonanych. Przynajmniej w Ameryce, bo u was, w Starym Świecie, różnie bywa...



W tym momencie Toni przyhamował tak ostro, że gdyby nie pasy, pewnie znaleźliby się na przednim siedzeniu. Skręcili w nieoznakowaną, asfaltową dróżkę, którą przeoczyłoby dziewięciu na dziesięciu kierowców. Dróżka pięła się stromo na sam szczyt wzgórza, aż przegrodziła ją bramka z napisem „zona privada”. Toni uniósł ją za pomocą pilota. Jeszcze chwila jazdy pomiędzy żywopłotami, którymi, jak się później okazało, obsadzony był betonowy, zbrojony mur, zdolny przetrzymać uderzenie czołgu, i znaleźli się w osłoniętej zewsząd kotlinie. Na tle nieba widać było liczne anteny satelitarne, a pośrodku białął niski jednopiętrowy pawilon, wokół którego rosły oleandry, a z dachów spływały barwne klematysy, budząc w księdzu nieprzyjemne skojarzenie z rezydencją Liwskich. Kierowca brawurowo zaparkował obok rosochatego drzewa przypominającego kościstą staruchę z rozczapierzonymi paluchami sięgającymi ziemi.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Thomas. — I zalecałbym nie łamać bez powodu gałęzi.

Dominika spała w narożnym pokoiku na pierwszym piętrze. Pielęgniarka wpuściła ich do niej niechętnie. Sulewski z radością zauważył, że gorączka zniknęła, a opuchlizna stała się prawie niewidoczna.

— Niedługo będzie mogła opuścić łóżko — powiedział Thomas. — Ma młody, silny organizm i rychło po całym incydencie nie pozostanie nawet ślad.

Sulewskiego zakwaterowano dwa pokoje dalej, w niedużym pomieszczeniu, przypominającym koszarowy pokój oficerski. Błyskawicznie zapadł w sen.

Śniło mu się, że nagi, jedynie w złotym diademie na głowie, przemierza ostępy świętego gaju, towarzyszą mu psy, strojne w wieńce, a gdzieś za sobą słyszy kroki kandydata na zabójcę. Boi się odwrócić, niepewny, kogo może ujrzeć. Henryka Tomala czy może Thomasa Chenga? Nagle opona z liści rozsuwa się, a on staje na ciemnej plaży świętego jeziora. Trwa noc, księżyc świeci jasno i nawet najmniejszy powiew wiatru nie marszczy mrocznej, zda się pochłaniającej światło tafli jeziora. I naraz pojawia się bruzda, która przecina toń, i z pian wynurza się ona. Naga i piękna jak rzeźby Praksytelesa. Krom łuku i kołczanu nie posiada nic więcej. Sutki sterczą napięte niczym cięciwy, a na trójkacie łona krople wody lśnią jak diamenciki Oriona. Psy, skowycząc, przypadają do jej nóg, lecz zaraz poważnieją, ogony się im prostują, uszy czujnie łapią najlżejszy szmer. Diana ma ciało i twarz Dominiki. Nie zachowała jednak nawet odrobiny jej łagodności. Paweł wie, że prześladowca jest tuż za nim, nieomal czuje jego oddech...

— Bierzcie go! — rozkazuje swej sforcie Diana, a ksiądz nie ma pojęcia, którego z nich ma na myśli...

\*

Nazajutrz Dominika obudziła się pierwsza. Wypoczynek i leki zrobiły swoje. Wstała z łóżka. Przez moment jeszcze chwiała się na nogach, ale sama myśl o normalnym śniadaniu sprawiła, że poczuła

się lepiej. Na stoliczku obok łóżka stał dzbanek z sokiem ze świeżych pomarańczy. Wychyliła go duszkiem.

Szybko pozbyła się kroplówki. Wyrwała igłę z żyły i podeszła do okna. Las. Cisza. Spokój. Nie zatrzymywana przez nikogo wydostała się na korytarz. Wiedzona intuicją odnalazła pokój Pawła i weszła bez pukania. Jej ksiądz spał mocno, półnagi, duży i silny. Obudził się, gdy dobiegała do łóżka. Mógł tylko chwycić ją w ramiona. Był tak oszołomiony, że nie cofnął ust, a przeciwnie, zwarł się z nimi w soczystym, głębokim pocałunku, przygarnął dziewczynę do siebie...

Chrząknięcie. Odskoczyła od niego, widząc w drzwiach Thomasa Chenga.

— Więc tak u katolików wygląda poranna modlitwa? U nas, baptystów, nie do pomyslenia...

Śniadanie zjedli w niewielkiej jadalni, przyozdobionej jedynie amerykańską flagą i splewiałym widoczkiem waszyngtońskiego Kapitolu. Opiekunka Dominiki protestowała, twierdząc, że dziewczyna powinna pozostać w łóżku przynajmniej jeszcze dzień, ale ostatecznie ustąpiła.

Tymczasem Cheng poinformował ich, że porozumiał się z centralą w Langley. Na najbliższy piątek przewidziany był ich przerzut do Ameryki. Do tego czasu zarówno stan nastolatki powinien być zadowalający, jak i znane będą pierwsze wyniki wstępnej analizy zdobytego materiału.

— A nie możemy wrócić od razu do Polski? — zapytała Faltynowiczówna.

— Chwilowo nie byłoby to wskazane. Struktury, które was ścigały, poniosły wprawdzie straty, ale nadal są silne. Obawiam się, że niejednego łajdaka mogłaby korcić wizja zemsty.

— Nie mogłabym przynajmniej zadzwonić, uspokoić rodziców?

— Zrobisz to z Ameryki — powiedział Thomas. — Obecnie mogę zaproponować jedynie elektroniczny list, który jeszcze dziś dotrze do twych bliskich.

— A co z naszymi prześladowcami? — spytał, zmieniając temat, Sulewski. — Wiecie już cokolwiek o ich losie? Ktoś przeżył?

— Zniknęli z Regello jak kamień w wodę — odparł Koreańczyk. — Nie mamy nawet tropu.

— Jak to możliwe? — zawołał Paweł. — Przecież na moich oczach wezwali pogotowie, musiał zostać jakiś ślad.

— Sęk w tym, że żadne pogotowie nie zostało wezwane. Zaalarmowana przez sąsiadów policja znalazła jedynie zwłoki pani Alessandry Vaggio. Poza tym sporo krwi i rozbite ule, ale po napastnikach ani śladu. Ktoś mniej więcej o tej porze widział w okolicy jakąś sanitarkę, jednak nie zapamiętano jej numerów. Szukano całej trójki dość dokładnie, jednak nie ma ich ani w szpitalach, ani w kostnicach. Sprawdzamy teraz małe prywatne kliniki, na razie bez skutku.

— A czy mogą nas tu dosięgnąć? — spytała zaniepokojona Dominika.

— To równie mało prawdopodobne jak nalot bombowy na Pentagon — wyszczerzył zdrowe, białe zęby Thomas. — Zresztą zawodowców nie interesuje zemsta. Wiedzą, że przegrali. Już dla służb zainteresowanych państw zorganizowaliśmy przeciek, że zawartość dysku jest w centrali CIA w Langley. To powinno zakończyć sprawę. A przynajmniej przybliżyć jej zakończenie.

Resztę śniadania spożyli w milczeniu. Jeden raz tylko Sulewski zapytał, czy korzystając z bliskości Castel Gandolfo, nie mógłby uzyskać audiencji u Ojca Świętego i zdeponować u niego drugiego dysku.

— Na tym etapie nie byłoby to stosowane — rzekł Cheng, którego „firma” najwyraźniej nie lubiła dzielić się tajemnicami. — Poza tym ostatnio Jego Świątobliwość nie czuje się najlepiej. Oczywiście po zakończeniu analiz... jeśli tylko pan zechce przesłać do Watykanu swój egzemplarz, nie możemy zabronić.

Posiłek wyczerpał Dominikę. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, że jedzenie może pochłaniać tyle energii.

Ksiądz i pielęgniarka zaprowadzili ją do sypialni, gdzie zaraz usnęła.

Resztę przedpołudnia Sulewski spędził wraz z Chengiem w małym gabinecie w suterenie. Paweł podejrzewał, że gdzieś w pobliżu jest właściwy „pokój operacyjny”, niedostępny dla osób postronnych, a tym bardziej zagranicznych księży. Czas upłynął im przy wielkim monitorze ultraszybkiego komputera na przeglądaniu zdjęć i identyfikacji agentów. Henryk Tomal *vel* Tomielewicz *alias* Tomkowski został bez trudu rozpoznany jako posiadacz jeszcze paru innych paszportów — i tak w misji łącznikowej w Wietnamie był panem Aleksiejem Romanowem, a w Stanach pojawiał się jako Iwan Iwanowicz Taranienko. Od dłuższego czasu CIA, jak się okazało, miała doskonałą orientację w kadrach polskiej policji, i bez trudu ustalono, że Lidka to w istocie Ludwika Liliana Mańkowska, urodzona w 1972 roku, panna, absolwentka prawa, szkoły policyjnej w Szczytnie, a także półrocznego przeszkolenia w siłach specjalnych, Leszek zaś nosi nazwisko Raczek, jest od niej o rok starszy i ma za sobą również staż w jednostce specjalnej „Grom”, skąd wydalono go za nielegalne manipulacje walutowe. Od trzech lat pracował w agencji ochroniarskiej Henryka Tomkowskiego. W sumie oboje nie byli kompletnymi nowicjuszami w swym fachu, ale nie zdążyli wykazać się w służbie PRL-u, nie znaleziono też dowodu na udział w jakichś innych akcjach likwidacyjnych.

Najtrudniej było zdobyć informacje na temat Omegi. Jego nazwiska nie udało się ustalić, choć Pawłowi wydało się, że rozpoznaje go na jednej z fotografii dostarczonych na Zachód przez pułkownika Kuklińskiego. Omega, młodszy o parę lat, widoczny był w uchylonych drzwiach bunkra, w którym obradował Jaruzelski ze sztabem sowieckim. Drugie zdjęcie zrobiono za pomocą teleobiektywu w jakimś partyjnym ośrodku na Mazurach chyba pod koniec lat sześćdziesiątych. Mieczysławowi Moczarowi, ponurej postaci reżimu komunistycznego, wiosłującemu z energią w niewielkiej łódce, towarzyszył szczupły młody mężczyzna, ostrzyżony na zapałkę. Rzecz nie do wiary, ale to generał, kandydat na nacjonalistycznego przywódcę w stylu Ceausescu, wiosłował i słuchał, a mężczyzna mówił...

— Macie fotografię tego Aloszy? — zapytał w którymś momencie Paweł.

— Parę mamy — Cheng stuknął parokrotnie w klawiaturę komputera. — Jest z nim problem, bo to mistrz kamuflażu. Z tego, co wiem, przeszedł co najmniej trzy operacje plastyczne. Toteż jak dziś wygląda, jeden Bóg raczy wiedzieć. O, tak na przykład wyglądał, kiedy kończył sportową szkołę w Karl-Marx-Stadt.

Na ekranie pojawiła się twarz wyrosniętego chłopaka w kostiumie sportowym, którego azjatyckie kości policzkowe i skośne oczy przy niezwykle jasnych włosach tworzyły zaskakującą mieszankę etniczną.

— To Niemiec czy Rosjanin?

— Bękart! Ojciec nieznany. U was mówiło się kiedyś o takich „ofiara przemarszu Armii Czerwonej”. Alex Mayer jest płodem nieco późniejszym, urodził się w pięćdziesiątym czwartym, niewykluczone, że spłodził go któryś z azjatyckich czekistów Berii, tłumiących rok wcześniej berlińską rewoltę. Od piątego roku życia sierota. Matka, bufetowa w kantine Armii Ludowej NRD, popełniła samobójstwo. Wychowanek domów dziecka, z których wyrzucano go za agresywność i częste bójkę. W wojsku gołymi rękami zabił przełożonego.

— I uszło mu to płazem?

— W normalnych warunkach dostałby czapę, ale niewykluczone, że już wcześniej zwerbowała go Stasi. Toteż podobnie jak wasz Omega po prostu wyparował z ewidencji. Tworzono właśnie głęboko zakonspirowaną grupę do zadań specjalnych i ktoś taki mógł się okazać wyjątkowo przydatny. W enerdowskiej ekipie „socjalistycznych rangersów” Alosza poczuł się jak ryba w wodzie, wkrótce zdobył status samodzielnego specjalisty od zadań poufnych. Oznaczało to, mówiąc otwartym tekstem, najemnego mordercę. Był w tym fachu niezwykle sprawny, w dodatku okazał się prawdziwym, szczerym internacjonalistą. Są poszlaki na temat jego akcji w Wietnamie, Angoli, Etiopii, Afganistanie. — Na monitorze pojawiło się kilka niewyraźnych zdjęć. — W Niemczech jest podejrzewany o kilka politycznych likwidacji. Ostatnim przedsięwzięciem miała być wielka prowokacja w Dreźnie jesienią osiemdziesiątego dziewiątego. Nie znamy jeszcze szczegółów i liczymy bardzo na „raport Omegi”: w grę wchodził jakiś zamach, sprowokowanie starć ulicznych, w każdym razie coś, co mogłoby zapobiec obaleniu muru berlińskiego.

— Nie wyszło?

— Może komuś na górze zabrakło determinacji? W każdym razie gdy upadł komunizm, sytuacja Aloszy zrobiła się nie do pozazdroszczenia. Deptano mu po piętach: my, wywiad zachodnioniemiecki, a Stasi wyparła się jakichkolwiek z nim związków. Podobnie KGB. Na cud zakrawa, że wywinął się wymiarowi sprawiedliwości zjednoczonych Niemiec.

— Jak tego dokonał?

— Nie powinienem o tym mówić, bo to jedynie domysły. Krążyła plotka, że pomógł mu młody, ambitny rezydent KGB w Dreźnie... Więcej nie powiem. W każdym razie od tej chwili aż do zeszłego tygodnia nikt o nim nie słyszał. Może pracował gdzieś jako analityk? Może szkolił młody narybek zreformowanych czekistów? Rosja jest wielka i w większości pokryta szpilkowymi lasami,

a człowiek jak szpilka...

— Myśli więc pan, że nagranie Omegi może rozświetlić niejasności na ten temat?

— Nie wiem. Nie znam polskiego. Pan zapoznał się choćby częściowo z zawartością dysku, ja nie.

\*

Po obiedzie Toni zawiózł Sulewskiego do miasteczka Velletri, gdzie na komisariacie dwóch smutnych panów, z których jeden przedstawił się jako prokurator, a drugi jako szef oddziału w departamencie bezpieczeństwa włoskiego MSW, przesłuchiwało go aż do nocy. Odpowiadał zgodnie z pouczeniami Chenga, krótko i zwięźle. Zresztą Włosi wyraźnie szli mu na rękę. Taktowni i sympatyczni — na tyle, na ile mogą być sympatyczni funkcjonariusze państwowego aparatu ścigania — ani razu nie zapytali go o CD-ROM, interesując się wyłącznie przebiegiem zdarzeń: porwaniem w Dolomitach i bandyckimi porachunkami, których był świadkiem, potyczką pod Regello, wreszcie incydentem w willi monsignore Vittoria. Starciem na terenie Austrii w ogóle nie zwracali sobie głowy.

Czytając protokół z przesłuchania, Paweł był bardziej zadziwiony niż Alicja w Krainie Czarów. Treść przedstawionego mu dokumentu, świadcząca o dużym literackim talencie tworzących go funkcjonariuszy, w skrócie wyglądała następująco:

Wyjeżdżając do Włoch z zamiarem odwiedzenia wuja, przebywającego w klasztorze pod Florencją, skorzystał z zaproszenia swojej znajomej, Dominiki Faltynowicz, udającej się do Włoch samochodem, celem odwiedzenia koleżanki, która wyszła za Włocha i mieszkała na stałe w Neapolu. (Skąd to wzięli — nie wiadomo.) W trakcie podróży zostali uprowadzeni przez bandę włosko-austriackich przemytników i uwięzieni w ich melinie pod Vigo da Cadore. W trakcie walk porywaczy z konkurencyjnym kartelem narkotykowym zbiegli motorem należącym do przemytników, zabierając przypadkiem ukryty pod siedzeniem bezcenny notes z kontaktami i liniami przerzutowymi. (Pomysł godny Ludluma!)

Notes ów stał się powodem kolejnego starcia z bandą, która wytropiła ich pod Regello, w Casa Claretti, gdzie usiłował ukryć ich ojciec Alberto (sprytnie!). Dzięki atakowi pszczoł udało się im uciec, niestety, serce mnicha nie wytrzymało napięcia i chory od dłuższego czasu Alberto zmarł na zawał (ani słowa o więzach, kneblu i bagażniku). Zdarzenie opodal vialle marsciallo Pilsudski opisano jako nieszczęśliwy wypadek. Polski dyplomata, który przybył z pomocą młodym Polakom w bezpiecznym powrocie do kraju, przypadkowo wypadł z balkonu, ponosząc śmierć na miejscu (i znów ani słowa o psach, ołowiu, którym go wcześniej nafaszerowano, nie mówiąc już o roli biskupa)

...

— Wszystko się zgadza? — zapytał prokurator.

— Z grubsza — powiedział ksiądz. I podpisał.

Resztę wieczora spędził z Dominiką i porucznikiem Chengiem. Dziewczyna czuła się coraz lepiej, toteż obiecano jej, że już jutro będzie mogła wybrać się na spacer. Z ogromnym zainteresowaniem wysłuchała opowieści Pawła i stwierdziła, że koniecznie powinien napisać książkę.

— Nikt by w to chyba nie uwierzył — odparł z uśmiechem.

— Myślisz, że fikcja już się nie sprzedaje?

— Lepiej będzie, jak ty to napiszesz. Młode autorki debiutantki mogą liczyć na życzliwsze potraktowanie przez krytykę.

Od porannego pocałunku oboje czuli się nieco skrępowani. Toteż siedzieli rozdzieleni stolikiem, nie próbując wykonać żadnych zbyt poufanych gestów. Zresztą Thomas nie opuszczał ich ani na krok. Paweł zauważył zmianę w zachowaniu swej podopiecznej. Przestała go prowokować. Skończyły się wyzywające spojrzenia, minki, przypadkowe otarcia... Traumatyczne przeżycia zmieniły ją. A może...? Zastanawiał się nad wrażeniem, jakie mógł zrobić na dziewczynie porucznik CIA, wysoki, inteligentny, egzotyczny...

To od niego pochodził bukiet kwiatów, stojący w kącie pokoju, jak i lubiane przez Dominikę żelki. Podobno kiedy Paweł składał zeznania, przegadali ze sobą całe popołudnie. Thomas, który od kolacji również praktycznie ich nie odstępował, był niesłychanie dowcipny, znał mnóstwo anegdot z życia wyższych sfer i, tak jak młoda Polka, należał do zagorzałych kinomanów.

— Do diabła, przecież nie mogę być zazdrosny! — powtarzał sobie Paweł, patrząc, jak oboje, nie zwracając większej uwagi na księdza, wrócili do ulubionej tematyki i przerzucali się tytułami oglądanych filmów i biografiami aktorów. (Sulewski nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w kinie.) Dominika co rusz wybuchała śmiechem, kiedy Cheng obnażał absurdy filmów akcji i cytował co zabawniejsze wpadki twórców, wynikające z plagi poprawności politycznej.

Po jakiejś godzinie, nie mogąc praktycznie wtrącić się do rozmowy, opuścił ich i wyszedł. Chyba nawet tego nie zauważyli. Stanąwszy pod rozgwieżdżonym niebem, zadarł głowę do góry i wpatrując się w odległe konstelacje, próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, co się z nim dzieje. Powinien się cieszyć, skończyły się prowokacje. Kusicielka zrezygnowała z zastawiania sideł. Jego powrót do dawnego uporządkowanego życia stawał się coraz bardziej prawdopodobny. A jednak...

— Panie, czego chcesz ode mnie? — bezgłośnie poruszył wargami. — Panie, co się ze mną dzieje? Nie potrafię uspokoić myśli i nie wiem, co mam czynić! Próbuję, ale jestem tylko człowiekiem. Z krwi, ciała i tych przeklętych hormonów! Nie mogę przestać o niej myśleć. Nie potrafię być ani z nią, ani bez niej. Wiem, że nie powinienem, jednak jestem zazdrosny, jestem wściekły, jestem zrozpaczony! To boli!

Gdzieś w odległym gwiazdozbiornie Łabędzia zadrżała jedna gwiazda i zniknęła. Być może na krańcach galaktyki skończył się właśnie jakiś świat albo dobremu Panu Bogu spłynęła łza.







# Czwartek

Suchość w gardle i bliżej niezdefiniowany niepokój obudziły Lidkę z ciężkiego, przytłaczającego snu. Nie zapalając światła, zsunęła się z łóżka i namacała oparte o ścianę kule. Środki przeciwbólowe sprawiły, że była całkowicie otumaniona. Odczuwała pragnienie. Butelki obok łóżka opróżniła parę godzin temu. Zastanawiała się, czy nie wezwać pielęgniarki, ale uznała, że szybciej będzie, jeśli sama przejdzie do lodówki we wnęce opodal schodów.

Biegący przez całą długość piętra korytarz oświetlała słabo ponura błękitnawa poświata, sprawiająca, że nawet całkiem zdrowy człowiek wyglądał w niej jak żywy trup. Nie powinna jednak wybrzydząć na opiekę. Włoscy towarzysze, których zorganizował im pułkownik, stanęli na wysokości zadania. Wywieźli ich z tego parszywego Regello i umieścili tu, w zamkniętym hospicjum dla umierających czubków, w którym nikt nie domyśliłby się istnienia paru pokoi dla gości specjalnych. Znalazł się też chirurg, sympatyk „Czerwonych Brygad”, który najpierw przetoczył krew Henrykowi, a potem zajął się fastrygowaniem jamy brzusznej Leszka.

— Wyjdą z tego? — pytała, kiedy wreszcie znalazł czas dla niej.

— Stan jest stabilny. Ale gwarancji nie ma... Proszę mi pozwolić zająć się panią.

Oprócz sporej utraty krwi z policjantką nie było wcale tak źle. Kula przestrzeliła na wylot udo, uszkadzając wprawdzie mięsień czterogłowy, lecz w sumie nie poczyniła większych szkód. Nawet ręka po pewnym czasie powinna nadawać się do użytku. Zabawne, ale bardziej od plastikowej szyny dokuczał jej gipsowy „kalosz”, unieruchamiający złamaną kostkę.

— Proszę mi powiedzieć, co z Henrykiem — nalegała.

— Trudno przesądzać, stan, jak mówiłem, nie pogarsza się, ale za wcześnie wyrokować, czy i kiedy wyjdzie ze śpiączki.

— A Leszek?

— Usunąłem mu parę metrów jelit i jedną nerkę, poskładałem strzaskany kawałek miednicy... Ale to młody organizm. Jeśli nie pojawią się komplikacje i nie dojdzie do zapalenia otrzewnej, można być dobrej myśli.

Wyciągnęła z lodówki cudownie zimną fantę i przytknęła butelkę do ust. Czuła rozkosz, gdy płyn ściekał po wargach, brodzie, piersiach.

„Najważniejsze, że żyję!”

Pomyślała o szefie i postanowiła zobaczyć, jak się miewa. To tylko parę kroków. Po południu nie wyglądał najlepiej... Mijając dyżurkę, nie zauważyła pielęgniarki.

„Ładne obyczaje! Pewnie pieprzy się po nocy z jakimś lekarzem!”

Stukając gipsem o chłodną wykładzinę, dokuśtykała do pokoju Henryka.

Zaniepokoiła ją dziwna cisza, wręcz martwota i, poprzez charakterystyczny dla szpitala zapach medykamentów, poczuła inny — *odór mortis*. Egzekutor nie żył. Szeroko otwarte oczy wskazywały, że w ostatniej chwili odzyskał przytomność. Więc co się stało? Kroplówka działała normalnie. Rozpięła mu pidżamę i po chwili zauważyła, że na piersi obok starej plamki, pozostałej po wkłuciu strzykawki z antidotum, widnieje druga, bliźniacza. Całkiem świeża. Polizała ją, wyczuła smak miodu.

— Kto do cholery to zrobił?

Gdzieś w oddali, na drugim krańcu piętra usłyszała lekkie kłapanięcie zamykanych drzwi. To chyba pokój Leszka. Wszystko jasne! Zabójca zajął się najpierw mężczyznami, ją zostawiając sobie na deser. Szaleńczo rozglądała się za czymkolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Nic. Żadnego skalpela, choćby nożyczek. Próbowwała odtworzyć układ budynku. W oknie pokoju były, niestety, kraty, zresztą i tak w tym stanie nie wyobrażała sobie skoku przez okno, pozostała więc klatka schodowa na wprost pustej dyżurki, tuż obok windy. Ciche, skradające się kroki w korytarzu słychać było coraz wyraźniej. Zatrzymały się przy pokoju Henryka. Ugięła się klamka. Stała obok drzwi, unosząc swoją kulę.

— Niech tylko wejdzie, a roztrzaskam mu jego parszywy łeb...

Drzwi uchyliły się na jakieś trzydzieści, może czterdzieści centymetrów, posępne światło padło na łóżko z martwym mężczyzną. Zabójca jednak wycofał się i ruszył dalej w stronę pokoju Lidii.

Nie mogła dłużej czekać. Jak najciszej rozpięła rzepy i jednym ruchem pozbyła się plastikowych szyn, unieruchamiających nogę. Nie zwracając uwagi na hałas, trójskokiem pokonała korytarz i znalazła się na klatce schodowej, kulą zablokowała drzwi, do których właśnie dopadł zabójca. Nie tracąc ani sekundy, zjechała okrakiem po poręczy schodów i jak uczeń pokonała dwa piętra, zanim morderca zdołał uporać się z drzwiami. Tuż przy wyjściu z budynku zobaczyła samochód, pustego półsportowego fiata z włączonym silnikiem. Automatyk. „Mam farta” — pomyślała. Wskoczyła do środka. Udo paliło żywym ogniem. Chrzanić ból! W półszpagacie rzuciła zagipsowaną stopę na siedzenie pasażera, lewą wdusiła gaz. Zabójca wybiegał właśnie z drzwi i zobaczyła jego małą, zniszczoną wielokrotnymi operacjami plastycznymi twarz.

Kurka wodna! Sam wielki Alosza! Nie przejmując się wysokim krawężnikiem, wjechała na chodnik i dociskając gaz do dechy, staranowała zaskoczonego zabójcę. Przeleciał ponad maską i przez moment widziała jego rozplaszczoną twarz na szybie, aż w końcu wylądował na betonie. Szyba pokryła się pajęczyną pęknięć, ale Lidka chciała mieć pewność, że doprowadziła sprawę do końca. Kręcąc kierownicą aż do bólu, zawróciła.

— Wystarczy — usłyszała tuż za uchem. Równocześnie silnik fiata zgasł, a na potylicy poczuła zimny dotyk lufy pistoletu. Uniosła oczy, aby w lusterku dostrzec własną śmierć.

— Alosza?!

— *Da, Alosza!* — potwierdził specjalista od strzałów w tył głowy. Z sobie wiadomego powodu — może była to zawodowa próżność — nie pociągnął jeszcze za spust. — Od pewnego czasu jest nas kilku — kontynuował. — Interesuje cię pewnie, dlaczego musieli zginąć twoi partnerzy?

— Byli wam wierni jak psy!

— Ale nieskuteczni. Dopuszcili do wpadki wszech czasów. W *matuszce Rasiji* zabija się sobakę, która wpuści złodzieja do domu.

Czuła krople własnego moczu ściekające po udzie. Rzuciła wściekle:

— Skończ z tymi przypowieściami. Rób, co musisz!

— Kiedy widzisz, wcale nie wiem, czy powinienem cię zabić.

— Byłam członkiem tego zespołu.

— Ale masz autentyczny talent. Takie jak ty nie rodzą się na kamieniu! — Nieoczekiwanie lufa odsunęła się od jej głowy. Lidka nie wierzyła własnym uszom.

— Egzaminowałam dużo kandydatek do tej roboty. Żadna nie umywała się do ciebie.

Tymczasem poturbowany Alosza numer 1, czy może raczej numer 2, dowlókł się do samochodu.

— Jeszcze jej nie załatwiłeś? — warknął gniewnie. — Ja mam to zrobić?

— *Padażdi pareń!* W ramach moich uprawnień złożyłem właśnie panience propozycję nie do odrzucenia. Dalszą pracę w naszym zespole.

Drugi, kuszykając, zaklął tylko pod nosem i dorzucił:

— Ty tu rządzisz. A jak nas zdradzi? W końcu żyła z tamtym.

— Nie z pierwszym, nie z ostatnim — stwierdził filozoficznie Alosza. — Co szkodzi zaufać czasem człowiekowi, a nawet kobiecie?

\*

Rano po krótkim kondycyjnym spacerku wokół pawilonu Toni zawiózł Dominikę na spotkanie z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości.

— To nie potrwa długo — obiecał Thomas. — W jej przypadku wystarczy tylko, że potwierdzi twoje dotychczasowe zeznania.

— Żeby tylko czegoś nie pokręciła... — niepokoił się Sulewski.

— Nie doceniasz jej, to wspaniała dziewczyna!

Znów to przykre ukłucie. Co ten Cheng ma na myśli? Koreańczyk z własnej nieprzymuszonej woli zaczął rozwodzić się nad zaletami młodej Polki.

— Ileż w niej talentów, samodzielnego myślenia, zainteresowań. Jakaż ogromna różnica wobec jej amerykańskich rówieśniczek, zainteresowanych głównie seksem, ciuchami i zdegenerowaną muzyką.

— Nie lubisz współczesnej muzyki?

— Od śmierci Gershwina i Lennona nie przepadam. A już ten współczesny łomot...

Ksiądz, który również nie przepadał za rapem i techno, uprzejmie podzielił opinię Koreańczyka.

— A swoją drogą, zdrowo namieszałeś jej w głowie! — powiedział Thomas.

— Co masz na myśli? — zjeżył się ksiądz.

— Na przykład sprawę Boga. Zanim poznała ciebie, była kompletną ateistką, więcej, uważała, że wszelka wiara jest aberracją umysłową. Trzeba przyznać: nie czyniła różnicy między chrześcijanami, buddystami czy wyznawcami UFO. Pod twoim wpływem jednak...

— Zaczęła wierzyć?

— Jeszcze nie, ale przynajmniej potrafi zrozumieć tych, którzy wierzą.

— A ty, Thomas, wierzysz?

— Oczywiście. Moi rodzice byli żarliwymi katolikami, jeszcze w Korei. Pamiętam: każdy posiłek zaczynaliśmy od modlitwy, w niedzielę całą rodziną chodziliśmy na msze. Teraz możesz uważać mnie za heretyka. W młodości poznałem pewnego wspaniałego pastora i ponieważ pewne sprawy zniechęciły mnie do rzymskiego Kościoła, od tamtego czasu jestem członkiem wspólnoty baptystów.

— Ale twój obecny zawód i wiara... Nie ma w tym sprzeczności?

Roześmiał się gromko.

— Mówisz jak człowiek wychowany na komunistycznej propagandzie i antyamerykańskich bajeczkach różnych tandetnych Ludlumów, którzy wszelkie zło tego świata upatrują w złowieszczych mackach CIA. Wybacz wielkie słowa, ale ja traktuję moją pracę jako misję. Rodzice przekazali mi, czym był komunizm, który poznali na własnej skórze. Całe ich życie przypominało walkę małych żabek, usiłujących przedostać się na drugą stronę drogi, po której szarżują walce drogowe. Najpierw

uciekli z czerwonego Phenianu na Południe, potem ogarnęła ich komunistyczna agresja. Byli świadkami egzekucji całej niemal rodziny, parę miesięcy przebywali w obozie, gdzie poddawano ich praniu mózgow, zanim nie wyzwoliła ich ofensywa MacArthura. Niezwykłe, ale właśnie w obozie odkryli chrześcijańskiego Boga, a stary kapłan, zanim go zamęczono, udzielił im chrztu, sakramentu małżeństwa...

— Rozumiem, takie obciążenie potrafi ukształtować człowieka — zgodził się ksiądz. — Ale dziś już nie ma komunizmu, więc trudno przypisać walce z nim motywację religijną.

— To tylko część prawdy. Owszem, nie ma komunizmu w jego klasycznej, sowieckiej postaci, ale co z dyktaturami na Kubie, w Korei, gdzie idee Lenina i praktyki Stalina przetrwalnikowo otorbiły się, czekając na lepsze czasy? Co z Chinami, budującymi imperium na wzorcach dalekich od demokracji? Co z postsowiecką Rosją, której nowy KGB-owski car ciągle waha się, czy bliżej mu do Piotra Pierwszego, czy Iwana Groźnego, bo innych wzorców nie ma. Jest jeszcze Czarna Afryka, ruina po socjalistycznych eksperymentach, dziesiątkowana przez AIDS — potencjalna beczka prochu i rezerwuar ludzkiej rozpacz, który może w przyszłości posłużyć nie wiadomo jakim celom. A islam? Niezależnie od tego, co mówią nasi wielokulturowi jajogłowcy czy europejscy zwolennicy ugłaskiwania zła, mamy na jednym wspólnym globie ponad pół miliarda osobników, gotowych utopić nas w łyżce wody, zniszczyć wszystko to, co składa się na cywilizację Zachodu, z równą gorliwością, z jaką Omar spalił bibliotekę aleksandryjską. Niektórzy uważają, że nie ma już czego bronić, bo panująca u nas „cywilizacja rozkoszy” jest gównem warta. Może mają rację, ale prędzej czy później okaże się, że nie ma innego wyjścia jak walka. Pacyfiści chowają głowę w piasek i proponują dialog. Pięknie! Tylko jak rozmawiać z kimś, kto wyznaczył sobie jeden cel — zabić nas i zniszczyć naszą kulturę? W najlepszym razie można wynegocjować rodzaj śmierci. O jakim więc dialogu mowa? — Cheng zapalał się coraz bardziej. — Ksiądz z pewnością wie, że w Europie buduje się dziś więcej meczetów niż wszystkich innych świątyń razem wziętych, gdy tymczasem w ortodoksyjnych państwach islamu za samo posiadanie Biblii grozi ukamienowanie. Nawet w umiarkowanym religijnie Egipcie muzułmanin, owszem, może poślubić Koptykę, ale biada, gdyby koptyjski chrześcijanin zapragnął Arabki... Najzabawniejsze, że mówię to ja: żółtek — neofita, człowiek Zachodu z wyboru. I to nie z własnego. Ale wróćmy do tego paskudnego CIA. Kim właściwie jesteśmy? Pierwszą linią frontu wojny, która, choć niewypowiedziana, już się toczy. Obserwujemy, analizujemy zagrożenia, ostrzegamy. Jednak od czasów Forda i Cartera nie możemy praktycznie nic zrobić. A ten... — szukał właściwego słowa — główny specjalista od pettingowania stażystek w Białym Domu już po pierwszych minimalnych stratach w Mogadiszu — cóż znaczy jeden helikopter w ogniu w obliczu globalnego konfliktu — podkulił ogon pod siebie. Nosorożec zrejterował nie przed ratlerkiem nawet, a przed pchłą.

— Macie już nowego prezydenta, republikanina — próbował wtrącić się w potok słów Sulewski.

— „Po owocach poznamy go.” Na razie ma niewielką możliwość zmiany polityki poprzedników. Przeciw niemu jest opinia publiczna, media, Kongres, ONZ... Tymczasem zło nietrzebione rośnie, rozzuchwała się. Wie pan, jak nas widzi Trzeci Świat? Jako sytych, grzesznych, bezbronych sybarytów, wyzbytą dumy, zapominających o swych korzeniach i Bogu. Zadufani, bogaci, zdegenerowani. Łatwy lup.

— Jeśli więc dobrze rozumiem, jest pan za prewencyjnym stosowaniem siły? Ot, błyskawiczny

desant na Hawanę, tu nalocik na Phenian, tam likwidacja paru terrorystów...

— Wcale nie jestem zwolennikiem geopolityki robionej po kowbojsku. Przedstawię to księdzu inaczej. Blisko siedemdziesiąt lat temu wasz narodowy wódz, Piłsudski, proponował prewencyjne uderzenie na słabe Niemcy, których nowym kanclerzem został właśnie Adolf Hitler. Nie posłuchano go, bo przecież byłaby to, w świetle prawa międzynarodowego, oczywista agresja, ingerencja w wewnętrzne sprawy wielkiego, kulturalnego narodu poetów i kompozytorów. Zgoda, ale, *father*, jeśli położyć na szali te miliony, którym przyszło zginąć potem w Polsce, Francji, na bezkresach Rosji, w piecach Auschwitz... Czy mając świadomość nieuchronnego jutra i dysponując niewielkim, sprawnym komandem straceńców w Berlinie, zdolnym w jedną noc załatwić Hitlera, Goebbelsa, Goeringa, Himmlera — zawahałby się pan?

Sulewski nie potrafił odpowiedzieć.

\*

Z przesłuchania Dominika wróciła bardzo zmęczona i natychmiast zapadła w popołudniową drzemkę. Na spacer wybrali się dopiero o zmierzchu. Zgodnie z prośbą Chenga mieli nie opuszczać terenu bazy, rozleglejszego zresztą, niż im się w pierwszej chwili wydawało. Dziewczynie powróciły rumieńce i dawny temperament Perspektywa jutrzejszego lotu do Ameryki bardzo ją podniecała. Nie mogła wręcz uwierzyć, że osobiście zobaczy miasta znane jedynie z filmów — Waszyngton, Nowy Jork, może Filadelfię.

— Thomas obiecuje, że przez pierwsze dni zamieszkamy u niego, w Baltimore. Pokaże mi miasto, sklepy i kina...

— Nie martwisz się, że twoje rozstanie z rodzicami może potrwać dłużej?

— A czym się mam martwić? Już wiedzą, że żyję, że nic mi nie grozi.

— Nie bierzesz pod uwagę, że może będziemy zmuszeni tam zostać?

— Trudno. Będę kochać moich staruszków na odległość. Ale pomyśl, co to dla mnie znaczy? Takie możliwości... Nauczę się języka, poznam nowych ludzi. Starzy Chenga mają mały domek nad zatoką Delaware. I łódkę. Wiesz, że już teraz jesteśmy na nią zaproszeni?

— Wiem — to zauroczenie Koreańczykiem drażniło go z każdą minutą bardziej. — A czy wiesz, że pan Cheng jest żonaty?

— W separacji. Zresztą niedługo się rozwodzi... A właściwie z jakiego powodu tak to podkreślasz?

— Nie chciałbym, żebyś popełniła jakieś głupstwo.

— Jak na razie jedynym moim głupstwem było wyruszenie w podróż z księdzem o predyspozycjach Indiany Jonesa, który ma wielką ochotę, ale boi się nawet mnie pocałować.

— Dominiko! — usiłował chwycić ją za rękę, ale dziewczyna odwróciła się nagle i pocałowała go w usta. Nim zdołał zareagować, już biegła ku pawilonowi, gdzie na tle rozświetlonego okna majaczyła potężna sylwetka Thomasa, gestami wzywającego ich do powrotu.

Zawrócił. Cheng oczekiwał ich, mocno poruszony.

— Dostałem wiadomość, która z pewnością was zainteresuje — rzekł. — Koło Bolonii, w pewnym prywatnym hospicjum, prowadzonym przez lewacką fundację, związaną z dawnymi „Czerwonymi Brygadami”, odnaleziono dwójkę członków tego polskiego komanda, które deptało wam po piętach.

— Aresztowano ich? — zapytał Paweł.

— Nie żyją. Muszę powiedzieć, że ich śmierć przedstawia się dość ciekawie. Na pierwszy rzut oka wyglądała prawie naturalnie. Prawie... Jednak Włosi wysłali na miejsce najlepszego patologa i ten ustalił prawdopodobne przyczyny zgonu. Henryk Tomal dostał zastrzyk z potężną dawką jadu pszczelego, natomiast Leszka Raczka najwyraźniej uduszono poduszką...

— A co stało się z tą blond piękną? — zapytała Dominika.

— Ludwika Liliana Mańkowska zniknęła. Podejrzewamy, że została uprowadzona.

— Wiadomo już, kto mógł to zrobić?

— Nie ma żadnych wskazówek. Intuicja jednak mi podpowiada, że maczali w tym paluchy Rosjanie. Kto wie, czy nie sam Alosza. Powiem szczerze: bardzo się cieszę, że jutro opuścimy Włochy.





## Piątek — sobota — niedziela

Ze snu wyrwał ich warkot helikoptera. Maszyna ze znakami organizacji ekologicznej zabrała ich wprost z niewielkiego trawnika za pawilonem mieszkalnym.

W drodze do Ameryki mieli towarzyszyć im Cheng i Toni Gonzales, odkomenderowany, jak widać, do roli ich osobistego ochroniarza. Sulewski wyobrażał sobie, że polecą do bazy w Aviano, skąd niewielki odrzutowy gulfstream, jakim zwykli latać multimiliarderzy albo goście specjalni rządu Stanów Zjednoczonych, zabierze ich do USA.

Życie okazało się bardziej prozaiczne, a administracja amerykańska o wiele mniej rozrzutna. Śmigłowiec po kilkudziesięciu minutach wylądował w Fiumicino, na pasażerskim lotnisku imienia Leonarda da Vinci, gdzie przesiedli się na rejsowy samolot Alitalii. Przeszli normalną kontrolę paszportową (jako Mister i Miss Kovalsky) oraz pobieżne prześwietlenie bagażu.

— Co za patałachy! — skomentował włoską ochronę Thomas. — Mógłbym wnieść na pokład dziesięć kilo semteksu i nikt by tego nie zauważył.

— Mam nadzieję, że w Ameryce kontrola jest skuteczniejsza — odezwała się Dominika.

— W Stanach? — zachnął się agent. — Na liniach krajowych nie ma żadnej kontroli.

Tak pocieszeni przez następne osiem godzin zaznawali przyjemności podróżowania w komfortowej klasie biznes, skąd Sulewski wyszedł obzarty, Dominika pijana, Cheng jeszcze bardziej zauroczony młodą Polką, a Toni dokładnie taki, jaki wszedł — popielaty.

Przejazd z lotniska Waszyngton–Baltimore do ich kwatery zajął około pół godziny. Porucznik Cheng (czytaj CIA) miał do swej dyspozycji narożny dom, położony w ciągu sympatycznych dwupiętrowych budynków, przypominających trochę gdańską Starówkę, a trochę, ze względu na obfitość starych drzew, warszawską Saską Kępę. Nie była to jednak „dobra dzielnica” albo, mówiąc precyzyjnie — już nie była. Ostatni biali lokatorzy należeli tu do znikomej mniejszości, nie widywało się również zbyt wielu Latynosów. Przeważali mieszkańcy o skórze w różnych kolorach czerni, od miodowobrunatnej po heban wpadający w granat Domy zaś, im dalej w głąb ulicy, stawały się coraz bardziej zdewastowane. O ile w bliższych zdarzało się jeszcze widzieć tłuste, wypasione na hamburgerach Afroamerykanki, zamiatające schodki, to kolejne budynki przedstawiały się coraz gorzej: na ściany wypełzły graffiti, mnóstwo okien zabitych było dyktą, tu i ówdzie jęzor sadzy wskazywał lokal wypalony do cna. Jedynie samochody na tle zmenelonych kamieniczek prezentowały się zaskakująco nieźle. Kiedy przybyli tam po raz pierwszy, Dominika była przerażona.

— Tu będziemy mieszkać?!

— Tylko przez parę dni — uspokajał ją Paweł.

— Zaręczam, że są w Baltimore dzielnice znacznie gorsze — pospieszył z wyjaśnieniem Thomas.

— Poza tym mieszkanie w tym punkcie ma dobre strony.

— Jakie?

— Obcy biały widoczny jest niczym kanarek w stadzie wróbli.

Sam dom specjalnie nie rzucał się w oczy i był, wedle zapewnień gospodarza, wyjątkowo bezpieczny. Podwójne, wzmocnione drzwi, kuloodporne szyby, składane schody przeciwpożarowe zaś dawały się uruchomić jedynie od góry. Parter zamieszkiwało dwóch barczystych Murzynów, podobno jedynie dla zmylenia przeciwnika udających gejów. W istocie byli to emerytowani żołnierze piechoty morskiej. Apartament Chenga zajmował pierwsze piętro, drugie natomiast, z salonikiem, dwoma sypialniami i kuchenką, przeznaczono dla gości z Polski.

W czasie, kiedy przybysze adaptowali się w nowym lokum, Koreańczyk przepadł na parę godzin, a gdy wrócił, był wściekły jak osa.

— Co za cholerny burdel! — warczał.

— Ale co się stało? — ośmieliła się zapytać Dominika.

— Cholerne wojny podjazdowe między agencjami. Kiedyś zgubią ten nieszczęsny kraj. Ktoś zdecydował na górze, żeby przekazać was do NSA.

— Do agencji kosmicznej? — zdziwił się Paweł.

— Nie do NASA, tylko do NSA! Narodowego Biura Bezpieczeństwa, podobno mają tam lepszych analityków niż CIA. Palanty! W dodatku od poniedziałku waszą ochroną ma zająć się FBI... Ech!

— O co w tym wszystkim chodzi?

— O zaszczyty i prestiż. Informacje z waszego dysku są największym sukcesem tajnych służb od lat.

— Ale to przecież ty nas znalazłeś i uratowałeś? — zauważyła Faltynowiczówna. — Nikt o zdrowych zmysłach nie może tego podważyć.

— Właśnie dlatego nie można pozwolić, żeby cały sukces spadł na mnie i moje szefostwo. Poza tym opinia publiczna nie lubi CIA, toteż administracja zrobi wszystko, abyśmy w tej sprawie pozostali w cieniu.

— A my nie mamy nic do powiedzenia?

— Raczej niewiele.

Nastrój poprawił dopiero Toni, który z pobliskiego sklepiku przyniósł flaszkę burbon–whisky. Napięcie opadało w miarę, jak rosło spożycie procentów.

\*

Zgodnie ze zmianą procedury nazajutrz skoro świt wielki, czarny cadillac z trzyosobową obstawą zabrał Sulewskiego na przesłuchanie już nie do słynnego Langley, lecz do konkurencyjnego, mniej znanego Fortu Meade. W tym czasie Cheng z Dominika mieli udać się na zakupy.

— Musisz sprawić sobie jakieś przyzwoite łachy, dziewczyno.

— Przecież nie mam pieniędzy — jęknęła.

— To powinno wystarczyć — Thomas wręczył dziewczynie karty American Express, wystawione na ich nowe nazwiska.

— A ile tam jest pieniędzy? — zapytała rzeczowo młoda Polka.

— Nie mam pojęcia. Jak się wyczerpie, zauważysz.

— Ale tak z grubsza...?

— Myślę, że na nieduży samochód wystarczy.

Dominika najpierw zbladła, potem pokraśniała i ucałowała porucznika z dubeltówki.

W Forcie Meade na Pawła oczekiwał szczupły facet, na którego identyfikatorze widniało tylko nazwisko — Smith, bez żadnego imienia czy stopnia, przypominający nieco Nicolasa Cage'a, uprzejmy, ale w porównaniu z Thomasem Chengiem zdecydowanie mniej przyjacielski.

Przez trzy godziny w niewielkim, dźwiękoszczelnym pomieszczeniu słuchał relacji księdza, z rzadka zadając dodatkowe pytania.

Sam nie udzielał żadnych informacji. Kiedy Sulewski zapytał, jak długo będzie przesłuchiwany, odparł: „Jak długo będzie trzeba”.

Na kolejne, równie grzeczne pytanie, czy NSA zapoznało się już z przetłumaczonym materiałem, odparł, że „nie jest upoważniony do udzielania informacji na ten temat”.

To Sulewskiego tak zdenerwowało, że zamiast przejść do opisu starcia w Regello, kategorycznie oświadczył, iż nie zamierza kontynuować zeznań.

— Jak to?! — zdumiał się Smith.

— Przesłuchanie jest zakończone, chyba że zmierzacie poddać mnie torturom. I proszę, jeśli jestem aresztowany, odczytać mi moje prawa.

Po paru minutach bezskutecznych prób skłonienia księdza do kontynuowania rozmowy Smith nie wytrzymał, zerwał się i burknawszy „przepraszam”, wyszedł z pokoju, pozostawiając Pawła samego. Ten wstał, przespacerował się, na chwilę stanął przed całościennym lustrem, zastanawiając się, co też może odbywać się po drugiej stronie zwierciadła i jaki piorun stamtąd padnie.

Nie padł. Gdzieś po kwadransie pojawił się starszy mężczyzna, przypominający angielskiego dżentelmena z MI-6, o nazwisku Atkins, prawdopodobnie równie nieprawdziwym, jak Smith.

— Serdecznie przepraszam za zachowanie mojego przyjaciela — powiedział, potrząsając ręką Sulewskiego. Zawiniła niestety rutyna, rzadko bowiem zdarza nam się przesłuchiwać ludzi, którzy współpracują z własnej woli. („Zły glina, dobry glina” — przemknęło Pawłowi.)

Oczywiście z przyjemnością odpowiemy na pańskie pytania. Może nie na wszystkie od razu... Osobiście mamy do pana pełne zaufanie, ale nigdy nie można wykluczyć ewentualności, że stał się pan mimowolnym trybikiem misternej prowokacji, a cały dostarczony nam materiał jest jedynie genialną fałszywką.

— Nie pomyślałem o tym.

— I proszę tak nie myśleć! Na dziś, po przetłumaczeniu znacznych partii tekstów i zestawieniu zawartych w nich treści z informacjami pochodzącymi z innych źródeł, można już powiedzieć, że wygląda na to, iż dostarczył nam pan rewelacyjny materiał, równie doniosły, jak materiały waszego pułkownika Kuklińskiego o planach agresji ZSRR na Europę Zachodnią, a przekraczający samochwalcze zeznania Suworowa. Być może przyszedł historyk naszych czasów uzna, że zmieniliście państwo historię świata.

— W jakim sensie?

— Nie jestem zbyt kompetentny, żeby to precyzyjnie ocenić, mogę mówić co najwyżej o moich odczuciach... Czy możemy kontynuować?

\*

W tym samym czasie Dominika oddawała się prawdziwej orgii zakupów. Wraz z Chengiem i Tonim zajechała do baltimorskiego *downtown*, gdzie wokół starego portu w dawnych halach fabrycznych, dziś przepięknie odrestaurowanych, mieściły się najbardziej renomowane domy towarowe. Zakupy zaczęła od dwóch par dżinsów, potem kupiła koszule i T-shirty. Na plastikowej karcie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Podochocona, nabyła jeszcze jesienny płaszczyk, skórzaną kurtkę, torebkę, pięć par butów. Karta wytrzymała! Zachęcona przez Koreańczyka do większej śmiałości, poszła dalej, zaopatrując się w dwie piękne nocne koszulki (jak Paweł zobaczy, zdębieje), kilka kompletów bielizny, w tym, zważywszy jej młody wiek, parę bardzo ryzykownych majteczek i staników. Całość sprawunków uzupełniła zestawem dosyć drogich kosmetyków marki

Angel. To miał być koniec zakupów... Karta jednak nadal nie wyglądała na wyczerpaną, a Toni pociągnął dziewczynę ku jeszcze bardziej luksusowym magazynom. Sukienka za osiemset dolarów? Czemu nie?! Kostium popołudniowy za tysiąc dwieście — przeszło. Kreacja wieczorowa za...? Drżąca ręka podawała kartę kasjerce, ale nie rozległy się alarmowe dzwonki, nie zaryglowano drzwi i nie wpadła policja skarbowa.

Plastikowy prostokąt American Express stracił kondycję dopiero przy pierścionku za cztery pięćset baksów...

Kiedy po południu zmęczony Paweł powrócił do domu, w pierwszej chwili pomyślał, że pomylił mieszkania. Na kanapie w salonie oczekiwała na niego krzyżówka Barbie i Lady Di, i to w wydaniu z lepszych czasów, nim jeszcze niedoszła królowa zaczęła szlajać się z Arabami. Spotkała go też miła niespodzianka. Dominika kupiła mu piękny krawat i portfel z krokodylej skóry.

— Obrobiliście bank? — zdumiał się.

— Nie, zdyskontowałam swoją część naszej premii dla tajnych agentów.

Paweł miał na końcu języka pytanie, kto za to wszystko płaci: CIA, NSA czy FBI, ale nie chciał stawiać Chenga w trudnej sytuacji.

Poza tym, mimo otrzymanych suvenirów, nie miał szczególnie dobrego humoru. Zauważył, iż po wspólnych zakupach agent i dziewczyna są jeszcze bardziej zaprzyjaźnieni. Zastanawiał się, co powiedzą starzy Faltynowicze na widok żółtych wnuków.

Tymczasem Thomas zaproponował domową kolację przy świecach i winie, sam miał upichcić na nią zapiekankę własnego pomysłu. Dominika przyjęła to entuzjastycznie, natomiast Sulewski wymówił się bólem głowy.

— Boli cię głowa, to weź proszek — poradziła dziewczyna.

— Sen będzie najlepszym lekarstwem — powiedział, zamykając ze sobą drzwi.

Jednak udało mi się przespać zaledwie dwie godziny. Kiedy otworzył oczy, spod drzwi salonu ciągle sączyło się światło i dobiegały głosy ściszone, ale rozpoznawalne. Próbował je ignorować, ale nie mógł.

— Och nie, nie możesz tego zrobić! — mówił cichy alt.

— Muszę — odpowiadał miękki baryton.

— Tylko nie podnoś.

— Żartujesz.

— Proszę.

— Nie.

— Sam tego chciałeś.

— Nie!

— Tak...

— Ooooch.

W samych skarpetkach doszedł do drzwi, ale przez dziurkę od klucza widać było jedynie wieczorowy kostium Dominiki, przerzucony niedbale przez poręcz krzesła...

— Zrobimy to jeszcze raz? — zapytał po dłuższej pauzie baryton.

— Jeśli sobie życzysz — odpowiedział alt.

Paweł zacisnął zęby. Korciło go, by wtargnąć do środka i... I co mógł zrobić?

Awanturę? Jakim prawem? A znów apelować do ich uczucia przyzwoitości... Podeszedł do okna i zwolniwszy blokadę, uniósł je do góry. Wzdłuż piętra biegł wąski balkon, prowadzący do schodów przeciwpożarowych.

— To śmieszne, niegodne, głupie! — powiedział do siebie, ale wyszedł na zewnątrz. Delikatnie wychylił głowę poza framugę okna od saloniku.

— Sprawdzam! — powiedział energicznie porucznik Cheng.

— Co masz?

— Karetę dam! — odpowiedziała Dominika. W jasnych dżinsach i nowym T-shircie wyglądała jak mała, grzeczna dziewczynka. Do obrazu nie pasował jedynie piętrzący się przed nią stos jednodolarówek.

Młoda Polka ogrywała zasłużonego agenta CIA w pokera.

\*

W niedzielę udało mu się znaleźć w centrum kościół katolicki, z mszą odprawianą o godzinie ósmej, dzięki czemu mógł zjawić się ponownie w Forcie Meade punktualnie o dziesiątej, zaliczywszy i spowiedź, i komunię. Tym razem jednak zaproszono go nie do sali przesłuchań, ale do eleganckiego gabinetu w głównym budynku. W pokoju zastał zarówno „Smitha”, jak i „Atkinsa” oraz zgrabną, niewysoką czarnulę w skórzanej kurteczce i dżinsach, którą w pierwszej chwili wziął za

pracownicę techniczną — tłumaczkę, może stenografkę. Dopiero gdy zbliżyła się do niego, podała mu rękę i popatrzyła prosto w oczy, dostrzegł emanującą od czarnul charyzmę, siłę i Bóg wie co jeszcze. Poznał ją i ogarnęła go trema jak podczas pierwszego spotkania z biskupem przy bierzmowaniu. Oczekiwała go najpotężniejsza kobieta współczesnego świata, doradczyni prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego.

— Bardzo mi przyjemnie, że mogę pana poznać osobiście, ojcie — powiedziała miłym głosem, zdradzającym absolwentkę najlepszych uczelni. — Niewątpliwie już wkrótce pan prezydent podziękuję panu osobiście podczas spotkania w Białym Domu. Chwilowo przebywa na Florydzie, ale prosił, bym w jego imieniu przekazała księdzu gorącą wdzięczność rządu Stanów Zjednoczonych za wszystko, co pan uczynił.

Paweł już szykował inteligentną ripostę, ale jakoś żadne słowo nie chciało przejść mu przez zaciśnięte gardło.

— Może usiadziemy — zaproponowała pani Rice. — Muszę przyznać, że uzyskane dzięki panu informacje pomogą nam wydatnie przy porządkowaniu spraw światowych. Mimo dość pobieżnej analizy już teraz pozwoliły nam zobaczyć w nowym świetle wiele spraw, które dotąd uważaliśmy za marginalne. Błędem naszych kolejnych administracji było puszczenie spraw Europy Wschodniej niejako na żywioł.

Uważano, iż mechanizmy demokratyczne samoczynnie doprowadzą do rozbicia dawnych struktur, stworzenia państw prawa i wyeliminowania starych elit. Mylono się. Dostarczone przez pana dokumenty, a także zbrodnicze próby niedopuszczenia do ich ujawnienia dowodzą, jak powierzchowne i nieskuteczne było zerwanie z siłami dawnego Imperium Zła, jak szybko odrodziły się patologiczne układy, a jak słabe okazały się siły dawnej antykomunistycznej opozycji. Uważamy, że nadchodzi moment zdynamizowania układu. Rozumie pan, co mam na myśli?

Kiwnął uprzejmie głową, choć nie miał zielonego pojęcia.

— Proszę się rozluźnić. John — skinęła na „Smitha”. — Nie znalazłbyś przypadkiem odrobiny brandy?

Znalazł.

— W świetle ujawnionych faktów na temat programu „Mega”, a zwłaszcza „Operacji Galeria”, musimy również innym okiem przyjrzeć się sowieckiej pierestrojce i obecnym tendencjom rosyjskiego kierownictwa.

— Nie bardzo rozumiem.

— Ach prawda — uśmiechnęła się. — Pan tego wszystkiego nie czytał. No cóż. Program „Mega”, przygotowywany jesienią osiemdziesiątego dziewiątego roku, miał na celu likwidację pierwszego antykomunistycznego rządu w waszym kraju w przypadku jakiegokolwiek próby odejścia od linii Okrągłego Stołu.

— Serio?!

— Pozornie przypadkowy wybuch gazu w podziemiach Urzędu Rady Ministrów w trakcie posiedzenia gabinetu miał obrócić w perzynę cały gmach. Plan zawiódł wraz z załamaniem się drezdeńskiej operacji „Galeria”...

— Z tego, co wiem, ekipa Mazowieckiego nawet nie próbowała odejść od linii grubej kreski — wtrącił Paweł. — Tylko skoro do niczego nie doszło, czy należy do tego wracać?

— Ludzie, którzy przygotowali te plany i rozważali możliwość ich realizacji, są dziś... — umilkła i uniosła do ust szklaneczkę. — Potrzebujemy księdza — powiedziała, zmieniając temat.

— Nie wiem, do czego jeszcze mógłbym się przydać?

— Postanowiliśmy działać wielotorowo, prawda, dyrektorze? — spojrzała na Atkinsa. Ten chrząknął:

— Skutków opublikowania materiałów w całości nie sposób przewidzieć. Moim zdaniem to za duża dawka — rzekł. — Będziemy wprowadzać je do świadomości opinii publicznej metodą kropelkową. Życzliwa nam telewizja Fox News już od najbliższej środy rozpocznie cykl ujawnień wybranych tematów. Oczywiście to będzie „samodzielna” inicjatywa stacji. Pan będzie zaś tym, który spokojnie i wiarygodnie zacznie o tym opowiadać.

— Mam dokonywać wyboru dokumentów Omegi...

— To już zrobią nasi fachowcy, pan będzie tylko prezentować i komentować.

— Ale dlaczego ja?

Znów popatrzyła mu prosto w oczy.

— Jest pan księdzem, Polakiem, bohaterem całej tej akcji. Wzięliśmy też pod uwagę ocenę specjalistów, którzy oglądali pana na filmach, kręconych podczas przesłuchań. Twierdzą, że jest pan niezwykle medialny i komunikatywny. Moja intuicja też to potwierdza.

— Ależ pani doradco... znaczy pani minister... — gorączkowo szukał właściwego tytułu.

Z wdziękiem trąciła jego szklaneczkę.

— Przyjaciele mówią do mnie Liza.

— Nie bierzecie pod uwagę, że mogę się nie zgodzić?

— Ależ bierzemy, bierzemy, Paul. Jednak wiemy, że jesteś wielkim patriotą, któremu sprawy ojczyzny nie są obojętne. Za dwa tygodnie w Polsce odbędą się wybory. W świetle najnowszych sondaży rozbita prawica nie ma w nich większych szans. Naród, zmęczony trudami transformacji, choćby przez przekorę postawi znów na czerwone.



— Niestety.

— Jeśli jednak z twoją pomocą pchniemy pierwszą kostkę domina... Ujawnimy choćby niewielką część dokumentów Omegi... Kto, kiedy, za ile? Co najmniej jedna komercyjna stacja telewizyjna w Polsce i ze dwie gazety podchwycą ten temat... Wkrótce ruszy u was nowy, całodobowy, wyłącznie polityczny kanał prywatnej telewizji. Damy mu opcję na bezpłatną retransmisję pańskiego programu...

— Myśli pani, że to wystarczy?

— Nim dojdzie do wyborów, kilka kluczowych postaci czerwonej pajęczyny znajdzie się w więzieniu, innym ułatwimy ucieczkę... Rzecz jasna na Wschód. Być może termin wyborów zostanie przesunięty... Ze swej strony udzielimy Polsce wszelkiej pomocy i gwarancji.

Miał ochotę wypić butelkę brandy duszkiem. Naraz wszystko stało się jasne i oczywiste.

— Ale czy prezydent na to pójdzie? — zapytał.

— Sądzę, że tak, bo jeśli nie teraz, to kiedy? Wschodnia Europa, z Polską na czele, wyzwoloną spod obcej dominacji, oczyszczona z postkomunistycznego gorsetu, ma szansę stać się mocnym filarem systemu nowego porządku globalnego i przeciwwagą dla zmurszałego zachodu Starego Kontynentu. Zaporą przeciwko hegemonistycznym zapędom Francji i Niemiec. I ich niezdrowym ciągotom w stronę Rosji.

Sulewski przymknął oczy. Wiedział, że to realne.

— Program nadawany będzie z Nowego Jorku — powiedziała Liza. — Dlatego wskazane jest, żebyście jutro tam się przenieśli. Dyrektor Atkins zadba o wszystko, co będzie potrzebne.

— W poniedziałek pozna pan swoich współpracowników — dodał Atkins. — We wtorek dokonamy próbnego nagrania. A w środę ruszamy.

„Alleluja i do przodu!” — pomyślał Sulewski.

\*

Z okazji pożegnalnego wieczoru w Baltimore porucznik Cheng wydał małe przyjęcie. Paweł był na nim obecny jedynie ciałem, głowę zaprzętały mu sprawy wielkie, globalne. Prowadzący go do samochodu Atkins poinformował, że spotkanie z doradczynią do spraw bezpieczeństwa ma pozostać tajemnicą nawet dla Thomasa. Miał też zachować dla siebie plany telewizyjnej kampanii.

— A co z Dominiką?

— Proszę się wstrzymać. To tylko trzy dni.

Że do „raportu Omegi” władze przykładają najwyższą wagę, dowodziły dwa samochody z ochroną, zaparkowane w niewielkiej odległości od domu Koreańczyka.

Uczucia Sulewskiego można by nazwać ambiwalentnymi. Po rozmowie z panią Rice czuł się mniej więcej tak, jak ów rozbitek, który na bezludnej wyspie posiadał Cindy Crawford, a potem narzekał, dlaczego nie jest ona mężczyzną.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi? — dziwiła się top modelka. — Po co ci jeszcze mężczyzna?

— Bo miło by było pochwalić się jakiemuś koledze: „Kochałem się z Cindy Crawford”.

Na szczęście ani porucznik, ani dziewczyna nie wypytywali go o przebieg dzisiejszych przesłuchań. Wyglądali na bardzo zajętych sobą. Paweł gotów był im to odpuścić. Tym bardziej, że poprzedniego dnia przekonał się o bezpodstawności swoich podejrzeń. Był jak w transie. Od dzieciństwa marzył o dokonaniu niezwykłych rzeczy, nieobca mu była żądza sławy, potem przyzwyczał się do szarej rzeczywistości (szansa, że kolejny Polak zostanie papieżem, wyglądała mizernie), ale teraz... Teraz w zasięgu ręki znajdowały się sprawy, o jakich nawet nie śnił. Zmiana dziejów świata, ozdrowieńczy impuls dla ukochanej ojczyzny, wytarganie białego niedźwiedzia za wasy. Czegóż mógł chcieć więcej? Nawet trema nie była w stanie pozbawić go radosnego uczucia satysfakcji. „Zresztą — powtarzał w duchu — poradzę sobie”. W swoim kościele nieraz wychodził zwycięsko z rozlicznych starć ze śpiącymi emerytami, rozbrykaną młodzieżą czy rozhisteryzowanymi dewotkami.

Wieczór obok niego toczył się miło i pogodnie, Dominika i Thomas co rusz wybuchali śmiechem, opowiadając sobie kawały, później wyluzowany Koreańczyk siadł do pianina. Okazało się, że znakomicie gra ze słuchu, i z małpią zręcznością odtwarzał tematy muzyczne z filmów *Hair* i *Cats*, potem sięgnął po przeboje z *Moulin Rouge*. Na koniec młoda Polka, rozgrzana winem i śpiewem, wlaża na szafkę i wyprężywszy się na niej jak na bukszprycie, odśpiewała przebój Celine Dion z *Titanica*.

Naraz skierowała wzrok na Sulewskiego i urwała.

— A ty dlaczego nie śpiewasz z nami, Pawle?

— Nie mam nastroju.

— Szkoda.

To powiedziawszy, podskoczyła do pianina i zagrała z Thomasem na cztery ręce stary standard jazzowy *Kiedy święci maszerują*.

„No tak, mają mnie za świętoszka i mizantropa — pomyślał Paweł. — Ciekawe, co powiedzą, kiedy zobaczą mnie w globalnej sieci telewizyjnej.”

Dopiero koło północy, kiedy Thomas zszedł na swoje piętro, Dominika zajrzała do sypialni

księdza. Owinięta ręcznikiem frotte rozczesywała bujne włosy o naturalnej barwie lipowego miodu.

— Nic mi nie powiesz o przesłuchaniu? — zapytała. — Czuję, że zdarzyło się coś ważnego.

— Nie mogę. Za parę dni dowiesz się wszystkiego.

— Wiesz, że Thomas się rozwodzi? — rzuciła. — Będzie kawalerem z odzysku.

— I co ty na to? — wypowiadając te słowa, bał się drżenia w swoim głosie.

— Nic szczególnego. Obiecałam mu, że po powrocie do Polski poszukam dla niego jakiejś pięknej koleżanki. Zasługuje na to.

I nie czekając na komentarz Pawła, wyszła. Przez uchylone drzwi widział, jak w saloniku zsuwa się z niej ręcznik, a ona sama znika w swojej sypialni.



# Poniedziałek

Do Nowego Jorku dotarli koło południa. Mimo obecności Smitha (zyskiwał nieco przy bliższym poznaniu) i jego obstawy, podążającej za nimi jak cień, Cheng uparł się dotrzeć w roli konwojenta do „Wielkiego Jabłka” i towarzyszył im aż na kwaterę. Wymógł też, by wjechali do miasta przez Lincoln Tunel, aby po raz pierwszy w życiu zobaczyć nowojorskie centrum. Stojąc w korku na zjeździe do tunelu pod Hudson River, przez dłuższą chwilę mieli przed oczami zapierającą dech w piersiach panoramę Manhattanu. Thomas wskazywał im najbardziej charakterystyczne punkty: iglicę Empire State Building, pokryty złotą łuską szpic wieżowca Chryslera, dwie wieże Centrum Światowego Handlu. Dominika, konfrontując rzeczywistość z tym, co widziała na dziesiątkach filmów, była wniebowzięta. Szukała wzrokiem kominów elektrowni, tak pobudzających wyobraźnię Mela Gibsona w *Teorii spisków*. Emocjonowała się na widok żółtych taksówek, domyślając się w każdej Roberta de Niro i Jodie Foster, i wypytywała o bulwary, po których szarżował ślepy Al Pacino w *Zapachu kobiety*... Thomas, jak mógł, zaspokajał jej ciekawość obiecując, że wieczorem zabierze ją na Times Square, który teraz tylko mignął jej w perspektywie Broadwayu, potem pokaże dworzec Grand Central i znaną z tyłu romantycznych scen ślizgawkę pod Rockefeller Center.

— Muszę koniecznie znaleźć czas na spotkanie się z moim kuzynem — powiedziała w pewnej chwili.

— Jeśli FBI się zgodzi i da ci anioła stróża. Czemu nie...

Tymczasem objechali narożnik Lincoln Center (zbudowany na miejscu slumsów dawnej dzielnicy West Side, gdzie kochali się i zabijali Polacy i Latynosi w legendarnej *West Side Story*), minęli luksusowe penthouse’y przy Central Park South — może gdzieś na szczycie z widokiem na Strawberry Fields rezydował ciągle *Adwokat diabła*? — potem przemknęli przez Upper West Side wzdłuż Central Parku (Thomas pokazał im Dakota Building, przed którym zginął John Lennon, a wcześniej Roman Polański nakręcił wewnątrz słynne *Dziecko Rosemary*). Następnie zanurzyli się w kolorową egzotykę Haarlemu i wreszcie dotarli do Bronksu, gdzie, niedaleko parku van Cortlanda, FBI przygotowało dla nich bezpieczną siedzibę w niczym niewyróżniającej się czynszowej kamienicy.

— Nie za blisko centrum i spokojnie — ocenił Smith, kiedy na moment pozostali z Sulewskim sami. — Szefostwo ustaliło, że swoje komentarze będzie pan nadawać z jednej z sal pobliskiego college’u, aby uniknąć kłopotów z transportem i problemów z zapewnieniem wam bezpieczeństwa. No i publiczności nie zabraknie.

— Publiczności? — zdziwił się Paweł. — To ma być dokumentalny talk-show?!

— Telewizja ma swoje prawa, a dla amatora, zwłaszcza tak charyzmatycznego jak pan, który ma już doświadczenie w kontaktach z tłumami, będzie to wyjątkowo mobilizująca sytuacja. Połowę z widzów stanowią będą studenci, połowę młoda Polonia.

— Ale jak ja to wszystko spamiętam...?

— Proszę się nie obawiać, będzie miał pan do dyspozycji trzy prompty.

Na obiad zjedli pizzę, zamówioną przez Smitha, po czym obstawa zabrała Sulewskiego do zaimprovizowanego studia dwie ulice dalej. Urządzone w szkolnym audytorium, sprawiało dość przytulne wrażenie, choć przy odpowiednim oświetleniu mogło z łatwością wywołać nastrój „Sensacji XX wieku” czy „Archiwum X”.

— Boję się, że program ograniczy się jedynie do happeningu — wyraził swój niepokój Paweł.

— W naszej akcji musimy liczyć się z przeciętnym widzem — tłumaczył Smith. — Dla bardziej wyrobionego odbiorcy planujemy nadzwyczajne wydania „New York Timesa”, a dla elit wydanie broszurowe raportu pod tytułem *Akta Omegi* z przedmową samej Condoleezy Rice.

— Pogratulować rozmachu — skwitował ksiądz.

W studiu poznał już całą ekipę. Reżyserem programu miał być Barry, wysoki, chudy czterdziestolatek, swego czasu zdobywca Oscara w kategorii filmu krótkometrażowego. Towarzyszył mu laureat innej nagrody, Pulitzera, imieniem Steve. Konsultantem politycznym od spraw Europy Wschodniej miał być pochodzący jeszcze z ekipy Henry’ego Kissingera weteran politologii David, do złudzenia przypominający aktualnego wiceministra obrony, Paula Wolfowitza. Na spotkanie ściągnęli również ci, którzy mieli nadzorować prace z centrum telewizji FOX — szef korespondentów zagranicznych, koordynator sond ulicznych i liczne autorytety. Najbardziej zaskoczyło Sulewskiego, że poza Davidem nikt nie miał najmniejszego pojęcia, czego dotyczyć ma program—rzeka „Akta Omegi”. Nawet Steve i Barry znali tylko jego zarysy. Embargo było ścisłe, a zasada poufności przestrzegana. I Paweł, choć go korciło, dostosował się do tych reguł.

Ozdobą całego towarzystwa była tłumaczka — czarnowłosa i czarnobrewa o imieniu (jakżeby inaczej) Carmen — na pierwszy rzut oka taki sam ekstrakt hiszpańskości, jak mury Toledo, walki byków czy wiersze Federica Garcii Lorki. Zdumiał się, gdy mu powiedziano, że w istocie jest polską Cyganką z Konina, władającą biegle kilkoma językami.

Zrobili próbę tłumaczenia *a vista*. Paweł wyrecytował dłuższy passus z listu swego imiennika św. Pawła Apostoła do Kolossan. Carmen tłumaczyła szybko i bezbłędnie. Sulewski nie musiał wcale zatrzymywać się i czekać. Carmen płynnie znajdowała odpowiednie słowa, zwroty, idiomy.

„Pewnie zna Pismo Święte na pamięć.” — pomyślał. Zmienił więc repertuar i zaczął opowiadać jakąś historyjkę z młodości, nie szczędząc podwarszawskich regionalizmów, zwrotów z grypsery, a także nie unikając (Boże, wybaczone) dosadnych obscenów...

— Świetna proza, ojczy! — pochwalił go Smith, nie mogąc oderwać oczu od Carmen. — Czy w Polsce popularny jest rap?

Cały wieczór trwały próby techniczne. Nikt ani słowem nie wspomniał o meritum programu. Ekipa zgodnie uznała, że jako „osobowość medialna” ksiądz jest świetny, swobodny i przekonujący.

Kiedy w końcu zgasły światła i personel zaczął się rozchodzić, Carmen zbliżyła się do

Sulewskiego. Pachniała silnymi perfumami i czymś jeszcze, niebezpiecznie prowokującym... Afrodyzjak? Narkotyk? Czyżby to właśnie stymulowało jej genialną koncentrację?

Szczupłe, choć nie anorektyczne ciało pod kusą, czerwoną sukienką przypominało dzikie zwierzę, gotowe w każdej chwili do ucieczki lub ataku. Piersi mierzyły w rozmówcę śmiało niczym lufy dubeltówki. Popatrzyła na Polaka przeciągle, odrobinę wyzywająco.

— Zjemy razem kolację?

— Pani wybaczy, ale jestem księdzem — odparł.

— To mi nie przeszkadza. Rok temu byłam jakiś czas z pastorem. Miły gość. Niestety, zmienił orientację i żyje dziś z własnym organistą.

\*

Wrócił szczęśliwy i lekki jak napełniony gazem rozweselającym balonik. Oklapł jednak zaraz po przekroczeniu progu mieszkania. Dominiki nie było. Według jednego z cerberów o twarzy starego buldoga razem z Chengiem wypuściła się w miasto.

— Nie było rozkazu, żeby ją zatrzymać — powiedział z rozbajającym uśmiechem na nieforemnych wargach. — Pan jest tu najważniejszy.

Minęła dziewiąta, dziesiąta, jedenasta... Paweł przeszedł wszystkie stadia zniecierpliwienia, zdenerwowania i żalu. Próbował oglądać telewizję, ale na niczym nie potrafił się skupić, więc zrezygnował. Z barku wygrzebał butelkę whisky i do północy opróżnił ją do połowy. Dźwięk każdego zatrzymującego się w pobliżu samochodu stawiał go na nogi. Dlaczego nie wracała?! Tego wieczoru chciał mieć koło siebie kogoś bliskiego. To, co przeżył w zaimprovizowanym studiu, mogło być najradośniejszą chwilą jego życia. Mogło, ale nie było.

W ciągu paru ostatnich dni wielokrotnie zastanawiał się nad swoim przeznaczeniem. Kiedyś wydawało mu się, że doskonale słyszy głos wewnętrzny: „Porzuć wszystko, idź za mną!”. I tak zrobił. Dziś po raz pierwszy od śmierci Marii nie miał pewności, czy trafnie zrozumiał powołanie.

A może Najwyższy miał wobec niego zupełnie inne zamiary? Przeznaczył mu coś większego, bardziej odpowiedzialnego? Nie małą parafię i mozolny, często daremny trud doprowadzenia na ścieżkę prawdy każdej zbłąkanej duszy, ale pracę nad czymś nowym, wielkim...?

Pod koniec rozmowy z panią Rice wyczuł w jej planie pewne akcenty mesjanistyczne. Zarówno ona, jak i jej szef, dwojga imion Bush, pojmowali swoją rolę — inaczej niż ich poprzednik w Gabinetcie Ovalnym — jako misję! Między wierszami niedomówień wyczuwał chęć zawrócenia własnego kraju, ba, nawet całego Zachodu, z grząskiej, ślepej ścieżki zepsucia i dekadencji.

Przywrócić Ameryce wielkość, ludziom wiarę, życiu sens! Brzmiało to wręcz porywająco. A jak wzruszył go końcowy apel o pomoc. Któż by nie pomógł?

Tylko czy za to wszystko, co zrobił i robi, nie należy mu się nagroda? Czy miał już do kresu swych dni borykać się z życiem sam, spętany celibatem, z rozdartą duszą...?

— Do diabła, przecież to nie ma sensu — powtarzał sobie. — Jest spóźnione o ponad dziesięć lat... A ona... Gdzież u licha się podziewa?

Przełknął potężną porcję trunku. Whisky bez wody i lodu cierpko rozlewała się po podniebieniu. Przymknął oczy.

Wyobrażenia podsuwała mu najróżniejsze scenariusze. Widział jasne ciało dziewczyny w mocnych ramionach Koreańczyka, widział, jak jej stopy zaplatają się na plecach Chenga, jej jasne włosy rozsypują się na poduszce w jakimś podrzędnym hoteliku, a rumieniec podniecenia spływa ku piersiom. I próżno powtarzał sobie:

— Nic mnie to nie obchodzi. Nic!

Próbował się modlić, ale nie był w stanie. Z najwyższym trudem powstrzymywał się przed złorzeczeniem Stwórcy. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, krążył po apartamencie jak jaguar w klatce. Wszedł do pokoju Dominiki. Z rozczuleniem „patrzył na pudełeczka i reklamówki z wczorajszymi zakupami, na małe papucie wyglądające spod łóżka, na równo ułożoną pościel...

Spod poduszki wyzierał rożek czegoś ciemnego. Nie mogąc się opanować, wyciągnął. Był to zeszyt, kupiony chyba niedawno. Parę stron pokrywały zapiski czynione równym, eleganckim pismem, godnym przedwojennej pensjonarki:

*Szukam, każdego szukam ranka,  
W bieli pościeli, schnąc z pragnienia  
Mego spełnienia, jak kochanka,  
A wciąż go nie ma  
Jak dwa kawałki jednej kry  
porwanej w mrok przez morskie fale,  
choć łączą nas i dni, i sny,  
Jesteśmy z każdą chwilą dalej.  
Być z nim i przy nim życie przeżyć,*



*Choćby i nudne jak pasjanse...*  
*Mogłabym nawet w Ciebie wierzyć.*  
*Lecz daj mi, Panie Boże, szansę!*  
*Zanucę Ci „Pieśń nad Pieśniami”,*  
*Lub — wybierz sobie — każdy psalm.*  
*Niech miłość mieszka między nami,*  
*Jak słowo, któreś kiedyś dał.*  
*Masz wszechświat pełen setek drzew,*  
*Tych od dobrego i od złego,*  
*Twój jest i wąż, i lis, i lew...*  
*A ja chcę tylko, tylko jego.*  
*Twe Imię chwalą zawsze, wszędzie,*  
*Słońce i Księżyc, deszcz i wiatr.*  
*Tobie niewiele wszak ubędzie,*  
*A ja dostanę cały świat.*  
*Lecz Ci przysięgam, Panie Boże,*  
*Na całe świata tego zło,*  
*Jeśli On moim być nie może,*  
*To będzie tym kimś byle kto.*

Nie wiedział, co dalej robić. Wstydliwie schował zeszyt z powrotem pod poduszkę, a sam wrócił do swego pokoju, siadł w kącie i wybuchnął płaczem.

Usłyszał jej lekkie, szybkie kroki na schodach, potem zgrzyt zamka, krótkie *cheerio* rzucone ochroniarzowi, i już była w środku. Bardzo podniecona i troszeczkę pijana. Żywioł i piękno, młodość i energia.

— To było fantastyczne! — wołała ode drzwi. — Żałuj, że nie pojechałeś ze mną. Times Square o północy wygląda naprawdę jak serce świata.

— Raczej pępek z wbitym kolczykiem — mruknął półgłosem.

— A te teatry! Byliśmy z Thomasem na musicalu. Akurat udało się dostać bilet na *Króla Lwa*. Niby bajka dla dzieci, ale ponad dwie godziny patrzyłam jak urzeczona. Ta sprawność, technika, kostiumy, zrobili nawet mały staw... — opowiadając, zrzucała nowe pantofelki. — Trochę mnie poobcierały. Jutro pójdę w adidasach.

— A gdzie tym razem chcesz się wypuścić?

— Umówiłam się wcześniej rano z moim kuzynem, Zdziśkiem. Mamy zwiedzić dolny Manhattan.

— Myślisz, że nasza ochrona cię puści?

— Rozmawiałam już z Robbym, pojedzie ze mną.

— A gdzie pan Cheng? — zapytał, starając się, by zabrzmiało to jak najnaturalniej.

— Musiał wyjechać — odpowiedziała z lekkim żalem w głosie. — Dokładnie kiedy wychodziliśmy z teatru na Broadway, zadzwonił telefon. Musiało to być jednak coś ważnego, bo słuchał niezwykle skupiony, nie dyskutował z rozmówcą, tylko skwitował wszystko krótko: „Już jadę”. Gdy spytałam: „Co się stało?”, odparł podirytowany: „Was to nie dotyczy. W Langley znów dostali biegunki. Wybacz, ale nie mogę ujawnić żadnych szczegółów”. Wyglądał na zmartwionego. Kiedy odwoził mnie do domu, próbowałam pociągnąć go za język. Z rzucanych przez niego monosylab zrozumiałam, że w centrali pojawiły się jakieś niepokojące informacje, chyba z Bliskiego Wschodu. Coś się szykuje na świecie. Nic więcej nie wiem. Dopiero kiedy żegnaliśmy się pod domem, poprosił, abym na siebie uważała, unikała wielkich imprez, ruchliwych miejsc. On sam co najmniej do końca tygodnia może być nieosiągalny.

— Ale co konkretnego grozi? Nowa wojna...?

— Nie wiem, ale ma złe przeczucia.

— Pewnie ma powody — skomentował jej opowieść Sulewski.

Dopiero teraz zwróciła uwagę, że w trakcie całej rozmowy siedział w ciemnym kącie tyłem i ani razu się do niej nie odwrócił. Zaintrygowana podeszła i dotknęła jego twarzy.

— Płakałeś?! — wykrzyknęła.

Energicznie otarł oczy.

— Wspomnienia i whisky to zły koktajl — powiedział.

— Nie udawaj. Mów prawdę. Ja też trochę wypiałam.

— Bałem się, że nie wrócisz. Że ty i Thomas...

— Idiota. Moje serce jest zajęte. Beznadziejnie. I to przez kogo. Przez mego duszpasterskiego asystenta.

— Naprawdę? — wstał i wbrew sobie objął ją. — Od kiedy?

— Od początku.

Nie chciał, ale alkohol pozbawił go siły woli. Pocałował ją. I nie był to beznamiętny pocałunek starego katechety, raczej nagłe zetknięcie dwóch róż wilgotnych, dojrzałych, rozwartych.

— Nie boisz się, że pójdziesz do piekła? — zażartowała.

— Piekło jest tam, gdzie nie ma ciebie!

Można wyobrazić sobie konsternację obu aniołów stróżów, a także technika FBI, monitorującego lokal. To, co nastąpiło potem, wykazywało wszelkie cechy transu, a zarazem celebrowanego misterium. Nie miało w sobie nic z rozpaczliwej niecierpliwości, zabójczego pośpiechu. Było raczej zwolnionym tańcem bez muzyki. Bo rzeczywiście tańczyli.

Objęci, połączeni pocałunkiem, kołysali się, zbliżając coraz ciaśniej, wirowali jak na zwolnionym filmie.

Ona rozpiniała guziki jego koszuli z częstotliwością jednego na obrót, on z przymkniętymi oczami poddawał się nastrojowi chwili, rosnącemu szaleństwu. Pomógł jej ściągnąć koszulkę, rozpiął staniczek... W pewnym momencie zapytał cicho:

— Jesteś pewna, że tego chcesz?

— Niczego w życiu nie byłam bardziej pewna. Pociągnęła go w stronę łóżka łagodnie, ale władczo. Świat nie przestawał wirować. Zasromani aniołowie uciekli w głąb tapet. Światła rozmazały się i przygasły. Wypełniała ją poezja w nieznanym dotąd języku, w jego głowie były dzwony i spadały płatki kwiatów — czerwonych róż, bladoróżowych tulipanów...

I oto byli jak Adam i Ewa. Nadzy, jedyni, niepowtarzalni. Trochę przestraszeni, trochę zakłopotani. Całował jej usta, piersi. Brzuch. A ona powtarzała słowo — zakłęcie, uniwersalny PIN, kod dostępu do jej sezamu: „Chodź, chodź!”

Kiedy w nią wchodził, krzyknęła.

Zobaczył łyzy. Zatrzymał się.

— Dalej! — zawołała.

Poszedł więc dalej ku arkadyjskim wyżynom rozkoszy, owym zakazanym łąkom Edenu, gdzie wszystko pachnie miodem i mlekiem, niebo ma zawsze kolor różowego poranka, a krople rosy mają smak łez szczęścia. Gdzie wszystko jest możliwe, łącznie z przekroczeniem własnego *ego*. Nie ma bólu, samotności ni rozterek. Jest za to zespolenie tak pełne, jak zrośnięcie dwóch połówek rajskiego owocu, jak powrót do dzieciństwa, jak nagła konstatacja: „Ja umiem latać!”

Lecieli więc ponad miastem, które nagle zmałało u ich stóp, ponad Ameryką, nie większą niż poduszka, i oceanem — plamą krwi na prześcieradle...

Podobno w momencie śmierci widać całe życie, i Paweł oglądał je teraz. Przelatujące stop — klatki wieczorów i poranków, zdarzeń, o których słyszał, ale nigdy nie widział, uśmiech pochylonej nad jego łóżeczkiem matki i twarz ojca, gdy umierał.

Kiedy obojgiem targnął paroksyzm rozkoszy, omal nie krzyknął: „Mario!”.

Po policzkach Dominiki płynęły łzy.

— Zawsze chciałam, żeby to się stało właśnie tak — szepnęła.

Zrozumiał.

— Jak to? To ja byłem... pierwszy? A ci wszyscy inni?

Uśmiechnęła się szelmowsko:

— Kłamałam.

A potem wtuliwszy się w niego, zapytała:

— Nie zostawisz mnie już nigdy, prawda?

— Nie zostawię! Może też kłamał.



## Wtorek — środa

Podziemne pomieszczenie miało kształt kiszki i — jak twierdzono — przed laty przetrzymywano tu więźniów, których chciał osobiście przesłuchać Józef Wissarionowicz Stalin. Legenda głosi, że to właśnie tu skamlał o swoje życie „ulubieniec partii”, Mikołaj Bucharin, według innej to tu Kamieniew, a może Zinowiew otrzymał zapewnienie samego „Koby”, że dzięki samooskarżeniom ujdzie z życiem i w areszcie domowym dożyje późnego wieku nad jakimś ciepłym, nigdy niezamarzającym morzem. Świeższe podanie mówi, że w tej samej celi spędził swoje ostatnie dni Ławrentij Beria („Mój Himmler” — jak określił go sam Generalissimus w rozmowie z Rooseveltem), pisząc niezliczone listy do partii i rządu, jakby nie wiedział, że żaden papier nie zdoła powstrzymać ołowianego pocisku.

Tego wtorku około południa spotkało się tam dwóch ludzi, z których, mówiąc eufemistycznie, jeden posiadał wielką wiedzę, a drugi wielką władzę, zdolną z tej wiedzy zrobić użytek.

Obaj byli wyjątkowo poważni. Drobniejszy z postury przebiegł wzrokiem treść raportu.

— Czy to pewne? — zapytał postawniejszego.

— Sygnał mieliśmy już wczoraj, z dwóch źródeł. Dzisiejszy stanowi tylko potwierdzenie.

— Rozumiem. A nasi przyjaciele?

— Nic nie wiemy. Albo bardzo mało. Bałagan informacyjny, walka podjazdowa różnych agencji. Animozje i urazy.

— Powinienem zadzwonić, ostrzec... Jeszcze jest czas.

Wyższy milczał.

— Byłby to milowy krok w naszych stosunkach... Powinienem to zrobić... — powtórzył szczupły.

— Jest pan pewien, że nasza bezinteresowna pomoc powstrzyma ich przed ujawnieniem dysku Omega?

— Nie, ale...

— Może wyjść na jaw operacja „Galeria”, Drezno...

— Mimo wszystko.

— Przecież mogłem się spóźnić — nalegał rozmówca. — Raport z Damaszku mógł nie przebić się przez zatłoczone łącza, ktoś mógł go przeoczyć... Zadzwoni pan później, z wyrazami serdecznego współczucia.

Drobny mężczyzna wpatrywał się w ścianę pokrytą elegancką boazerią, za którą ukryto ileś warstw dźwiękoszczelnych ekranów, ołowianych osłon, i zastanawiał się, czy gdzieś w głębi jest jeszcze ten stary mur, na który prysnął inteligentny, acz zbrodniczy mózg wielkiego Berii.

\*

Sulewski obudził się krótko po siódmej. Pościel, poduszki, powietrze pachniały Dominika, jednak jej część posłania była pusta. Czyżby niesamowita noc miała okazać się tylko snem? Nie. Obok, na stoliku, zobaczył kartkę, a na niej kilka zdań:

*Nie chcę cię budzić, Pawełku. Umówiłam się z kuzynem, ma mi pokazać Nowy Jork z tarasu widokowego najwyższego wieżowca, w którym pracuje. Nic się nie martw. Jadę tam z ochroniarzem. Spotkamy się o 11 w Battery Park, przy przystani, z której odchodzą wycieczkowe stateczki na Staten Island i do Statui Wolności. Jeśli nie będziesz mógł przyjechać, zadzwoń na komórkę Robby'ego. Twoja na zawsze D.*

Jeden z ochroniarzy, ten buldogowaty, siedział w kuchence na półpiętrze i pił kawę.

— Zaparzyć i panu? — zapytał.

— Puściliście ją samą do miasta? — w głosie Pawła zabrzmiał wyrzut.

— Szef się zgodził. Pojechał z nią Robby. To świetny gość. Proszę się niczego nie obawiać.

Sulewski zrobił sobie jajecznicę i zadzwonił do Smitha. Ten początkowo nie chciał słyszeć o wycieczce Pawła do miasta, później ustąpił, ulegając sugestii, że skoro próby kamerowe przewidziano dopiero na trzecią po południu, to wolne przedpołudnie można wykorzystać na relaks. Przed spotkaniem z Faltynowiczówną Sulewski chciał odwiedzić katedrę św. Patryka na Piątej Alei. Dotąd właściwie nie był jeszcze na Manhattanie.

Ze swej strony, w ramach kompromisu, zgodził się na towarzystwo trzech ochroniarzy, którzy otrzymali polecenie, by nie spuszczać z niego oka. Buldog należał do świetnych kierowców i mimo porannych korków w rekordowym czasie przebił się przez Bronx i Haarlem, przejechał kilkaset metrów pod prąd i za dwadzieścia dziewięć znalazł się na Piątej Alei. Jasne, neogotyckie wieże świątyni odbijały się w przeszklonej ścianie pobliskiego, wielokrotnie od niej większego wieżowca.

Nie mogąc zaparkować, buldog obiecał wrócić za pół godziny. Gdyby zmienił plany, mieli wezwać go przez telefon. Dwaj agenci wysiedli razem z Sulewskim.

— Jeśli pan pozwoli, poczekam na zewnątrz — powiedział starszy, siwiejący Murzyn. Młodszy, typ byczka — sportowca, widać katolik, wszedł z Pawłem.

Przestronne wnętrze o tak wczesnej porze wydawało się prawie puste. Sulewski klęknął w bocznej nawie przed gorejącym płomykiem, adorującym Najświętszy Sakrament, i zaczął się modlić. Czuł się dziwnie. Podle, a zarazem nie potrafił zdusić wewnętrznej radości, rozsadzającej mu pierś. Miał oto wyznać Bogu, iż go zdradził. Zaparł się Go, porzucił, przedłożył miłość doczesną ponad powołanie. I co gorsza nie potrafił wzbudzić w sobie za ten grzech żalu. Odmówił *Ojcze nasz*, *Zdrowaś Mario*, a potem próbował, tak jak dawniej, mówić wprost, własnymi słowami:

— Ty, Panie, nigdy się nie mylisz, ale ja...? Czy nie mam prawa do błędu? Czy nie mam prawa uznać, iż jestem zbyt słaby, aby poświęcić wszystko Tobie, że chcę mieć normalną rodzinę, kobietę, którą kocham, dzieci...? Zali muszę być księdzem? Kocham Cię, Mój Boże, i od paru dni jestem przekonany, że mogę naprawdę dużo zrobić dla chrześcijaństwa, dla świata, dla Polski. Staralem się być dobrym kapłanem. Ale czy byłem człowiekiem spełnionym, czy nad moim zapałem nie wzięła górę rezygnacja? A co by się ze mną stało za parę lat? Zostałbym pijakiem jak Albert, może cynikiem, jak Vittorio, albo dwulicowcem, jak wielu... Czy nie lepiej będzie, jeśli powiem po prostu: „Przepraszam”... Pomyliłem się. Zawiodłem Cię. Ale przecież nie przestanę Ci służyć. W każdym miejscu i o każdej porze. Zrozum mnie. Błagam.

Ktoś musiał otworzyć na przestrzal drzwi, bo płomyki świec przygasły, a chłód musnął twarz księdza. Znak? Bzdura.

Poszukał wzrokiem agenta — osiłka, ale miejsce, które jeszcze przed chwilą zajmował w głównej nawie, świeciło pustką. Paweł obszedł świątynię, ale nigdzie go nie znalazł.

Co dziwniejsze, przed drzwiami kościoła nie było również jego starszego kolegi. Ani czarnego cadillaka. Coś się stało?

Ogarnął go niepokój. Oglądał wiele filmów kryminalnych i według schematów scenariuszowych mogło to oznaczać tylko jedno — wystawiono go.

Rozejrzał się, szukając w tłumie kandydatów na snajpera, nożownika, dusiciela.

„Co się, u licha, dzieje?”

Odczekał jeszcze chwilę, ponownie zajrzał do kościoła. Nic! Zachowując wzmożoną czujność, jakby to mogło pomóc, ruszył Piątą Aleją w dół Manhattanu. Po przejściu paru metrów miasto wydało mu się jakieś inne. Ludzie trzymali przy uszach telefony komórkowe. W przecznicy, przed sklepem ze sprzętem elektronicznym zebrał się spory tłumek. Nie lubił być gapiem, ale skierował się w tę stronę. Wszystkie telewizory pokazywały jeden obraz — smukły drapacz World Trade Center, z którego wydobywały się kłęby dymu. Ludzie mówili o jakimś wybuchu, ktoś wspominał o katastrofie awionetki...

W tym momencie z bliźniaczej wieży trysnął słup dymu i ognia.

— *Oh, shit!* — zawołał ktoś.

Sulewski popatrzył na zegarek. Była 9.04 czasu nowojorskiego. Zrozumiał, dlaczego zniknęła jego



ochrona. FBI miało teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż zajmowanie się gwiazdą telewizyjnego programu.

Następne trzy kwadranse biegł, przypominając sobie szkolne wyścigi na pięć kilometrów. Nie miał innego wyjścia. Ulice były kompletnie zablokowane, a istne rzeki ludzi, wypływające z podziemnych tuneli, dowodziły, że metro nie działa.

Piąta Aleja zakrzepła w gigantycznym korku. Podobnie stało się na przecinających ją ulicach.

W pędzie minął Nowojorską Bibliotekę Publiczną, Empire State Building, z którego pośpiesznie wyprowadzano szkolne wycieczki, na wysokości Madison Square przeciął idący zygzakiem Broadway.

Przystając na chwilę, słuchał ludzi, wymieniających gorączkowo informacje. Coraz częściej mówiono, że w oba wieżowce uderzyły wypełnione pasażerami samoloty. Któż poważyłby się na takie szaleństwo? Na wysokości Soho usłyszał podawaną z ust do ust wiadomość o uderzeniu w Pentagon i ewakuacji Kongresu. Apokalipsa!

Kaniony ulic rozbrzmiewały wyciem karetek, przebijających się mozolnie wozów straży pożarnej i aut policji.

Wielkie miasta są przeważnie obojętne na dramaty dziejące się w innych dzielnicach. Tym razem, czy to przebiegając eleganckie Greenwich Village, czy przedzierając się przez zatłoczone Chinatown i Little Italy, odnosił wrażenie, że ten cios trafił jednakowo we wszystkich. Niepokój, zgroza, ale nie panika udzielały się mieszkańcom bez względu na kolor skóry i status społeczny.

Wyglądało jednak, że po pierwszym szoku sytuacja znalazła się pod kontrolą, do działania przystąpili strażacy i policjanci. Lada chwila helikoptery powinny zacząć ewakuować ludzi uwieczonych na najwyższych piętrach.

Na wysokości Canal Street zetknął się z główną falą ludzi ewakuowanych z wieżowców. W gęstniejącym tłumie uciekinierów szli dyrektorzy w nieskazitelnych garniturach i zamiatacze, którzy nie zdążyli pozbyć się swoich kitli, hostessy i najwyższej klasy urzędniczki. Czy była wśród nich Dominika? Raczej nie, z pewnością udała się do Battery Park, tam, gdzie się umówili. Posuwał się coraz wolniej. Zmęczenie i płynące z przeciwka ludzkie mrowie uniemożliwiały dalszy bieg. Docierały do niego urywki zdań, skrawki rozmów. Zdjęci grozą świadkowie opowiadali o nieszczęśnikach wyskakujących w obawie przed ogniem z najwyższych pięter wieżowców. Powtarzały się wiadomości o zamknięciu giełdy na Wall Street. Spodziewano się kolejnego zamachu, ktoś z radiem przy uchu wołał, że czwarty samolot z porwaczami kieruje się na Biały Dom. Im bardziej na południe wyspy, tym silniejszy stawał się zapach dymu i ciemniejsze niż zwykle, mimo doskonałej pogody, niebo nad miastem. Na Church Street po raz pierwszy usiłowano go zawrócić, po raz drugi, tym razem zdecydowanie, zagrodzono mu drogę pod ratuszem.

— Tam jest niebezpiecznie! — powiedział policjant

— Ja muszę, jestem księdzem — w powietrzu nakreślił znak krzyża i funkcjonariusz się cofnął.

Minęła dziesiąta. Przeciskając się wśród wozów policyjnych i ekip telewizyjnych, dotarł aż do wylotu Fulton Street. Przed nim pojawiła się scena dramatu — obie wieże stały w płomieniach. Nie było mowy, żeby iść dalej. Naraz wydało mu się, że śni. Cały świat zafalował jak na filmie *Dzień Niepodległości*. Wierchołek wieży południowej zachwiał się, a następnie, jak gdyby ekipa saperów wysadziła jego fundamenty, wieżowiec zniknął za oddzielającymi ich domami. Paweł na moment stracił poczucie rzeczywistości, nie słyszał huku, choć ten musiał być ogłuszający, jak osłupiały patrzył na kłęby dymu i kurzu, wlewające się w ulicę, ogarnął go mrok, ktoś pociągnął go za sobą, potknął się o leżącą kobietę, podniósł ją machinalnie i rzucił się do ucieczki. Wciskający się do płuc dym i azbest nie pozwalały oddychać, oczy łzawiły. Z nieba padał prawdziwy deszcz papieru, plastiku, szkła. „Mój sen, mój sen!” — pomyślał.

Do siebie doszedł dopiero na moście Brooklińskim, niesiony przez zwarty tłum ludzi — brudnych, oszołomionych, przerażonych. Szedł wolno, zastanawiając się, czy nie wrócić. Przebicie się w stronę Battery Park było jednak niemożliwe. Poza tym teraz Dominika mogła znajdować się wszędzie. Dobre pół godziny stał na krańcu mostu od strony Long Island, zaglądając w twarze tysięcy nowojorczyków. Dominiki wśród nich nie było.

Tam, o 10.29, w sto cztery minuty po uderzeniu pierwszego samolotu, dogonił go grzmot walącej się wieży północnej.

\*

Nie mogąc zrobić nic więcej poza oddaniem krwi w jakimś szpitalu, wrócił — przez Brooklyn, Queens, trochę pieszo, trochę przygodnymi środkami komunikacji — do mieszkania w Bronksie. Było to jedyne miejsce, w którym mógł czekać na Dominikę. Zastał je puste. Ani śladu ochroniarzy. Zniknęła też charakterystyczna furgonetka zaparkowana za rogiem. Prawdopodobnie ich wezwano. FBI miało teraz pełne ręce roboty. Po mieście krążyły plotki o dalszych planowanych zamachach na Holland i Lincoln Tunnel, na mosty, na Penn Station.

Telefon w mieszkaniu nie miał automatycznej sekretarki, toteż nie mógł liczyć, że odsłucha jakąkolwiek wiadomość. A teraz aparat milczał.

Spróbował sam zadzwonić do Atkinsa, ale komórka nie odpowiadała, a Centrala NBA, dokąd wreszcie się dodzwonił, uparcie twierdziła, że nikt o podobnym nazwisku tam nie pracuje. Później usiłował złapać porucznika Chenga, niestety, okazało się, że padła cała sieć komórkowa w NYC. Obdzwaniał szpitale, zorganizowane przez burmistrza Giulianiego centrum informacji o losie ofiar. Na próżno.

Zdenerwowany siedział do późnej nocy przed telewizorem, oglądając transmisje, słuchając relacji, ocen, prognoz. Wielokrotnie powtarzane obrazy walących się kolejno budynków kompleksu WTC, eksodusu nowojorczyków, paniki w waszyngtońskim Kapitolu i ciżby kongresmenów, uciekających po stromych schodach amerykańskiego parlamentu, uderzenia w Pentagon, roztrzaskanego czwartego

samolotu w Pensylwanii. Patrzył i czekał.

Czasem bez większego powodu zrywał się z miejsca, przemierzał nerwowo mieszkanie, wyglądał przez któreś z okien i znów siadał. Podczas jednego z takich spacerów dotarł do pokoju Dominiki. Zajrzał pod poduszkę. Pamiętnik tkwił na zwykłym miejscu. Wczorajsza data — 10 września — obwiedziona była wielkim czerwonym kółkiem z wykrzyknikiem. Kiedy zdążyła go postawić? Wówczas gdy poszedł do łazienki czy kiedy zasnął na dobre? Poniżej znajdowało się tylko jedno zdanie drukowanymi literami: „Czy jestem jak Maria?” „Pytała siebie czy jego? Maria?” — ugodzony nagłą myślą osunął się na łóżko.

„Maria!” — podejrzenie, które tliło się w nim od rana, wybuchło z siłą ładunku dynamitu. Czyżby historia się powtarzała?

„Maria!!!”

Opadł na kolana sparaliżowany tym, co pomyślał:

— Panie, dlaczego mi to robisz? Dlaczego! — zawył.

A potem próbował się modlić, ale dziś — nie potrafił.

\*

Obudził się wiele godzin później z twarzą wtuloną w blat stołu, niewyspany, obolały. Mieszkanie nadal było puste. Nikt go nie odwiedził, nikt nie zadzwonił, jakby cały świat zewnętrzny przestał istnieć.

Dzień zapowiadał się pogodny, jednak niebo nad Bronksem, mimo sporego oddalenia od południowego cypla Manhattanu, przysłał bury całun.

Nie potrafił niczym się zająć. Kolejne próby odnalezienia Dominiki w szpitalach i kostnicach spełzły na niczym. Pił właśnie trzecią kawę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

— Dominika?

Pan „Smith” nigdy nie miał pogodnej twarzy, teraz jednak przypominał wyjątkowo posępnego rottweilera.

— Nie mam niestety dobrych wiadomości — rzucił zamiast powitania. — Spadło to wszystko na nas. FBI zabrało swoich ludzi...

— Zauważyłem. Usiłowałem od wczoraj dodzwonić się do pana Atkinsa... — zaczął Paweł, prosząc agenta, by usiadł.

— Dyrektor nie żyje! — przerwał mu Smith i uprzedzając dalsze pytania, dodał: — Czysty przypadek, znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

— Co to znaczy?

— Na dziesiątą zaplanowano spotkanie w pańskiej sprawie. W Pentagonie — dodał z naciskiem, jakby to tłumaczyło wszystko. — Szef należał do ludzi chorobliwie punktualnych. Był na miejscu za dwadzieścia dziesiąta... A jak pan zapewne słyszał, o dziewiętej czterdzieści trzy doszło do uderzenia w amerykańskie Ministerstwo Obrony... Atkins zmarł godzinę później w szpitalu Bethesda, wskutek odniesionych ran.

— Rozumiem. Bardzo mi przykro. I dziękuję za informację. Przez ostatnią dobę byłem kompletnie zdezorientowany, ale teraz...

— Nic pan nie rozumie, ojczulku! — z mimiki Smitha wynikało, że sam nie lubi siebie za to, co musi powiedzieć. — Nasze dotychczasowe układy tracą sens. Są niebyłe. Nigdy nie składaliśmy panu żadnych propozycji...

— Jak to, a obietnice pani Rice? A nasze spotkanie w kwaterze NBA...

— Pani Condoleezza Rice nie odwiedzała w ostatnim czasie Fortu Meade — stwierdził zimno Smith.

— Czy ktoś tu zwariował? — Paweł miał wrażenie, jakby śnił na jawie jakiś nieprawdopodobny horror.

Agent usiadł wreszcie i wyłopał resztkę niedopitej przez księdza kawy.

— Świat, panie Kowalsky. Świat zwariował! — powiedział, a potem zmienił ton. — Jestem zmuszony prosić pana o ten dysk.

— Jaki dysk?

— Proszę nie żartować. — Smith podszedł do szafy i wyciągnął z marynarki Sulewskiego opakowane w plastikowe pudełko CD. Potem wyszczerzył zęby, co miało wyrażać uśmiech. — Na pańskiej karcie jest jeszcze, tak na oko, pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to niezła cena za coś, co nigdy nie istniało — tu energicznie przełamał płytkę i schował ją do kieszeni.

— Nic z tego nie rozumiem — wybąkał Paweł, zbyt zaszokowany, żeby zaprotestować.

— I tego panu zazdroszczę! Są pewne sprawy, o których lepiej nic nie wiedzieć. O jednym mogę pana zapewnić, nic panu nie grozi. Może pan zostać w Stanach. Może pan wracać do kraju. W świetle posiadanych dokumentów... o tu, proszę, jest jeszcze prawo jazdy i polisa ubezpieczeniowa, od dziesięciu lat jest pan obywatelem USA.

— A Dominika?

— Dysponujemy tylko raportem funkcjonariusza, który towarzyszył jej wczorajszego ranka. Z jego relacji wynika, że Zdzisław Nowak, jej kuzyn, czekał na nią na stacji metra pod WTC. Robby pożegnał się z nimi w hallu południowej wieży o 8.31 i widział, jak wsiadają do szybkobieżnej windy. Miał czekać na nią przy wyjściu. Od tej chwili nie mamy o niej żadnych wiadomości. Ochroniarz, nie mając nic szczególnego do roboty, spacerował po okolicy, zajrzał do sklepu z elektroniką, a kiedy pierwszy samolot uderzył w wieżowiec, oberwał jakimś odłamkiem i teraz przebywa w szpitalu. Nic więcej o miss Kowalsky nie wiemy. Oczywiście, jeśli tylko czymś będziemy dysponować, poinformujemy pana. W związku z tym prosimy przez najbliższe dni nie opuszczać Nowego Jorku.

Na progu Smith odwrócił się jeszcze. Księdzu wydało się, że na moment z jego kamiennej twarzy spada maska.

— Bardzo mi przykro, że tak się porobiło — powiedział szybko i wyszedł.

\*

Po wejściu ochroniarza, aby czymś się zająć, zrobił w mieszkaniu porządku. Posłał łóżka, pozmywał naczynia, zebrał do walizki rzeczy Dominiki. Potem, nie mogąc dłużej wytrzymać w pustym domu, wybrał się na spacer. Doszedł do pobliskiego college'u, z którego odbywać się miały transmisje. Po wozach telewizyjnych nie było ani śladu. Ochroniarz szkoły, barczysty Mulat, niewątpliwy beneficjent transgenicznej żywności, nie poznał Sulewskiego.

— Wszyscy wyjechali? — zapytał Paweł.

— Jacy wszyscy? — zdziwił się ochroniarz. — W szkole trwa remont. Nikogo nie ma.

— Myślę o ekipie telewizyjnej.

— Ekipa telewizyjna, u nas? — Mulat wzruszył ramionami. — Pomyliło ci się, koleś, z tą szkołą w Haarlemie, gdzie w zeszłym tygodniu młody ćpun zastrzelił nauczycielkę.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Ksiądz dotarł do skraju parku van Cortlanda.

Jeszcze przedwczoraj wesoły i pełen ludzi, dziś sprawiał dziwne wrażenie — zniknęli prawie wszyscy spacerujący, opustoszały boiska, tak jakby nowojorczyki zdecydowali się przetrwać tragedię w domowym zaciszu. Musiał dobrze wysilić wzrok, aby daleko, w perspektywie alejki, zauważyć pojedynczą sylwetkę samotnego amatora joggingu.

Sulewski myślał — ale im więcej się zastanawiał, tym mniej rozumiał. Czemu nagle stał się dla władz piątym kołem u wozu? Tak zbędnym, że starano się zatrzeć jakiegokolwiek ślady współpracy? Intuicyjnie czuł, że ma to związek z wczorajszą tragedią, ale na Boga, jaki? Usiadł na ławce i

zadumał się. Samotny jogger minął go, pozdrawiając uniesieniem ręki, i zaraz ucichł chrzęst żwiru pod jego stopami.

A potem zorientował się, że ktoś stoi tuż za nim. Duży i silny.

— W zasadzie nie powinienem się z tobą spotykać — powiedział Thomas Cheng, sadowiąc się obok na ławeczce.

— A to czemu, zarazam dzumą? — Paweł z wysiłkiem uśmiechnął się na widok rosnącego Koreańczyka.

— Po pierwsze, przejęło cię NSA.

— Nie wiem, czy już słyszałeś, ale NSA wypięło się na mnie.

— Wiem, między innymi dlatego tu jestem. Zapalisz? — wyciągnął paczkę mocnych papierosów.

— Nie palę.

— Mała rzecz, a cieszy! — skomentował Thomas i zapaliwszy sam, zaciągnął się głęboko. — Nie wiem, co wam obiecali i jak zamierzali wykorzystać ciebie i materiały z dysku, mogę ci co najwyżej powiedzieć, dlaczego tego nie robią.

— Mów!

— W kilkadziesiąt minut zmieniły się priorytety naszej polityki. Dziś i pewnie jeszcze bardzo długo będzie nimi wojna z terrorem. Długa, wyczerpująca, potrzebująca sojuszników, a przynajmniej neutralnych partnerów. Czy w tej sytuacji można sobie pozwolić na destabilizację aktualnej ekipy na Kremlu, na zamieszanie w Polsce? Nowy car jest dziś największym przyjacielem prezydenta, czy możemy więc teraz wyjawić całą przeszłość jego i jego ludzi...?

— A mój kraj? Za półtora tygodnia wybory... Postkomuniści mają wygraną w cuglach.

— Popatrz na to z szerszej perspektywy. Dla naszych strategów sytuacja jest wygodna. Miecz Damoklesa jest skuteczny, póki wisi...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pewni ludzie w Warszawie wiedzą, że my o nich wiemy. Zaręczam ci, że wyzwoli to w nich wielką erupcję miłości do Ameryki. Staną się naszymi najwierniejszymi sojusznikami. Toteż na razie miecz nie może spaść, choćby i powinien.

— A prawda, a sprawiedliwość?

— To pojęcia ze sfery moralności, nie polityki. — Porucznik cisnął peta i wdeptał go w ziemię. — A tak, przy okazji. Nie musisz martwić się o swój los. Na wszelki wypadek jeszcze raz zmienimy ci tożsamość, postaramy się, by nie zbywało ci na niczym.

— A Dominika?

Thomas zareagował, jakby zabolalo go w piersiach. Pobladł, ale nic nie powiedział.

— Ty coś wiesz! Mów! — Paweł zerwał się z ławki i potrząsnął porucznikiem. — Mów!

— Wiem, podobnie jak ty, że ze swoim kuzynem, konserwatorem tarasu widokowego, mówiąc banalniej — sprzątaczem, o wpół do dziewiątej wjechała na taras widokowy południowej wieży. Punkt dziesiąta zadzwoniła do mnie i nagrała się na moją sekretarkę. Prawdopodobnie ktoś pożyczył jej telefon. Nagranie jest słabe, ale wzmocniłem je, przegrywając na magnetofon, posłuchaj:

*Thomas, to ja, Dominika... ugrzęzłam w windzie. Nie możemy się w żaden sposób wydostać. Czekamy, aż ktoś nas oswobodzi. Ludzie są przerażeni. Powiedz Pawłowi, że go bardzo kocham, i powiedz mu...*

— Dlaczego urwała, co się stało? — wykrzyknął ksiądz.

— Nie wiem, może sieć padła, może komórka straciła zasięg. W każdym razie od tego momentu południowa wieża trzymała się jeszcze przez pięć minut. Nie będę cię oszukiwał. Jeśli dziewczyna nawet jakimś cudem wydostała się z windy, miała niewielkie szansę na opuszczenie budynku...

Z piersi Pawła dobył się szloch. Cheng miał również wilgotne oczy. Przygarnął Polaka do swej szerokiej piersi i mówił cicho, uspokajająco:

— No, nie płacz. Jesteś w końcu tym pieprzonym księdzem. Musisz uwierzyć w cud! Wymódl go albo załatw go u tej waszej Matki Boskiej Częstochowskiej! Módl się...

# Zakończenie

Jest w Montanie, a może raczej w Wyoming lub Oregonie niewielkie miasteczko — wśród gór i lasów, opodal rzeki rozlewającej się srebrzystym zakolem — ot, kilkadziesiąt domów bardzo starych, trochę nowszych, obłożonych sajdingiem — parę sklepów, stacja benzynowa. Na samym skraju sosnowego lasu kościółek, właściwie baraczek z bali, wzniesiony jeszcze przez pionierów w XIX wieku, pod wezwaniem Matki Bożej. Całe lata księża przybywali tu jedynie parę razy w roku, a zdarzały się i takie lata, kiedy nie przyjeżdżali wcale. Jednak ze dwie zimy temu zagnieździł się tam na stałe ojciec Peter Salter i nie przejmując się, że grono praktykujących katolików ogranicza się w mieścinie ledwie do kilkunastu wiernych, spełniał posługę z takim oddaniem, że zyskał powszechną sympatię. Bywało nawet, że zachodzili do niego członkowie innych wspólnot: prezbiterianie, kwakrzy, metodyści, a nawet jeden mormon. Salter był jeszcze człowiekiem dość młodym, choć kompletnie siwym, o twarzy naznaczonej głębokimi bruzdami, świadczącymi o ciężkich przejściach, które postarzyły go o dobre kilkanaście lat. Ojciec Peter, jak sam powiadał, pochodził z Południowej Afryki i stąd zapewne brał się jego cudzoziemski akcent, który bawił często jego młodych podopiecznych, nie odbierając mu jednak ani sympatii, ani autorytetu. Mieszkał sam. Własnoręcznie zbudował sobie dom i stajnię, kupił bowiem kilka koni i nieraz wyprawiał się konno w okoliczne góry. Z jednej ekspedycji przywiózł orła ze złamanym skrzydłem, z drugiej niedźwiadka sierotę. Parafianie ani się spostrzegli, jak wokół kościółka wyrósł mały zwierzyniec. Za domem założył niewielki sad, postarał się o parę uli. I żył jak święty Franciszek, gotów o dowolnej porze śpieszyć każdemu z pomocą.

Tego roku jesień nadeszła szybciej niż zwykle, co zapowiadało długą i mroźną zimę. Dosłownie w ciągu paru dni klony, buki i dęby rozzłociły stoki gór, a ostatnie klucze ptactwa poznikały spiesznie za linią horyzontu. Za to z północy nadciągnęły stada wron, uchodzące wedle miejscowych przesądów za ziemskie wcielenia dusz potępionych.

Pierwszy piątek każdego miesiąca był tradycyjnym dniem spowiedzi. Październik nie był tu wyjątkiem. Ksiądz Salter dość szybko wyspowiadał całą szóstkę młodzieży i jedną starą dewotkę, która przychodziła do konfesjonału częściej, niż powinna, zważywszy błahość rzekomych przewin. Miał zamiar zakończyć posługę, kiedy usłyszał na drewnianej podłodze małej świątyni lekkie kroki. Jakiś cień pojawił się za wąską kratką konfesjonału.

„Kobieta, młoda, chyba nietutejsza” — pomyślał Peter. Nie zdziwiło go to szczególnie, bo przywykł, że jego niedzielne kazania ściągają więcej ludzi, niż liczyła jego parafia, bywało też, że goście z motelu lub podróżni tknięci nagłym impulsem zjeżdżali z międzystanowej trasy i przybywali do niego otworzyć swą duszę. Kobieta klęknęła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — szepnęła.

— Na wieki wieków — odpowiedział.

— Chciałam się wyspowiadać, ojcze, bom bardzo zgrzeszyła.



Zadrzał, młody dźwięczny głos nazbyt silnie poruszył niezabliźnioną ranę.

— Mów śmiało, córko. Jakiż to grzech ciąży na twoim sumieniu?

— Po pierwsze kłamstwo. Oszukuję wszystkich.

— Od dawna.

— Mogę podać datę. Od jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku.

— Wielki Boże! — Salter zadrzał po raz wtóry.

— Data nie jest przypadkowa. Byłam tego dnia w Nowym Jorku. Więcej, za dwadzieścia dziewięć, wprowadzona przez mojego kuzyna, szczęśliwego posiadacza zielonej karty, znajdowałam się na tarasie widokowym południowej wieży World Trade Center.

Z konfesjonału dobiegło głębokie westchnienie. Nie uszło ono uwagi penitentki.

— Słucha mnie ksiądz? — zapytała.

— Naturalnie, naturalnie, proszę mówić dalej.

— Zdzisiek doskonale wywiązywał się ze swej roli przewodnika, opowiadał o szczegółach konstrukcyjnych, o ambicjach architekta Minoru Yamasaki, stu dziesięciu piętrach i czterysta dwunastu metrach wysokości... Mnie o wiele bardziej zafascynował widok rozciągający się na południe Manhattanu, na statwę Wolności, na otulony poranną mgiełką most Verazzano... Myślałam też o mężczyźnie mego życia, który dosypiał zapewne razem spędzoną szaloną noc, i z którym za dwie godziny miałam spotkać się na przystani.

Z zamyślenia wyrwał mnie ryk lotniczych silników, odwróciłam się przekonana, że na lądowisku zamierza usiąść jakiś helikopter, i wtedy zobaczyłam, jak ściana północnej wieży eksploduje ogniem, kłębamii dymu, sypią się meble, sprzęty i ludzie. Tak, ludzie. Nasza wieża zakołysała się jak trzcina, targnięta nagłą wichurą. Twarz osmalił mi podmuch gorąca z eksplozji hektolitrowej wysokooktanowej benzyny i jak szmaciana lalka potoczyłam się po tarasie, omal nie wypadając na zewnątrz.

Na moment chyba straciłam przytomność, odzyskałam ją piętro niżej w jakimś biurze, dokąd zaniósł mnie Zdzisław. Tam obmyto mi twarz i dano trochę coli z automatu. Większość personelu pobięła oglądać płonącą bliźniaczkę, a ja, ledwie obwiązawszy zranioną rękę, zaczęłam się domagać, abyśmy natychmiast opuścili wieżowiec.

— Spoko, mała — uspokajał mnie kuzyn. — To jest Ameryka, jesteśmy na wszystko przygotowani. Nic na żywioł, żadnej improwizacji. Jeśli będzie taka potrzeba, zarządzą ewakuację, ale planową.

— Chcę stąd wyjść! Natychmiast! — powtórzyłam histerycznie. Potrząsnął głową.

— Nie słyszałaś, jak przez wewnętrzne głośniki nawoływano do zachowania spokoju? W takich momentach najgorsza jest panika. Wiesz, co by się działo, gdyby wszyscy rzucili się do wind lub

schodów? W obu wieżach pracuje ponad trzydzieści tysięcy ludzi.

— Ale ja chcę stąd wyjść, jak najszybciej! — powtarzałam jak katarynka. — Co będzie, jeśli tamta wieża na nas runie?

— To wykluczone. Uniemożliwia to jej konstrukcja. Był już jeden zamach. W dziewięćdziesiątym trzecim roku. Terrorysty wysadzili w podziemnym garażu ciężarówkę wypełnioną trotylem. Wieżowce nawet się nie zachwiały. Poza tym, nie zapominaj, ja tu jestem w pracy.

Chciałam mu wierzyć, ale niepokój we mnie narastał. Kiedy po raz kolejny odmówił wyjścia ze mną, ruszyłam sama. Początkowo schodami. Przy windach uformowały się kolejki, schody wydawały się puste. Wygodniccy Amerykanie woleli zawierzyć technice niż fatygować nogi.

Najpierw schodziłam, potem coś zaczęło mnie poganiać i zaczęłam biec. Z najwyższego piętra była to dość daleka droga. Pamiętałam, że gdzieś w połowie gmachu znajdują się przesiadki — *skylobbies*. Nagle znalazłam się na wprost wejścia do szybkiej windy, gościnnie otwartej, wyraźnie zapraszającej do środka. Wprawdzie było już dość ciasno, ale się zmieściłam.

Ruszyliśmy w dół, pamiętam, jak patrzyłam na przelatujące cyferki pięter. Dwadzieścia, piętnaście, dziesięć... Byliśmy naprawdę blisko. Naraz poczułam uderzenie i zgasło światło. Z ust ludzi wydarł się okrzyk. Klatka windy jak wypuszczone z dłoni pudełko poleciała w dół. „Koniec” — pomyślałam? Zdziały jednak jakieś blokady. Szarpnęło. Stanęliśmy. Na dach dźwigu posypała się lawina okruchów. Byłam przekonana, że lada moment polecimy dalej. Paru pasażerów modliło się cicho.

— A ty? — zapytał ksiądz.

— Nie wierzyłam w Boga. Zazdrościłam im, że potrafią się modlić. Tymczasem po dłuższej chwili zapaliły się światła awaryjne. Pojawiła się nikła nadzieja, że lada moment nas wyciągną. Upływały jednak minuty i nic się nie działo... Jednemu z mężczyzn, z wyglądu jakiegoś menedżerowi, udało się otworzyć drzwi. Za nimi jednak była naga ściana. Ani skrawka prześwitu ani na dole, ani na górze. Najprawdopodobniej utknęliśmy gdzieś pomiędzy parterem a garażami. Wyjście górą było niemożliwe z powodu lawiny gruzu. A dołem? Było nas zbyt wielu i staliśmy zbyt ciasno, by móc podnieść klapę w podłodze.

Czekaliśmy więc na pomoc z zewnątrz. Co pewien czas stukaliśmy w mur i krzyczeliśmy chórem. Słyszeliśmy ludzi, biegnących po schodach, ale jakoś nikt się nami nie zainteresował. Tymczasem, nie wiedzieć skąd, w szybie pojawił się dym. Znow dwie Murzynki zaintonowały modlitwę, dołączyli do nich wszyscy z menedżerem włącznie.

Jakaś czterdziestoletnia, niezwykle zadbana blondyna, na oko szefowa sekretarek, która cały czas bezskutecznie usiłowała z kimś się połączyć, zwróciła się do mnie:

— A ty, czemu się nie modlisz?

— Bo nie wierzę.

— Nawet teraz?

— Módl się mimo wszystko, do jasnej cholery — huknął na mnie menedżer.

Bez przekonania zaczęłam odmawiać *Ojcze nasz*. Tymczasem zabręczczała komórka w wyciągniętej w górę dłoni blondyny.

— Mam zasięg — powiedziała radośnie. — Czy możecie mnie podsadzić?

Menedżer wziął ją na barana. Rozmawiała chwilę ze swoim mężem, potem chyba z kochankiem. Następnie Murzynki podsadziły menedżera. Chwilę uspokajał swoją matkę. Pożerałam wzrokiem komórkę niczym mroczny owoc pożądania...

— Chce pani zadzwonić — domyślił się mężczyzna — bardzo proszę.

Wybrałam jedyny numer, jaki zapamiętałam, znajomego Koreańczyka, niestety, miał włączoną sekretarkę. Nagrałam ledwie parę słów, kiedy gwałtowny wstrząs sprawił, że aparat wypadł mi z rąk. Dobiegło nas jedno uderzenie, potem drugie. Posypały się okruchy muru. Naraz ścianę przebił jakiś kilof. I ukazała się postać strażaka, szybko poszerzającego otwór.

— Szybko, szybko, wychodźcie — wołał — i biegnijcie schodami w dół, do metra, ale nie na stację, tylko tunelem w drugą stronę.

Wygramoliłam się jako ostatnia, pamiętam doskonale silny uścisk jego pomocnej dłoni. Miał jasną, brodatą twarz, a spod kasku wymykały mu się długie włosy. Przypominał przedwcześnie postarzałego hipisa.

— Leć! — zawołał.

— A pan? — zapytałam.

— Mam tu jeszcze dużo do zrobienia. — Pokiwał mi ręką i ruszył schodami w górę.

Zbiegłam do tunelu metra. Moi współtowarzysze jak zahipnotyzowani pognali w stronę stacji. Ja skręciłam w przeciwną stronę. Nie odbiegłam daleko, gdy wtem chodnik zatrzęsł się cały i poczułam, jak świat wali mi się na głowę. To, jak później się dowiedziałam, runęła wieża.

Ksiądz westchnął głęboko, ale nie przerywał, penitentka zaś kontynuowała:

— Nie wiem, jak długo to wszystko trwało. Pamiętam, że w końcu odzyskałam przytomność. Znajdowałam się w środku tumanu kurzu, gęstego jak worek z makiem. Duszący pył atakował mnie ze wszystkich stron, z chustką przy ustach brodziłam w tej mgłę, potykając się na torowisku, potem wymacałam jakiś boczny korytarz, częściowo przysypany gruzem, czołgałam się nim, byle dalej i dalej. Po jakimś czasie mgła rozjaśniła się i usłyszałam ludzkie głosy. Znów zemdlałam. Kiedy ponownie odzyskałam świadomość, znajdowałam się nad rzeką.

Czekaliśmy na ambulans.

— Była pani w podziemiach, kiedy runęła wieża? — zapytał lekarz. — Do tej pory nie znaleźliśmy tam nikogo żywego. Jak się pani nazywa?

— Co?

— Muszę zapisać pani imię i nazwisko.

— Nie pamiętam.

Naprawdę nic nie pamiętałam. A potem uciekłam.

— Co takiego? — wyrwało się spowiednikowi.

— Nie pamiętałam, kim jestem ani jak się nazywam. Nie miałam też pojęcia, dlaczego ubzdurałam sobie, że lepiej będzie, jeśli wszyscy pomyślą, że nie żyję.

Tę pierwszą noc spędziłam na opustoszałym Manhattanie, z którego ewakuowano większość biur i apartamentów. W jednym z mieszkań znalazłam pasujące na mnie ubrania, w innych trochę biżuterii, pieniądze. Przebierając się, natrafiłam w wewnętrznej kieszeni dżinsów na kartę kredytową, wystawioną na nazwisko Donna Kovalsky. Pewnie moją, ale nie mówiło mi nic to nazwisko. W kieszeni na piersi znalazłam też dysk CD. Nie wiedziałam, skąd się przy mnie wziął, ani co zawierał. Kartę zniszczyłam, dysk zachowałam. Też nie wiem, dlaczego. W komputerach, jakie miałam do dyspozycji, w żaden sposób nie dawał się odczytać.

— Nadal nie wiedziała pani, kim jest? — zapytał Salter.

— Wiedziałam, że jestem Polką, ponieważ myślałam w tym języku, że uciekam, bo grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. To wszystko. W kolejnym opuszczonym biurze znalazłam prawo jazdy na nazwisko Clary Grant.

Zabrałam je. Postanowiłam być Clarą Grant.

— Dowiedziałaś się jednak, kim jesteś? — w głosie księdza zabrzmiał dziwny ton.

— Dużo później. Już w Kalifornii. Miałam męża, którego poznałam dwa dni po katastrofie. Mike był świetnie zapowiadającym się grafikiem, scenografem. Współpracował z wytwórniami w Hollywood. Po miesiącu wzięliśmy ślub, urodziłam mu dziecko.

— Dziecko? — ksiądz wydawał się zaskoczony.

— To chyba powinność kobiety. Nie chwaląc się, myślę, że jestem dobrą matką. Choć pewnie nie poświęcam mu tyle czasu, ile powinnam. Studiuję medycynę w Berkeley... Działam w miejscowej parafii katolickiej.

— Wierzy pani w Boga? — w głosie Saltera zabrzmiało zdumienie. — Od kiedy?

— Chyba od chwili, kiedy dotknął mnie ten strażak. Pokazał mi drogę i ruszył w górę, by zginąć.

Widziałam go tylko krótką chwilę, a z każdym dniem wspominam go coraz dokładniej, pamiętam coraz lepiej, tak jakby stale spoglądał na mnie spoza lustra. Bo widzi ksiądz — tylko proszę się nie śmiać — ten strażak... ten strażak miał twarz Jezusa Chrystusa...

Przez moment trwała cisza. Księdzu wydało się, że nie słyszy oddechu rozmówcy.

— Wrócę jednak do kwestii mojej pamięci — powiedziała po dłuższej pauzie. — Jakiś miesiąc temu, porządkując starą walizkę, znów natknęłam się na tę płytę. Właśnie kupiłam okazjnie używanego laptopa, który miał zainstalowane polskie Windowsy. Włożyłam do niego to moje CD. Otworzył się bez problemu. Zobaczyłam list Omegi i przypomniało mi się wszystko.

— Wszystko?

— Tak, Pawle.

— Poznałaś mnie — szepnął. — Myślałem, że zatarłem wszystkie ślady.

— Wiedziałam, gdzie cię szukać. Katolicka parafia, raczej na uboczu, staż najwyżej trzyletni... Wiek między trzydziestką a czterdziestką. Tylko kilkadziesiąt kościołów pasowało do tego schematu.

— Mogłem zmienić zawód.

— Nie ty. A kiedy znalazłem w Internecie fotografię z tej miejscowości — te lasy, ten drewniany kościółek — nie miałam wątpliwości. Poprosiłam Dolores, moją Meksykankę, by przez trzy dni zaopiekowała się dzieckiem, i powiedziałam Mike'owi, że jadę odwiedzić kuzynkę.

— Znów kłamstwo?

— Ale w najlepszej wierze. I jestem.

— Mój Boże, Dominiko!

— Czy mogę dokończyć spowiedzi? Od mego ocalenia spowiadałam się dość regularnie, na bieżąco. Ale nie pamiętałam przeszłości. Kiedy ją sobie przypominałam, postanowiłam odszukać ciebie. Mam tak wiele grzechów. Bezbożną młodość.

— Twa wiara ją przekreśla.

— Okłamywanie męża. Łgałam mu, że jestem sierotą, wychowaną w domu dziecka...

— Żałujesz tego?

— Żałuję. Ale wiesz, że miałam na sumieniu jeszcze gorsze sprawy. Uwiodłam wspaniałego, szlachetnego księdza, chciałam go zabrać Bogu, dla siebie.

— Żałujesz tego?

— Nie. Nie potrafię. Ale to nigdy się nie powtórzy.

— Rozumiem.

— Więcej grzechów nie pamiętam, żałuję za nie szczerze, a ciebie, ojcie duchowny, proszę o rozgrzeszenie — wyrecytowała formułę, wyuczoną jeszcze przy okazji pierwszej (i przez wiele lat ostatniej) komunii.

Zadał jej, jako pokutę, kilka najpiękniejszych modlitw, jakie znał, i chciał jeszcze coś dodać, kiedy wyrzuciła z siebie impulsywnie:

— Mój syn Paweł urodził się dokładnie dziewięć miesięcy po jedenastym wrześniu.

Na moment zaniemówił. Potem dłuższą chwilę modlił się, wreszcie zastukał.

Czekał, aż podejdzie ucałować stulę.

Nie podeszła. Zapukał jeszcze raz. Bez efektu.

Zerwał się i wyskoczył z konfesjonału. Kościółek był pusty. Potrącając krzesła, dobiegł do drzwi i otworzył je mocnym szarpnięciem.

Spod nóg poderwały się złotoczerwone liście, niesione nagłym podmuchem jesiennego wiatru. Tańczyły wokół niego jak błędne ogniki, kiedy biegł w stronę drogi. Wzdłuż wąskiego pasma asfaltu nie zobaczył ani śladu samochodu, ani piechura. Dopiero za zakrętem zauważył dwóch chłopców, prowadzących rower z przebitą dętką. Dobiegł do nich.

— Chłopaki, widzieliście tu kogoś?

— A kogo na przykład? — zapytał wysoki piegus.

— Kobietę w samochodzie z kalifornijską rejestracją.

— Od dawna nikt tędy nie przejeżdżał.

Ze zwieszoną głową dowlóknął się do kościoła. A więc było to tylko przywidzenie. Zdarzały mu się takie rzeczy. Ostatnio coraz częściej w snach odwiedzał go wuj Albert. A zeszłej nocy przyśnił mu się Omega:

„Niedługo, kiedy zmieni się koniunktura i wyłoni nowa władza, powinieneś wrócić do kraju” — mówił, trzęsąc siwą głową na chudej szyi.

„I co powiem moim rodakom? Że nie wypełniłem powierzonej mi przez ciebie misji?”

„Przekaż prawdę”.

Otworzył drzwi kościółka. Zaraz zobaczył parę złocistych plam na podłodze — jesiennych liści

przyniesionych przez wiatr. Pochylił się, zebrał jeden, drugi... Trzeci jednak nie był wcale liściem, tylko lśniącem CD-ROM-em, który nie wiadomo skąd znalazł się na drewnianej podłodze jego małej świątynki, gdzieś w Montanie, a może raczej w Wyoming lub Oregonie.

Koniec

2002 — grudzień 2003